

Arkady Fiedler

Madagaskar okrutny czarodziej

Część 1.

MADZUNGA: Wśród Sakalawów Północy

Zmieniło się na Oceanie Indyjskim

To już nie to, co było dawniej. Jak ogromnie świat się zmienił w rejonie Oceanu Indyjskiego, doznałem na własnej skórze na francuskim statku. Miałem niezłą zabawę. Z Dar es-Salam płynąłem do Madzungi w klasie turystycznej. Dawniej pasażerowie tej klasy mieli się dobrze, czuli się jak u Pana Boga za piecem, otaczano ich wygodą i szacunkiem. Dziś linia okrętowa, „Messageries Maritimes”, pobierała stosunkowo nie mniejszą niż dawniej opłatę, ale poświęcała tych pasażerów duchowi nowych czasów. Rzuciła ich na żer ambicjom Trzeciego Świata. Ratowała jakieś dywidendy czy raczej stanu.

Więc wygodę i szacunek dla klasy turystycznej diabli wzięli w Moroni, porcie wysp Komoryjskich. Podniecona chmara dwustu czy iluś świeżych pasażerów trzeciej i czwartej klasy wpadła tu na statek, by jechać z nami na Madagaskar. Byli ciemnoskórzy, rozkrzyczani, spoceni, namiętnie ruchliwi i zaborczy. Z bezwzględnością nowych zdobywców wdarli się na pokład klasy turystycznej i okupowali jej teren do końca podróży. Włoczyli się po naszych korytarzach, natarczywie otwierali drzwi do kabin, zacierali do środka i budzili pasażerów z poobiedniej drzemki. Nikt ich nie przeganiał, wszyscy ich znosili. Załoga statku nie mieszała się.

Podróżni klasy turystycznej oburzali się, ale niewiele im to pomagało. Byli to Francuzi o średnich zarobkach i dziwili się pobłażliwości załogi.

Ja się nie dziwiłem: przecież służyliśmy do tego, żeby ludzie z Komorów, wysp należących wciąż niezmiennie do Francji, czuli się nam równi, i żeby jednocześnie ludzie uprzywilejowani, pasażerowie pierwszej klasy, tuż i szyszki, zaznawali wciąż jeszcze wygody i spokoju. Spokoju tu na statku i potem tam na lądzie.

Następnego dnia pod wieczór dopłynęliśmy do Madzungi. Port, malowniczy o tej porze dnia, czarował nas powiewną linią białych budynków i wdziękiem wysmukłych palm, ale na statku mieliśmy piekielko i czaru nie odczuwaliśmy.

Kto z klasy turystycznej chciał się dostać na ląd, musiał przejść na statku przez kontrolę paszportów, lecz do tej kontroli tłoczyło się już dwustu niepoohamowanych pasażerów z trzeciej i czwartej klasy. Panował okropny bezład, kolejki nie było, wszystkie krzepkie ciemne ciała pchały co sił do przodu, srogo ugniatając siebie, a jeszcze srożej białych pasażerów z klasy turystycznej. Dostałem się w taki ścisk, że nie mogłem rękami ruszać i ledwo oddychałem. Byłem uwięziony ciałami ludzkimi.

Po zawziętych minach otaczających mnie Komoryjczyków miarkowałem, że dusili mnie z rozmysłem. Oto dostali białych ludzi między siebie i odgrywali się na nich. O kilka kroków ode mnie tak samo męczyli młodego misjonarza, wracającego z urlopu na Madagaskar. Poczciwy pere usiłował w tłoku się uśmiechać, ale błędne oczy wychodziły mu z orbit. Za kilka wieków ponieważ i żyłowania kolorowy człowiek odplacał się białemu i jakoś nie miałem mu tego za złe, że mi miażdżył klatkę piersiową. Pokutowałem za winy popełniane do niedawna przez ludzi białych jak ja.

Mój ciemny sąsiad z prawego boku miał zakazaną gębę i niewątpliwie nadużywał słusznego prawa zemsty. W ciżbie było duszno i gorąco, pociliśmy się wszyscy i pocił się mój sąsiad. Więc kapiący mu z czoła, z nosa i z brody pot ocierał o moje ramię, a robił to rzetelnie, z pasją.

Niestety miałem na sobie jasnopopielatą marynarkę, w której chciałem przedstawiać się w ministerstwach w Tananariwie, toteż smutkiem napełniała mnie rosnąca na ramieniu plama potu i brudu od nie mytej twarzy. I nie było od tego ucieczki: nie mogłem odsunąć się ani o cal od sąsiada, a prosić go, żeby mnie nie brudził, byłoby prowokacyjnym dolewaniem oliwy do ognia.

Naraz przyszło mi parsknąć wesołym śmiechem i spojrzeć na sąsiada inaczej, przyjaźnie: z tym wycieraniem zroszonego czoła kosztem białego człowieka cudacznie

wyrastał szelma na jakiś zgryźliwy symbol, głupi, bo głupi, ale symbol, i już nawet nie widziałem u niego niezdarzonej gęby, a okropny ścisk w tym tłumie wydawał się słusznym pokłosiem dawnych grzechów. Biały nokutnik musiał przepychać się przez czyszciec, by wejść do raję.

Bajdy Marka Pola

Do raję?... Niech i tak będzie.

Przypomniało mi to Marka Pola. Ów wenecjański zuch, największy w średniowieczu podróżnik, w drugiej połowie XIII wieku odbywający podróż na Daleki Wschód, skrętnie rejestrował wszystko, co widział i słyszał po drodze. Tak powstało jego wielkopomne dzieło *Opisanie świata*, najbardziej porywająca — według słów J.L. Bakera w książce *Odkrycia i wyprawy geograficzne* — opowieść podróżnicza, która nie ma sobie równej w całej literaturze światowej i nigdy nie straci wartości. A chociaż Marko Polo Madagaskaru sam nie zwiedził, dał o wyspie, nazwanej przez niego Mogelasio, ciekawy, a szumny opis:

„Jest wyspą leżącą na południe i na południowy zachód w odległości około tysiąca mil od Sokotry. Mieszkańcy są Saracenami i czczą Mahometa... Wiedźcie, że ta wyspa jest jedną z najważniejszych i największych na świecie. Obwodu bowiem liczy około cztery tysiące mil. Mieszkańcy żyją z handlu i rękodziela. Powiadam wam, że na tej wyspie żyje więcej zwierząt niż w innych okolicach. I wiedźcie, że w całym świecie nie sprzedaje się i nie kupuje tyle kłów słoniowych co na tej wyspie i na wyspie Zan-zibar. I wiedźcie, że na wyspie tej jedzą jedynie mięso wielbłądzie. I wiedźcie, że dziennie tyle tam ich zabijają, że nikt nie uwierzy, kto usłyszy o tym, a nie widział... Wiedźcie też, że na wyspie tej znajdują się drzewa sandałowe czerwone, tak wielkie jak drzewa naszych krajów. Te drzewa miałyby wielką wartość w innych krajach, lecz oni używają ich na opał, jak my naszych drzew leśnych...

„Mają wiele ambry, gdyż na morzach tych jest wielka obfitość waleni i kaszalotów. I z połowu owych waleni i kaszalotów uzyskują ambrę w znacznej ilości. Wiedźcie bowiem, że wieloryby dają ambrę...

Żyją tam lamparty i rysie, lwów jest tam niezmiernie duża liczba. Innych zwierząt jest tam pod dostatkiem, jak kozłów, jeleni, danieli oraz im podobnych. Bogate są polowania na ptactwo. Żyją tam bardzo wielkie strusie...

„Przybijają tu okręty z przeróżnymi towarami — a są tam złotogłowy i jedwabne tkaniny rozmaitego gatunku, i wielorakie inne rzeczy — i wszystkie tu sprzedają lub wymieniają na płody owej wyspy... Powiadam wam, że kupcy tam zyski mają i zdobywają wielkie majątki...

„I wiedźcie, że zaiste na owych rozlicznych wyspach, leżących na południu, żyje — jak opowiadają ludzie — ptak Ruk... Nieprawdą jest, jakoby był na połę lwem, a na połę ptakiem, lecz mówią ci, którzy go oglądali, że jest całkiem taki jak orzeł, lecz ponad miarę olbrzymi... Opowiadają, że jest tak wielki i tak potężny, że w szponach swoich uniesie słonia i porywa go wysoko w powietrze, następnie opuszcza go na ziemię, tak że się całkiem gruchoce. Wówczas ptaki rozdziobują go, pożerają i żywią się nim... Skrzydła ich mają trzydzieści kroków rozpiętości... Wysłancy wracając, przynieśli Wielkiemu Chanowi jedno pióro ze skrzydła owego ptaka, które ja, Marko Polo, zmierzyłem i przekonałem się, że jest długie na dziewięćdziesiąt pięć; trzon zaś owego pióra miał obwodu dwie pięści mojej ręki... Mieszkańcy wyspy ptaka zowią skałą — Ruk...

„Opowiadali też, że dziki są tam wielkości bawołu i żyją tam żyrafy oraz dzikie osły... Dziwnie o tym słuchać, a jeszcze dziwniej patrzeć na to...”

Opisanie świata zdobyło sobie wielką sławę. Przez dwa bite wieki nie było w Europie innego dzieła tak wziętego, które by tak urzekająco prawilo o dalekich krajach na wschodzie. Ludzie, rzecz prosta, ulegali urokowi. Królowie i giermkowie, zbrodniarze i

święci, awanturnicy i pionierzy, zaborcy i misjonarze, mistycy i ludzie czynu wpadali w Europie w zachwyt, snuli plany, roili. Przyszłe wieki zdzierały zasłonę tajemnic, ujawniały bzdury w opisach Marka Polo, kłam zadawały mrzonkom, ale rzecz dziwna i znamienna, Madagaskar najdłużej zachował rozgłos „jednej z najważniejszych wysp na świecie” i nie chciał tracić tego miana.

Nie chciał odsłaniać prawdziwego oblicza — i to chyba do dnia dzisiejszego. Chciał pozostać wciąż wabiącym rajem.

Madzunga, miasto krokodyla i baobabu

Więc z tłoczego czyścica na francuskim statku przepchałem się poprzez malgaskie cło do miasta Madzungi niby do raj. Chociaż to jeszcze pytanie, czy do raj.

W Madzundze zamieszkałem w „Nouvel Hotel” niedaleko portu, a w hotelu i w jego okolicy w pewnych godzinach dnia straszny roznosił się odór. Miły właściciel, Pagoulatos, wyjaśnił mi, że to tylko przypyływ morza wpychał z powrotem do miejskich kanałów fekalia spływające z miasta do zatoki — i tym mnie uspokoił. Ostatecznie dostojne kroniki nie wspominały, jak w raj pachniało, więc mógł to być i raj.

Madzunga, leżąca na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy, u ujścia potężnej Betsiboki, drugi na wyspie port po Tamatawie — była punktem wyjścia w 1895 roku francuskiej wyprawy wojennej, która podbiła Madagaskar. Stąd różne o tym mieście powstawały zdania wśród Francuzów, zależne od nastroju ducha, stanu wątroby i przekonań politycznych tego, który zdania owe wygłaszał. Więc niektórzy chwalili wniebogłosy, że to siedlisko szczęścia i kwiatów, że tonie w uśmiechach, że do marzeń usposabia; inni, że tu nuda, kurz, smród, skwar i najpaskudniejsza na świecie dziura.

Mnie Madzunga się podobała, bo dwadzieścia osiem lat temu na podwórzu u pewnego hinduskiego kupca zobaczyłem tu wypchanego krokodyla-giganta, siedmiometrowego potwora. Bestia miała obleśnie błogi grymas na wrednym pysku, nękający mnie długo potem w różnych snach, i makabrycznych, i nieprzyzwoitych.

Inną imponującą osobliwością Madzungi był jej słynny na Ocean Indyjski baobab. Najpotężniejszy na Madagaskarze i zapewne w całej Afryce, więc chyba największy na ziemi, miał pień o obwodzie kilkudziesięciu metrów i można było dopatrywać się w nim wszystkiego, lecz najmniej drzewa. Porównywano go już z przeróżnymi rzeczami i stworami, byleby były olbrzymie a krępe, więc najczęściej z mamutem, ale to za mało: to był superma-mut.

Baobab nic się nie zmienił od dwudziestu ośmiu lat, stał znowu bez liści, napuszał się w pobliżu oceanu u wylotu alei noszącej chwalebnie (czy politycznie?) tę samą co dawniej nazwę: Avenue de France, i przypominał mi Fryderyka Schnacka. Ów niemiecki pisarz, jak zresztą każdy inny tu podróżnik (nie wyłączając A. F.), pisał o baobabie wzruszonym piórem, a że Schnack był uroczym wielbicielem motyli, kwiatów i niewinnych dziewcz, bardzo go lubiłem.

Ów baobab stanowił niezawodnie symbol wieczności, ale musiał służyć także doczesnym celom. Przybili mu do czcigodnej kory dwa plakaty: jeden zapowiadał mające się odbyć teatralne przedstawienie „Judasy”, zapewne jakiegoś zespołu amatorskiego, drugi plakat był jeszcze ważniejszy, bo zapraszał na mecz piłki nożnej, ój, Judasy, Judasy! Ale ci malgascy judasy przynajmniej nie wycinali kory, jak to czynili obywatele rogalinscy z tysiącletnimi dębami nad Wartą: raz koło Wielkanocy ludzie z Rogalinka potrzebowali paliwa do wędzenia szynki, więc brali je ze sławnych dębów.

Madzunga, licząca blisko pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, była uderzającym zbiorowiskiem wielu ludów, ras i odcieni skóry, ale główne piętno nadawali jej nie Malgascze, lecz Hindusi, którzy opanowali handel i rzemiosło. Nie zawsze tak było. Dawnymi czasy Arabowie z wysp Komoryjskich, z Zanzibaru i nawet z Arabii ściągali licznie do ujścia rzeki Betsiboki, zakładali tu faktorie handlowe i byli ważnymi pośrednikami między szerokim światem a ludnością malgaską. Gdy pod koniec siedemnastego wieku Sakalawowie, przybywający jako zdobywcy z południa, stwarzali tu swe rozległe królestwo Boina, kupcy arabscy byli im wielką pomocą. Towary, które

wojacy od Arabów dostawali, a zwłaszcza strzelby i amunicja, dawały im przewagę nad innymi szczepami. Był okres, kiedy nawet dalecy Merinowie, później tak dumny i zwycięski naród, musieli składać Sakalawom hołd i daninę.

Więc przypuszczalnie rzutkim Arabom zawdzięczała Madzunga swe powstanie, ale tradycja Sakalawów inne dawała wyjaśnienie tych początków. Mianowicie ich król Andriamandisoarivo w swym zwycięskim pochodzie z południa doszedłszy nad brzegi Betsiboki, ujrzał przed sobą potężną rzekę pełną wirów i krokodyli, i w mężnym sercu nieco się zatrwożył. Chcąc się przekonać, czy Zanahary, najwyższe bóstwo Malgaszów, wciąż sprzyjało jego wyprawie, król postanowił poświęcić swą najulubieńszą córkę. Więc kazał zbudować kruchą tratwę i na niej puścił dziewczynkę na rzekę. Jego ludzie, zdjęci miłosierdziem — jak to zwykle bywało w takich procedurach — błagali go, by tego nie czynił, ale oczywiście błagali daremnie, bo był to władca niezłomny.

Bóstwo okazało się przychylne. Mała księżniczka wyszła cało z próby boskiej i szczęśliwie wylądowała po drugiej stronie Betsiboki u jej ujścia do morza. Uradowani król i jego Sakalawowie przepłynęli rzekę i w miejscu lądowania królewskiej córki założyli miasto; a pewni poparcia boskiego, pokonali szczepy na północy i na wschodzie i stworzyli potężne królestwo Boina.

Miasto nazwali Mudzangayeh czyli Miejscem Boskiego Wyboru, a dziewczynę Andriamihantanarivo czyli Księżniczką-O-Której-Życie-Tysiące-Się-Modliły. Z biegiem czasu Mudzangayeh przemieniło się w Madzunge.

Magistrat, smutne przedmieście i uśmiechnięte dziewczyny

Tsiranana, pierwszy prezydent dzisiejszej Republiki Malgaskiej, nie miał co prawda córki, którą by rzucił na łaskę wirów Betsiboki, ale równie lubił Madzunge i podbijał serca ludzi, żyjących tu na północy i zachodzie Madagaskaru. Byli to poza Sakalawami głównie jego krajanie ze szczepu Tsimihetów, żyjący niedaleko w głębi wyspy, więc nie dziw, że w tym swoim mateczniku w prowincji Madzunga Tsiranana cieszył się mirom jak nikt inny i tu najwięcej dostawał głosów przy wyborach. A że miał serce wdzięczne i ręka rękę myła, hojnie się odplacał: w Madzundze wyrastały jak grzyby po deszczu okazałe budynki, wymierzone nad stan. Płakał ponoć w Tananariwie malgaski minister finansów, marszczyli czoła francuscy doradcy, ale Tsiranana uparł się w szerokim geście i Madzundze nie szczędził budowli. Takim magistratem nie mogła poszczycić się nawet Tananariwa i rzecz ludzka, także nie miała takiego pomnika prezydenta, wznoszącego dumne czoło na placu przed magistratem.

Więc było przyjemnie patrzeć na architektoniczny awans Ma-dzungi i na śmiały gmach magistratu. Stał na skraju śródmieścia, symbol nowych czasów, będąc niejako zakończeniem kilku szerokich bulwarów stworzonych przez Francuzów jeszcze w czasach kolonialnych. W magistracie urzędowali Merinowie z centralnego płaskowyzu i nieliczni Tsimiheci, a najmniej było miejscowych ludzi, Sakalawów, zatrudnionych jako woźni.

Natomiast o kilkaset metrów za magistratem rozpoczynało się ludne przedmieście Mahabibo, skupisko brudu, nędzy, chorób i woniejących ścieków. Tu w Mahabibo, w słoczonych chatkach kurnych i w krzywych budach z blachy po puszkach, gnieździł się wyłącznie Sakalawowie, ostatnia biedota. Dawni panowie tej ziemi, niezwalczeni ongiś wojownicy, dziś wydziedziczeni i brutalnie wypchnięci ze swej stolicy na wydmuchowiska, tu dociągali beznadziejnego żywota.

Między Mahabibo a śródmieściem rozciągało się wielkie targowisko, w godzinach porannych pełne ruchu, strojnych Malgaszek i wesołości, jak gdyby chciano tutaj powetować smutek sakalaw-skich chat. Chodziłem między straganami, by fotografować, a na trzeci dzień znano mnie już jak kulawego psa: kto był brzydki lub źle ubrany, unikał mnie z daleka, natomiast dziewczyny, przystrojone w barwne lamby kuani, raczej garnęły się i zdjęć nie miały mi za złe.

Były to przeważnie Sakalawki, niektóre wcale ładne, a wszystkie przyodziane w tanie kolorowe kretony, zapewne cały majątek, jaki posiadały. Na targowisku przeżywały

osobliwe chwile, jak gdyby rodzaj małgaskiego uniesienia. Przez godzinę upajały się radością otoczenia, z tłumem płynęły rozgwarzoną falą, żyły tu w odrębnym świecie jakiejś małej swej bajki, która się kończyła dopiero, gdy wracały do ciemnych bud z blachy. Spostrzegłem wyraźnie, że w tej gwarnej godzinie czuły się kimś innym, niż były w swych chatach; czuły się jak motyle, które z cienia wyfrunęły na słońce, albo jak tancerki wykonujące czarowny taniec. A że były szczęśliwe i uśmiechnięte i miały barwne kretony na sobie, chętnie pozwalały się fotografować.

Życiodajny grób

Bywało, że godziłem na ulicy rykszarza i głuszac leciutką rozterkę sumienia, na jego *pousse-poussie* wyjeżdżałem za miasto do wiosek sakalawskich. W tych ubogich wioskach nie było zasobnych sklepów, świątyń ani kościołów, ani świętych kamieni-ołta-rzy, natomiast w niektórych znajdowały się groby dawnych sakalawskich wodzów i królów. Owe groby stanowiły dla Sakalawów bardzo ważną rzecz, najważniejszą w ich życiu. Otaczało się je do dziś bezprzykładną czcią, gdyż były to jedyne ślady i dowody dawnej świetności, po której nic innego nie pozostało.

Najbliższy grób znajdował się w Doana Vovo o trzy kilometry od Madzungi. Wieś, zbudowana na piaskach, składała się z kilkudziesięciu chatynek skleconych z liści palmowych, a na rozległym placu ciągnął się wielki, czworoboczny ostrokół o bokach chyba stumetrowych. Za tym płotem, ukryty przed ludzkim okiem, leżał grób niejakiego Damisary, zapewne niegdyś dużej miary woja. Cała wieś związana była z istnieniem grobu, wszyscy mieszkańcy tworzyli jego straż honorową, a jako główny opiekun przedstawił się Hommadi Bacari, właściciel nędznego straganu, Komoryjczyk, ale sakalawskiego pochodzenia.

Bacari grzecznie mnie prosił, żebym nie podchodził do świętego ostrokołu bliżej niż na kilkadziesiąt kroków, bo to niepokoiłoby ducha zmarłego. Zaraz też wyjaśnił, że on sam także nie mógł zbliżyć się do grobu, jak tylko w godziwym odzieniu, a teraz był źle ubrany. Kury, ptaki plugawe, uchodziły w Doana Vovo za fadi, rzecz zakazaną, i nie istniały w wiosce, za to chętnie widziano tu bydło, mające u Sakalawów cechy istot nadprzyrodzonych. — Niestety — westchnął Bacari — ludzie są ubodzy i posiadają mało bydła.

Podczas tej rozmowy mieszkańcy zaczęli się schodzić i stając dokoła nas, przyglądali się białemu gościowi z życzliwą ciekawością. Byli mi chętni, bo okazywałem szacunek dla świętości grobu, więc pozwalali się fotografować, a niektórzy chłopczkowie przybiegali, by poszczycić się posiadaniem procy. Zakupiłem u sklepikarza tanich cukierków i kazałem rozdać je wszystkim obecnym. Był to skromny, łagodny i szczęśliwy na swój sposób ludek, więc za te cukierki urosłem w jego oczach na dobroczyńcę i przyjaciela.

W Doana Vovo panował osobliwy spokój. Niewątpliwie nastrój dostojnej relikwii udzielał się całej wsi, kładł swe piętno na ludzi, chaty i nawet na kilka okazałych drzew tamaryndowych: były one ważnym sztafażem świętego gaju. Ale nie przez cały rok trwał tu spokój. Raz do roku odbywały się uroczystości na cześć ducha zmarłego bohatera, trwające wiele dni. Ludzie tłumnie przybywali z daleka, ze wszystkich stron znosili sute picie i pokarm, tańczyli i śpiewali, upijali się toaką, grzęźli w rozpasa-niu. Niektórzy wpadali w szał i tańczyli taniec trombę. — Po tym kilkudniowym wybuchu radości i oszołomienia ludzie mieli serca nasycone dawnością — kończył opowiadanie sklepikarz Bacari — więc zadowoleni wracali do swych chat i do szarej codzienności.

Gdy pożegnałem się z mieszkańcami Doany Vovo i *pousse-pous-sem* wracałem do Madzungi, miałem i ja serce czymś napełnione, chyba rzewnością. W połowie XX wieku, tuż pod bokiem żywotnego portu Madzunga, takie ubóstwo byłoby nie do zniesienia. Więc mieszkańcy wymarzyli sobie ucieczkę z nędzy dzisiejszej w promienną przeszłość: stworzyli sobie *Trylogię* na swą miarę. To wzruszało.

W drodze powrotnej przemierzaliśmy krajobraz niezwykle monotony: na piaskach widniały tylko tu i ówdzie szare krzewy i wymęczone drzewa. Była to okolica

przejściowa między bujno-ścią nadbrzeżnych palm kokosowych a krainą ślicznych satrak, palm wachlarzowych, rosnących nieco dalej w głębi wyspy. Za to w przeciwieństwie do nudnej scenerii jakże podniecające bogactwo wrażeń doznanych ostatnio: tu, w Doana Vovo, żyli ludzie, chwalebłą przeszłością uciekając od nędzy dnia dzisiejszego; w Ma-dzundze, na targowisku w Mahabibo młode Sakalawki uśmiechały się do życia dorywczym wybuchem radości i na chwilę zapominały o mrokach swych nor, w których mieszkały; a tam dalej nowoczesne budowle, wzniesione nad stan, na wyrost, czym były: mrzonką rozrzutników czy żelaznym nakazem dnia, wizją wielkiej przyszłości czy zjawą Marka Pola?

Malgascy kelnerzy

Malgasze, odznaczający się nieprzeciętnymi zdolnościami umysłowymi, mieli szczególnie wyrobioną wyobraźnię, rozigraną i płatającą im, w każdym razie jeszcze do niedawna, groźne figle. W mniemaniu Malgaszów najgroźniejsze nadnaturalne niebezpieczeństwa piętrzyły się dokoła ludzi, a zły los w postaci obrzydliwych demonów i innych szkaradzeństw czyhał nieustannie na ich zgubę. Ażeby się od złego obronić, stosowali dziwne środki, często wręcz makabryczne. Więc na przykład we wszystkich prawie szczepach, żyjących na Madagaskarze, zabijano jeszcze przed kilkudziesięciu laty każdego noworodka, rodzącego się w feralnym dniu, a takich dni istniało w poszczególnych szczepach po dwa lub trzy w tygodniu. Gdyby dziecko pozostało przy życiu, sprowadziłoby na rodzinę same nieszczęścia i gromy. U Sakalawów szczególnie niepomyślnym dniem był czwartek. Tysiące dzieci padało rocznie ofiarą tego przesądu.

Rządy kolonialne Francuzów stłumiły okrutne praktyki, ale, rzecz jasna, wielu zabobonów nie zdołały wykorzeć. Plenna wyobraźnia Malgaszów w tym kierunku była zbyt silna. Między innymi wyjątkowo uporczywie zachowała się wiara w mpakafu czyli pożeraczy serc. Od dawien dawna wierzono, że czarownicy i inni niegodziwcy z szatańskim upodobaniem wyrwali serca swym bliźnim, skrycie na nich napadając, i je zjadali. Przesąd nabrał nawet politycznego zabarwienia w pierwszych latach po podboju Madagaskaru przez Francuzów. Wtedy na ulicach Tananariwy często znajdowano zwłoki Malgaszów z wydartymi sercami i Francuzom przypisywano zbrodnicze czary.

Gdy tuż przed drugą wojną światową byłem na Madagaskarze, wielu Malgaszów wciąż wierzyło w istnienie złośliwych mpakafu, posądzając zwłaszcza Europejczyków o bezecne zbrodnie. We wsi Ambinanitelo podobne podejrzania ściągnął na siebie mój pocziwy towarzysz, Bogdan Kreczmer, pracownik Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie, bo zbierał wodne owady i pa-jęczaki do szatańskich epruwetek: kosztowało mnie niemało zachodu, by bzdurę wybić mieszkańcom wsi z głowy.

Podstępny mpakafu niekoniecznie zaraz wyrwał ofiarom serce, ale wielu ludzi nie miało wątpliwości co do tego, że przebiegłym podstępem, zazwyczaj hojnym podarkiem, Europejczyk--mpakafu starał się usidlić Malgaszom dusze, ażeby potem zgotować im zagładę. Gdy młodemu głuptasowi Rakoto, tragarzowi worków kawy w Foulpointe, podarowaliśmy całą paczkę papierosów, był tą hojnością tak przerażony, że uciekł w popłochu, obawiając się z naszej strony czegoś złego. Podobna rzecz zdarzyła mi się dwu-, trzykrotnie z rnalgaskimi kelnerami. Gdy dostali napiwne, w ich mniemaniu zbyt wygórowane, wywoływało to skutek przeciwny spodziewanemu: nagle wrogą podejrzliwość, po prostu opryskliwe zachowanie się garsona.

Mając w żywej pamięci te przedwojenne doświadczenia, udałem się obecnie podczas mego pobytu w Madzundze do „Hotel de Bre-tagne” i tam przy stoliku na ulicy wypilem kawę. Kosztowała czterdzieści franków, ale ja, pełen oczekiwania, dałem malgaskie-mu kelnerowi sto franków i machnąłem ręką na znak, że reszta to jego pourboire. On z lekka osłupiał, wybałuszył oczy, wszakże tylko na chwilę. Twarz pokraśniała mu niezmierną radością, jakby niebo poczuł w sercu, i podziękował z

uśmiechem od ucha do ucha. Odszedł wyraźnie zadowolony. Nie, ten nie miał już strachu, że dybie na jego duszę.

Gdy następnego dnia ponownie siadłem w tej samej kawiarence, przybiegł w te pędy garson, inny niż wczorajszy, ale już uświadomiony, że ja facet od szczodrych napiwków. I w istocie, skutek był ten sam: szelma ucieszył się sutym pourboirem i bynajmniej nie miał mi tego za złe.

Ów „Hotel de Bretagne” istniał już przed wojną i pozostał taki sam jak wtedy; morze, odległe o dwieście kroków, tak samo teraz huczało jak dawniej, a większość ulic Madzungi i stary baobab nic się nie zmieniły. Natomiast kelnerzy malgascy, co wkrótce stwierdziłem także w Tananariwie, już w białym człowieku nie dopatrywali się zjadacza serc. Pozbyli się przesądu.

Ba, weszli tak skutecznie na drogę postępu i naszej cywilizacji, że nauczyli się naciągać gości.

Madagaskarski los

LEGENDARNY HIERONIM OBST

W parę minut po moim wylądowaniu na Madagaskarze, kilkadziesiąt kroków od wybrzeża, podszedł do mnie ze wzruszoną twarzą i zwilgotniałymi źrenicami. Pytając wymamrotał moje nazwisko i wśród zwykłego w takich chwilach bełkotu wylewnie się uściskaliśmy. Dwadzieścia osiem lat, jakie upłynęły od naszego ostatniego spotkania, zrobiły oczywiście swoje. Przygarbił się, przygłuchł, stracił wiele zębów, ale mimo to pozostał tym dawnym Hieronimem Obstem, dziwnie młodzieńczym: cerę miał zdrowo ogorzałą, z oczu tryskał zuchowatą werwą, w szerokim uśmiechu zachował dawną dziarską radość.

Ongiś, pisząc o moim pierwszym pobycie na Madagaskarze, poświęciłem mu wiele gorących słów pełnych zapału i wcale nie przesadzałem. To był bohater, legendarna na poły postać, pionier o rycerskim rozmachu. W swej siedzibie Antsezie nad jeziorem Kin-kony, o jakie sto kilometrów na południowy zachód od Madzungi, panował niby mityczny władca, słynął z dobroci serca i z twardości pięści, a zdobył nie tylko okazały majątek, ale i bezgraniczny wpływ na Sakalawów całej okolicy. Ci Malgascze dalekiego zaplecza oddawali mu dziwny hołd, bo kochali go jak dobrego ducha i bali się jak demona. Ubóstwiali go, a on, olbrzym, niewiele niższy niż dwa metry, działał na ich wyobraźnię niezwykle krzepą mięśnią, bystrością oka, celnością swego karabinu i anielską dobroduszością.

A oto dawna legenda, w postać obleczone, stała znowu przede mną.

NIEBO MADAGASKARU

Madagaskar bywał kapryśny jak żadna inna wyspa na ziemi; mało było krain równie pięknych i zarazem tak okrutnych.

Oto niebo Madagaskaru. Łaskawe, szczodre, iskrzyło się tysiącem gwiazd, promieniało radością słońca i było zapraszające jak uśmiech Malgaszek. Tu niebo jak nigdzie indziej rozpalalo bujne nadzieje, budziło tęsknoty. Od niepamiętnych czasów przyplýwały tu ludy ze wszystkich stron świata i zakładały swe ogniska. I także ludzie Europy przyplýwali po dobrobyt, by gromadzić zasoby, napełniać swe spichrze i kabzy, snuć plany na przyszłość. Ale to samo niebo, tak łaskawe i szczodre, zdobywało się nagle na potworne okrucieństwa i umiało wybuchać straszliwym gniewem. Co ręka ludzka wznosiła w cierpliwym mozole, to rozszalały żywioł nieba, bywało, niszczył w kilku minutach szaleństwa. Cyklony rozbijały do szczętu spichrze, plany i nadzieje ludzkie. Nie było kapryśniejszej wyspy na ziemi niż Madagaskar.

- Jak to się stało? Jak doszło do katastrofy? — pytałem Obsta, gdy siedzieliśmy w hotelu u Pagoulatosa przy kolacji.

W roku 1939, w piętnaście lat po jego przybyciu na Madagaskar, Obst stał u szczytu swego powodzenia. Liczne woły, jakie posiadał, zwoziły mu z sakalawskich wiosek do Antsezy zbiory rafii, a z Antsezy tęgą motorówką, słynnym „Stachem”, plýnął towar

rzeką Mahavavy, a następnie morzem do Madzungi. Z rafii Obst ciągnął świetne zyski, ale to niespożytej jego rzutkości nie starczyło. Ów syn gospodarski spod Trzemeszna miał w sobie coś z pierwszego Piasta, lubił kołodziejstwo i majstrowanie. Więc budował tęgie dwukołowe arby i własnego pomysłu prasy do rafii, jedno i drugie wielce poszukiwane przez Malgaszów i Europejczyków. Stać go było również na to, by własnym kosztem zbudować pięćdziesiąt sześć kilometrów drogi od Antsezy w stronę Madzungi. Władze kolonialne z wdzięcznością przejęły drogę i nadal ją utrzymywały. Obst mógł częściej jeździć do Madzungi, a miał wielkiego mercedesa.

Wybuch drugiej wojny światowej uciął jak nożem eksport rafii; nikt już jej nie kupował, więc nikt także nie zamawiał wozów ani pras. Ale dopiero w 1943 spadła prawdziwie groźna klęska na Madagaskar, katastrofalna dla wyspy: cyklon. Uderzył od Oceanu Indyjskiego na wschodnie wybrzeże, gruchotał miasta, wsie i plantacje, wielkie statki w porcie Tamatawie wyrzucał na ląd. Wdzierając się dalej w głąb wyspy przybierał kształt koszmarnej ulewy. Całe bryły wody, tysiące Niagar, spadły z nieba na kraj w ciągu niewielu godzin: obłęd nieba.

Dom Obsty w Antsezie stał na wysokim wzgórzu przy brzegu jeziora Kinkony, a największe powodzie sięgały co najwyżej do stóp wzgórza. Jednak tym razem od rzeki Mahavavy szły do jeziora takie wały wzbierającej wody, że w przeraźliwie krótkim czasie poziom jeziora wzrósł o kilkanaście metrów i potop zalał cały kraj aż po wierzchołki drzew. Nawet Obstowy dom na szczycie wzgórza znalazł się w wodzie do połowy ścian.

Dopiero po dziesięciu dniach woda zaczęła opadać, obnażając całą groźbę zniszczenia. Dom Obsty jako tako ocalał, ale jego cenny samochód, zatopiony całkowicie przez wiele dni, stał się bezużytecznym rupieciem. Gorzej, że rzeka Mahavavy zmieniając swe koryto, zmyła dotychczasowy głęboki nurt i naniosiła wszędzie tyle piasku, że w płytkiej wodzie wszelka żegluga ustała.

Pozbawiony dostępu do morza, Obst stracił życiodajną arterię. Motorówkę musiał sprzedać za bezcen.

SILNY, A NIEMAL ZRUJNOWANY

Obst był zupełnie głuchy na prawe ucho — pozostałość z okopów z pierwszej wojny światowej — a prawie głuchy na lewe ucho więc trzeba było głośno mówić do niego, niemal krzycząc. Prawem kontrastu ułomność ta — jak mi się zdawało — potęgowała zadzierzystość.

Gdy mi opowiadał swe dawne przejścia, patrzałem ze zdumieniem na jego twarz, była bowiem bardzo polska i tak znamienita dla wielu mieszkańców dokoła Gopła. Ale rozwinięte dolne szczęki, typowo Obstowe, świadczyły o zdumiewającej czupurności.

Powódź w 1943 roku wyrządziła mu niepowetowane szkody, ale jego samego nie złamała. Bojownik nieugięty, tak łatwo nie dał się zgnieść przeciwnościom, czego dowiódł już w okresie pierwszej wojny światowej.

Z chwilą jej wybuchu dwudziestojednoletniego drağala, zdrowego jak ryba, zaciągnięto do cesarsko-niemieckiej armii i natychmiast wysłano na zachodni front. Szedł, bo nie mógł inaczej, ale swej polskości nigdzie nie ukrywał i miał stąd przykrości. Jego sierżant sztabowy, hakatysta, na każdym kroku prześladował „den Polacken” i posyłał go na najgorsze, stracone stanowiska. Ale Obst zawsze wracał cało, jak gdyby kule go się nie imały, i zdobywał jakąś osobliwą sławę w pułku. Gdy kiedyś sierżant znowu urągał „den Polacken” przed frontem żołnierzy, Obst zuchwale wystąpił z szeregu, energicznie zaprotestował przeciw zohydżaniu jego narodowości i prosił sierżanta, żeby miał tego poszedł z nim razem walczyć na wysuniętej placówce. Powstał skandal, ale tylko sierżanta ukarano, degradując go. W pułku służyło wielu Polaków.

Więc jakkolwiek Obst w powodziowej katastrofie roku 1943 postradał większość swego majątku, nie upadł na duchu, nie stracił wiary w siebie i w przyszłość. Jednak znalazł się w pozycji bojownika będącego w odwrocie i szarpiącego się z coraz większymi trudnościami. Koniec wojny nie poprawił jego położenia. Handel rafią należycie

nie ruszył, nie sprzyjały mu także rosnące na Madagaskarze fermenty polityczne. Krwawe rozruchy, jakie wybuchły w roku 1947 w centrum i na wschodzie wyspy, odbiły się dalekim echem również na zachodnim wybrzeżu. W Antsezie żyło oprócz Obsta kilku Greków i Kreolów z Reunion. Wobec pogłosek, że Malgasze zamierzają wyciąć wszystkich Europejczyków, ci biali schronili się do Madzungi, podczas gdy Obst, zawsze wierny sobie, oczywiście pozostał i ledwie nie przypłacił tego życiem. Pewien Malgasz ze szczepu Betsimisaraków, przebywający w Antsezie, otumaniony powszechnym podnieceniem, postanowił zgładzić Europejczyka, rzekomego wroga. Przybył do niego z ukrytym nożem. Obst uderzył niezdrowy blask jego oczu i dziwny, odświeżony strój. Miał się na baczności, toteż gdy napastnik zniecka dobył noża, Obst jeszcze szybciej zadał mu cios pięścią i powalił go. Obst zawsze był silniejszy i żwawszy i niejedną raz w dawnych latach musiał się bronić w podobny sposób. Malgasza, który okazał się obłąkańcem podlegającym zaburzeniom umysłu, wzięli do szpitala. Obst miał materialne oparcie możnego sojusznika w Madzun-dze, szwajcarską firmę Winistorfera, której dostarczał całą swą rafię. Sam Winistorfer był ponoć jego osobistym przyjacielem, wierzył w przyszłość Madagaskaru i w przezwyciężenie powojennych kłopotów. Ale nie liczył się z kapryсами madagaskarskiego nieba. W 1950 roku nowy cyklon nawiedził wyspę i szczególnie dał się we znaki na zachodzie. Wichura zerwała dachy Winistorferowych składnic, a ulewa przemoczyła zapasy rafii do tego stopnia, że uległy zniszczeniu. Strata tysiąca trzystu bel cennego towaru doprowadziła starą firmę do upadku i szybkiego rozwiązania, a Winistorfera zmusiła do powrotu do Szwajcarii. Więc Hieronim Obst pozostał sam w swej Antsezie, odcięty od świata — człowiek silny, ale niemal zrujnowany.

OSAMOTNIENIE

Chociaż Obst junaczył i jego pewną siebie minę opróżniał częsty uśmiech, to przecie ową samotność wyczuwałem w każdym zdaniu jego opowieści. Dawniej, gdy posiadał pieniądze, miał licznych przyjaciół wśród Francuzów, Kreolów i nawet Greków, ale teraz gdzie się oni zapodziali. Dawniej częściej spotykał tych kilku Polaków, przebywających na Madagaskarze. Dziś Leona Barka, mieszkającego wciąż w Bealananie, od lat już nie widział, Strandman zaszył się gdzieś w broussie za Maevatananą, a Gier-liński żył po drugiej stronie wyspy w waniliowej Antalaha. Obst miał dawniej miłą towarzyszkę życia, szlachetną i oddaną Kreolkę, którą dobrze sobie przypominałem z przedwojennych czasów. Ale ona krótko po wojnie umarła. Dzieci nie było. Teraz w Antsezie gospodarzyła Obstowi stara Malgaszka, Saka-lawka, bardzo mu obca, którą przyhołubił do siebie tylko dlatego, że była w skrajnej nędzy i miała kilkoro wygłodniałych dzieci. Jedno z tych dzieci, dziesięcioletniego chłopczyka, Obst polubił, nawet tak polubił, że zastanawiał się, czyby go nie usynowić i przywiązać serdecznie do siebie.

- Czy to chłopiec wartościowy? — spytałem.

Obst trochę się zawahał.

— Tak, chyba tak! — odrzekł. — Zresztą sami zobaczycie, gdy będziecie u mnie w Antsezie.

Umilkł i obydwaj na pewno pomyśleliśmy to samo: jakie trudne to zadanie, by rzetelnie, naszym obyczajem, przywiązać do siebie tutejszego chłopca. Malgasze żyli na ogół w odrębnym od naszego świecie uczuć. W wielu dziedzinach inaczej postępowali niż my i inne mieli reakcje.

— Czy chłopczyk okaże się wdzięczny? — bąknąłem.

Obst nie odpowiedział na pytanie, ale po chwili odezwał się zmienionym głosem, niemalże załkał:

— Tak bardzo lubię dzieci, tak bardzo do nich...

Zdziwiłem się, więcej: prawie przeraziłem się wiedząc, że mgłą zaszyły mu oczy. Więc nieposkromiony ongiś pionier, mężny zwycięzca i chwata takie przeszedł przeobrażenia, że oto miewał rzewne uczucia i nie ukrywał ich?

— Przecież trzeba się przywiązać do kogoś! — rzekł jakby na usprawiedliwienie. Obst przebywał na Madagaskarze od czterdziestu dwóch lat, istną wieczność, ani razu nie opuszczając wyspy. Miał w Polsce rodzeństwo i wiedziałem, że o swoich często serdecznie myślał i tęsknił do nich. Wybił się tu na bohatera, udowodnił, że potrafi podbijać i obcą przyrodę, i ludzi, ale w końcu los odwrócił się od niego, ślepe żywioły go pokonały, Madagaskar już go nie chciał. A ponieważ Obst miał siedemdziesiątkę, należało chyba wyciągnąć prostą konsekwencję: powinien był wracać do swoich. do kraju.

Gdy mu o tym napomknąłem, zachmurzył się i dopiero po chwili odpowiedział:

- To nie takie proste!

- Dlaczego nie? — powstałem.

- Straciłem majątek! — rzekł. — Nie mam pieniędzy.

- Czy nie starczy na drogę powrotną?

Tyle miał jeszcze, ale był inny sęk: Obst wstydziłby się wracać do Polski bez majątku. Zaśmiałem się z tej rozterki i takich wątpliwości, tracących sposobem myślenia sprzed czterdziestu dwu laty, i zapewniłem go, że gdy wróci do Polski Ludowej bez majątku, nikt mu tego wypominać nie będzie, on dobrego imienia nie straci, ani korona z głowy mu nie spadnie.

Ale okazało się, że sprawa w gruncie rzeczy nie była tak prosta, a przyczyna niepokoju leżała głębiej: w jego usposobieniu.

WSPANIAŁE, UMĘCZONE DĘBISKO

Pomimo podeszłego wieku Obst zachował niezwykłą siłę fizyczną i dziarskość, a że kolejne katastrofy podcięły mu byt, zawział się w szczególnej ambicji. Nie chciał uznać klęski. Wyzwał do czupurnej walki przeciwny los. Niestety było to jak borykanie się z wiatrakami, jak rozpaczliwa walka kogoś nieodwołalnie spychanego;. Czasem wydało mi się, że widziałem go w sieci albo w klatce, a im mocniej szarpał szczeble, tym złośliwszy stawiały one opór. Madagaskar okazywał mu oblicze coraz bardziej wrogie, ale on właśnie dlatego wziął na kiel i podjął bezskuteczną obronę. W tych warunkach nie mógł się ostać, więc krok za krokiem przegrywał.

Chociażby sprawę drogi z Antsezy do Madzungi. Właściwie drogi już nie było, dawno się zepsuła. Francuzi, będący na odjezd-ny m z Madagaskaru, przestali ją naprawiać, a Malgasze, którzy objęli rządy, mieli inne kłopoty na karku. Więc wszelki wywóz produktów z Antsezy ustał i Obst znalazł się niby w potrzasku. Co jeszcze zarabiał, to były tylko okruchy z ręki do ust.

Miał zawsze dobre serce i sływał z hojnej ręki, a okoliczni Malgasze skwapliwie z tego korzystali, uważając go za kogoś w rodzaju swego patriarchy czy naczelnika. Dziś im także wiodło się gorzej, więc wielu z nich w stosunkach z Obstem starało się go ocyganić i nie myślało wywiązywać się z długów.

Szczególnie zatrwazający był stosunek Obsta do szefa dystryktu, podprefekta, rezydującego w Mitsinjo. Poznałem go, gdy w drodze do Obstowej Antsezy wypadło nam postać przez kilka dni w tej zatraconej mieścinie Sakalawów, będącej właściwie większą wsią.

Podprefekt miał blisko czterdzieści lat, ale był tak szczupłej postaci, że wyglądał na dwudziestokilkuletniego młodzika. Pochodził, tak samo jak prezydent Tsiranana, z dzielnego szczepu Tsimihetów z głębi wyspy. Jak wielu wybijających się Malgaszów rozkoszował się własnym krasomówstwem, mówił bardzo wiele i z nadmiernym patosem. Przy tym był naszpikowany kompleksami niższości, więc zachowywał się z drażniącą pewnością siebie. Lubił zaglądać do butelki, przepadał za whisky. Do Polaków miał niejaki pociąg, bo kiedyś przyjaźnił się z Gierlińskim z Antalahy, również nie stroniącym od kieliszka i miłym kumplem.

Na tego podprefekta Obst patrzył z góry, z domieszką pogardy, i wcale tego nie ukrywał. Miał mu za złe, że drogi nie naprawiał, i w ogóle miał mu za złe wiele innych rzeczy. Podprefekt w obecnych warunkach ustalającego się państwa i wciąż zmieniających się warunków był wszechwładną figurą w swym ustronnym dystrykcie i

jeśliby tylko chciał, mógł tu na każdym się odegrać i każdego zmiażdżyć.

Mimo to malgaskiemu samodzielnemu Obst stawiał czoła, wypowiadał niebezpieczną wojnę. Nie zaciętą i nie ważną wojnę, ale kąśliwą, docinającą i obsesyjną. Niewątpliwie przegrywający śmiałość chciał siebie przekonać, że jeszcze tkwi w nim zadzierży-stość i że stać go na igranie z ogniem. Nurtowała go konieczność utwierdzenia się w wierze, że jest wciąż jeszcze kimś i że porażki życiowe winien nadrabiać czupurnością. Niestety, nie był to już dwudziestodwuletni zuch z wojska niemieckiego ani malgaski podprefekt nie był jolopowatym sierżantem pruskim.

Więc Obst miotał się, powtarzam, w zaczarowanej sieci, którą sam zarzucał na siebie, a ja coraz wyraźniej uświadamiałem sobie jego tragedię. Pewnego razu na drodze w Mitsinjo widziałem go z daleka w rozmowie z pewnym Malgaszem. Olbrzymi Obst górował tu nad ludźmi o głowę lub więcej, toteż będąc głuchy musiał stale schylać ucho do ust Sakalawy, by go rozumieć. Oto gdy go widziałem z daleka tak schyłego jak gdyby w nadludzkim wysiłku i z trudem porozumiewającego się z tutejszym człowiekiem, odniosłem wrażenie, że Obst tak samo z trudem schylał się nad dzisiejszym Madagaskarem i coraz mniej go rozumiał.

Dziarskie ongiś, dziś wciąż wspaniałe, ale umęczone dębisko spod Trzemeszna nie chciało się poddać, chociaż sprzysięgły się przeciw niemu wszystkie żywioły tej obcej wyspy.

Katsepa: marzenia o szczęściu

Już w korespondencji, jaką wiodłem z Polski z Hieronimem Obstem, ustaliliśmy, że w pierwszym etapie mej madagaskarskiej podróży pojedę do Antsezy i tam przez pewien czas zabawię w gościnie u przyjaciela z dawnych lat. Antseza leżała o jakieś sto kilometrów na południe od Madzungi, na południowym brzegu kapryśnego jeziora Kinkony, w kraju buńczucznych Sakalawów. Więc krótko po moim przybyciu na Madagaskar ruszyliśmy na południe w tę podróż, mającą niestety zgotować mi przekorne niespodzianki.

Przeplłynęliśmy tęgim promem przez ujście Betsiboki, szerokiej w tym miejscu na dwadzieścia kilometrów, i wylądowaliśmy na drugim brzegu w rybackiej wiosce Katsepa, ale tu zaczęły nas czarować przeciwności: wszystkie autobusiki, tak zwane taxi--brousses, tego dnia już odjechały w głąb kraju i trzeba było pozostać w hoteliku madame Gordon przez całą prawie dobę.

Prom przecinał ujście Betsiboki nad tymi samymi głębinami, nad którymi wiele lat temu młodziotka księżniczka O-Której-Ży-cie-Tysiące-Się-Modliły rozstrzygała na kruchej tratwie los królestwa Sakalawów. Natomiast Katsepa leżała dokładnie na brzegu, z którego ojciec księżniczki, niezapomniany Andriamandisoarivo, spuścił tratwę na wodę. Spoglądałem w tę wodę: bystry prąd tworzył szpetne wiry i łącznie mógł rozerwać tratwę. Za to Katsepa była ślicznym dla oka ustroniem i odpowiadała wszystkim ograny idealom, wydumanym przez lubowników mórz tropikalnych: palmy kokosowe pyszniły tu się urodziwsze niż gdzie indziej, malownicza pycha rozpierała chaty z bambusów, piasek pieścił tu nogi po kostki nie gorzej niż w klasycznych filmach o Tahiti, a w hotelu witała nas uśmiechem rozgwarzona rozwódka, madame Gordon.

Nad nami szeleścił dach z liści palmowych, gdy Gordonowa wdała się w powitalną gawędę z Obstem. Spotykał on na każdym kroku przyjaciół i znajomych. Nie rozumiałem, co mówili, bo posługiwali się jakąś kreolsko-francuską gwarą, ale hotelistka miała wiele do opowiadania i czyniła to z werwą czterdziestolatki wciąż czującej się młodo i zaborczo. Była żywa i dość ładna i sprawiała wrażenie zadowolonej z życia, jak należało się spodziewać, w tak rozkosznym otoczeniu. Katsepa uchodziła za najmiłsze letnisko w okolicy Madzungi i tu do hotelu przyplływali chętnie goście z miasta, szczególnie w czasie weekendów było ich tu pełno.

Dopiero później, przy kolacji, gdy na dworze zapadła noc głośna, a czarna jak smoła, i na bambusowych ścianach hoteliku rozegrały się podniecone jaszczurki gekony —

dowiedziałem się od Obsta o życiowej tragedii Gordonowej. Była to Kreolka ze znamienitej rodziny, pochodząca z wyspy Reunion, czystej krwi Francuzka, choć nieraz Kreole miewali małą domieszkę krwi murzyńskiej czy malgaskiej. Wyszła za męża za rodowitego Francuza, który po wielu latach współżycia, pomimo przyjscia na świat dwóch córek, opuścił żonę brutalnie twierdząc, że jest czarna, i umknął do Francji. Było to złośliwe kłamstwo, Gordonowa bowiem nie miała ciemniejszej cery niż większość kobiet na południu Francji. Cios nie załamał dzielnej kobiety. Dawała sobie radę próbując tego i owego, aż w końcu wylądowała w Katsepie z matką i dwoma córkami, założyła tu hotel a la tahitien i chyba nieźle się miała ku zadowoleniu gości z Madzungi.

Ale odważną kobietę los dalej doświadczał i nie układał jej życia na różach. Oto jej matka: zupełnie sparaliżowana, niezdolna ruszać się ani mówić, leżała od lat nieruchomo w jednym z pokoi hoteliku, żywy trup, wymagający ciągłego zachodu. Oto starsza córka, ładna, osiemnastoletnia Jiselle, zaręczyła się z jakimś kretynowatym postrzeleńcem, przebywającym w głębi wyspy i uparcie wiążącym jej życie. Oto młodsza, bardzo ładna córka, ale kaleka, bo chromała na jedną nogę przy postępującym niedowładzie. A oto Jean, brat Gordonowej, nałogowy pijak, miły i okrutnie niesumienny szalapat i dziedzinniały filozof w rzadkich chwilach trzeźwości. Słowem, madame Gordon była mocną, hożą kobietą, otoczoną kręgiem ludzkiej niedoli w pejzażu tak pięknym, że przywodził na myśl raj i niezmacone szczęście.

W hotelu mieszkał oprócz nas dwudziestokilkuletni Francuz o uduchowionej twarzy galijskiego romantyka. Naturalnym biegiem rzeczy zapalił się do ślicznej Jiselle i ścigał ją

spojrzeniem, ale był nieśmiały i smutny. Jego afekt tchnął również cudactwem i dziwacznie wikłał czy uzupełniał atmosferę hotelu.

Przed kolacją puszczałyśmy na adapterze płyty z przyjemnymi melodiami. Porywający baryton śpiewał do gitary miłosne piosenki, a były radosne i pulsujące uczuciem.

— Nowoczesna muzyka — odezwał się Francuz, wskazując na adapter — jest bardzo smutna...

Był, widać, bardzo zadurzony, skoro tak odczuwał miłą piosenkę.

Gdy później leżeliśmy w naszej kwaterze pod dachem palmowym i Obst już oddychał miarowo, a ja zasnąć jeszcze nie mogłem, wrażenia tego dnia chodziły mi po głowie i wydały się jakimś wytworem typowo madagaskarskim. Ileż kłopotów zbiegło się tu w jednej rodzinie, co za brzemień obciążenia dziedzicznego, ile małych tragedii w każdej z tych istot, najwięcej zaś cierpienia zapewne u tej, która była pozornie mocna i wyglądała na najszczęśliwszą — i pomyśleć: te wszystkie utrapienia na tle tak urzekającego otoczenia! Przecież od pierwocin ludzkości — powtarzam myśl — podobną scenerię zawsze kojarzyliśmy nie z czym innym jak z rajem Biblii lub z edenem poetów. O, uroczy cyniku, Madagaskarze! O, czarownicy kuglarzu, kapryśnie tasujący karty białe i czarne!

A może młodego Francuza, wzdychającego do Jiselle, przysłał los, by kawaler rozerwał zaklęty krąg dokoła Gordonów i wlał w nich ożywcze siły? Może o tej godzinie przyzwycięzył on już swą nieśmiałość i dwoje młodych leżało razem przytulonych do siebie i szepczących o wiecznym kochaniu? Serdecznie im tego życzyłem.

Tymczasem od morza wzmagął się wieczorny wiatr i szum głośniejszy szedł od rzeki. Palma kokosowa, stojąca przed chatą, smagana monsunem, coraz mocniej uderzała olbrzymim liściem o nasz dach. Siedziała mi w pamięci niedawna opowieść Obsta o cyklonach i ich groźnych następstwach na wyspie, więc łoskoty wiatru i skrzypy palmy budziły raczej niesamowite wspomnienia.

Madagaskar, przeważnie uśmiechnięty łagodnością palmowych gajów, miewał straszne chwile i umiał wybuchać gniewem cyklonów i podobnych katastrof. Ale jeśli Francuz i Jiselle leżeli gdzieś objęci, to na pewno nie słyszeli wiatru. I mieli słuszość. A jeśli coś słyszeli, to tylko harfy eolskie.

Dziwactwa w Mitsinjo

Przestrzeń około siedemdziesięciu kilometrów z Katsepy do Mitsinjo przebyliśmy na autobusowym gruchocie w ciągu trzech godzin. Kraj był właściwie pusty, bez wiosek, a początkowe rozłogi i chęchy przeszły wkrótce w las, składający się przeważnie z palm wachlarzowych, zwanych tu satraka.

Palmy satraki podziwiałem już dawniej, w czasie pierwszego na wyspie pobytu. Powszechnie w ' północno-zachodniej części Madagaskaru, stanowiły uderzające godło tych stron i przejmowały ongiś swą groteskową urodą, ale i dziś wzruszały: ich liście były jak olbrzymie dłonie o kilkunastu palcach i jak dłonie ludzkie posiadały wymowę mimiczną. Satraki wskazywały swymi liśćmi w różnych kierunkach, a te, które stały przy drodze na wprost naszego autobusu, wyciągały ku nam dłonie jakby w przyjaznym powitaniu. Były to palmy przemawiające do człowieka.

Mitsinjo, siedziba władz dystryktu, było miasteczkiem niczego sobie, gdzie mieszkało kilkuset Sakalawów i dwadzieścia kilka osób innych szczepów i narodowości, żerujących na tubylcach. Normalne malgaskie miasteczko z rejonu wybrzeża, ni smutne, ni wesołe. Błogosławione dwoma czy trzema kościółkami, nie grzeszyło zbyt dużą pruderią swych nadobnych ramat, za to odznaczało się wspaniałymi tamaryndowcami, których rosło tu kilkadziesiąt. Olbrzymie drzewa wynosiły swe liściaste kopuły wysoko ponad siedliska ludzi i tworzyły ozdobę naprawdę imponującą. Natomiast miła piasek, w którym grzęzło się na wszystkich ulicach, był mniej przyjemny.

W Mitsinjo wpadliśmy w barwną galerię ludzkich rarogów. Dla nas najważniejszym był Jean Gordon, brat Gordonowej z Katsepy, właściciel motorówki na jeziorze Kinkony. Jean leżał niestety pijany od dwóch dni, niezdatny do niczego. Do Antsezy nie mieliśmy innej drogi jak przez jezioro, a Jean miał jedyną motorówkę, więc musieliśmy czekać, aż wytrzeźwieje.

Czekaliśmy w jedynym tu hotelu, zawiadywanym przez Greka Christopha, który miał trzydzieści parę lat i cieszył się niepoczesną postacią tudzież niesamowitą sławą. Niski, grubawy i brzydki, nie wyglądał na koguta, a był nim okrutnie. Lew na sprawy miłosne konsumował codziennie po jednej ramatu, trawiony dumną ambicją, by wszystkie z Mitsinjo, jedną po drugiej, mieć na swym rozkładzie. Równocześnie prowadził on w hotelu sklep z różnymi towarami, ale źle prowadził, bo miał wzrok i umysł zamglony od stałego wysiłku donżuańskiego.

Właściciel hotelu, Grek Dimos Dintonis, mieszkający w jednej z izb, był od lat sparaliżowany podobnie jak matka Gordonowej — uderza w tym kraju obfityść tego rodzaju porażen — i w swej kwaterze wydawał z siebie co dwie, trzy godziny dziki, nieludzki okrzyk, gdy chciał przywołać garsona. Wrzaśnięcie, wstrząsające zniechęca całą okolicę, nie miało w sobie nic ludzkiego czy nawet zwierzęcego, brzmiało, jak gdyby zaskowyczał oszalały potwór przedhistoryczny. Powtarzało się to kilka razy dziennie i zawsze działało jak piorun. Później poznałem samego Dintonisa: mężczyzna w sile wieku, znieruchomiał, zdolny tylko z trudem mamrotać coś pod nosem, miał niezwykle łagodną, ujmującą twarz i oczy szlachetne, ale przeraźliwie smutne.

Ruch, energię, sprężystość przedstawiał w ospałym Mitsinjo szef dystryktu, podprefekt Arsen Rajoarivelo ze szczepu Tsimihetów, młody dygnitarz o nikłej postaci, lecz tegiej elokwencji. Złożyłem mu w biurze wizytę grzecznościową, która miłe go polechtała. Zawsze pewny siebie, aż podejrzanie pewny, wygłaszał okrągłe sentencje najpoprawniejszą francuszczyzną, jaka istniała na świecie, i chwalił siebie z umiarem, a bez umiaru prezydenta Tsira-nanę. Gorliwy nad wyraz w swym urzędowaniu, bez cackania ostro ściągał podatki, toteż psioczyli na niego ludzie dystryktu, a chwalili go przełożeni.

Sprawował tu nieograniczone rządy i usadowił się na górnym końcu miasteczka, podczas gdy na drugim, dolnym skraju mieszkała w skromnej chacie stara królowa tutejszych Sakalawów. Chociaż

dziś nie posiadała najmniejszej władzy zewnętrznej, otaczano ją powszechną czcią,

była bowiem reliktem dawnej świetności tak samo jak grób w Doany Vovo. W osiemnastym wieku Sakaławo-wie tego loili Tsimihetów i panowali nad nimi, więc szefowi dystryktu niewątpliwą sprawiał przyjemność, że teraz on był górą nad Sakalawami i że dziś mógł ich królową poklepywać po starczych plecach.

W gnuśnej mieścinie czekając jeden dzień i drugi, i trzeci na wyparowanie rumu z uchlanego Jeana, odbywaliśmy przechadzki po wszystkich zaułkach, rozmawiali z ludźmi, ile wlezie, i fotografowali. Pewnego kupca hinduskiego odwiedziliśmy dwa razy, bo był dobrym znajomym Obst. Niestety, Hindus, choć młody, a właściwie dlatego że młody, czarno patrzył na swój los, który zagnał go do tak ospałej dziury, i nieustannie skarżył się na złe interesy i obrzydłą nudę. Był kawalerem, tęsknotą rwał się do Madzungi, ośrodka kupców hinduskich, a dopiero nieco się ożywił, gdy mówił o Greku Christophe i poruszał sprawę tutejszych dziewczyn. Były dla niego, tak samo jak dla Christopha, jedyną rozrywką i dzielił je na dwie kategorie, zależnie od dananego im подарunku: na dwustufrankowe i pięciusetfrankowe.

— Na czym polega różnica? — spytałem.

— Na poziomie — odrzekł Hindus ze znudzoną twarzą. — Pierwszej kategorii wystarcza podłoga, druga wymaga łóżka...

Dobrze zdawaliśmy sobie, Obst i ja, sprawę, że w tej zaszytej w broussie mieścinie błąkały się dziwne nastroje, a ludzie byli z lekka postrzeleni. Dwóch, trzech Malgaszów ujrzawszy nas z daleka, czmychało w boczną uliczkę jak przed diabłem, ale Obst zaraz mi wytłumaczył, że to wcale nie narwani, lecz tylko nieuczciwi jego dłużnicy i dlatego tak zmykali.

A my sami, czy w lunatycznym Mitsinjo nie wyglądaliśmy w końcu na błędnych rycerzy? Dzień w dzień mieszkańcy widzieli dwóch maniaków, dwóch don Kiszotów z rolleiflexami w ręku. Skradali się wśród chat jak dwóch zwariowanych myśliwych i strzelali z aparatów do wszystkiego, co po drodze, do spłoszonych ludzi, dzieci, wołów, do drzew nawet, a potem zaglądali uparcie do chaty Jeana, czy odzyskał przytomność. Odzyskiwał, uśmiechał się dobrotliwie i przyrzekał wszystko, ale po naszym odejściu pił na nowo.

Na trzeci czy czwarty dzień daremnych chodów zrozumiałem, że opaczny los nie pozwoli mi przewyciężyć dziwactw w Mitsinjo i że jezioro Kinkony zamieniało się w nieubłagany Styks. Jakże przepłynąć przekłętą wodę, skoro gałgan Charon był stale pijany?

Jezioro Kinkony

Jezioro Kinkony zażywało do niedawna złej sławy: żyły nad jego brzegami demony w postaci karłów Kalanoro, złośliwych wobec ludzi.

Do jeziora nie było daleko od Mitsinjo, kilkanaście kilometrów, i prowadziła tam niezła droga, a dojechawszy stawało się nad brzegiem tak rozległej wody, że jej drugiej, południowej, strony w niektóre dni trudno było się dopatrzeć. Gęste sitowie i wszelakie trzciny utrudniały dostęp do jeziora, w samej wodzie zaś niesamowicie pieniały się wszędzie wodorosty, całymi milami utrudniając wiosłowanie. Utrudniając do roku 1955.

Nad samym Kinkony leżało, oprócz Antsezy, jedenaście wsi zamieszkałych przez Sakalawów. Nikt z mieszkańców nie wątpił, każdy na wszystkie demoniczne świętości przysięgał, że w nadbrzeżnych sitowiacznych gnieździły się karły Kalanoro. Wysokie na trzy stopy, miały długie włosy i po trzy palce u każdej nogi; były pozornie łagodne, ale okrutnie podstępne, wyglądały jak ludzie. Wieczorem wychodziły z oczeretów na przechadzkę. Gdy napotykały człowieka, omamiały go miłą rozmową tudzież tak słodkim głosem niewieścim, że nieborak bezwiednie szedł za nimi w jezioro i zaplątany w wodorostach tonął. Obfite wodorosty jeziora Kinkony służyły za mordercze narzędzie Kalanorom.

Takie to skrzaty grasowały tu od niepamiętnych pokoleń i zgubę gotowały ludziom. Ale w roku 1955 przyszła — jak na wiele innych w tym kraju mankamentów — kreska

na Matyska. Przyszła w postaci małej, niewinnej, roślinożernej rybki. Mianowicie Francuzi sprowadzili z Konga Belgijskiego ryby kilapie, łatwo tam się rozmnażające, i spróbowali ich hodowli na Madagaskarze.

I oto małe karpiki kilapie, podobne z postaci i manier do naszych karasi, na nowej ziemi obiecanej poczuły się jak u Pana Boga za piecem, zażywały rozkoszy i bajecznie się zadomowiły.

Sz szczególnie upodobały sobie jezioro Kinkony i jego wodorosty. A tak gorliwie ucztowały na smacznym zielsku, że rozmnożyły się jak opętane, porosły w sadło i apetyt miały coraz potężniejszy. Pod koniec drugiego roku było ich w Kinkony tyle, że całe jezioro obskubały z roślin do czysta, nie pozostawiły łodyżki ni źdźbła i — jednocześnie wyżarły także jego zły urok. Karłom Kalanorom zabrakło zabójczych wodorostów, by omotywać ludzi i wciągać ich w otchłań; nie było już czym straszyć. Potworki przepadły. Wyleciały ludziom z wyobraźni i z duszy.

Sakalawowie cieszyli się z urodzaju ryb, ale z sumieniem byli w rozterce. Trapili się, że kilapie pokonały tak groźną dotychczas potęgę, że rybnie żarłoczki zubożyły ich o wiare w karły Ka-lanoro. Był rok 1955 i następny, gdy najżywiej to odczuwali. Nawet prostym ludziom świtało wtedy w głowach, że tracili coś na zawsze, coś, co było bliskie ich życiu i życiu ich przodków.

Trędowaci, żyjący na różach

Jezioro Kinkony miało jeszcze inną osobliwość, wieś trędowatych, Budimango. Takie wsie nie były rzadkością na Madagaskarze. Budimango, stworzone jeszcze za czasów kolonialnej administracji Francuzów, liczyło obecnie około dwustu mieszkańców i niczym nie różniło się od innych wsi nad jeziorem: chorzy mieli tu zupełną swobodę, mogli robić, co im się podobało, przychodzić i odchodzić według zachcianki i żadnym nie podlegali rygorom lekarskim. Nie dowiedziałem się, jak często zaglądał do nich lekarz, i wielkie pytanie, czy w ogóle zaglądał: Budimango leżało, jak Antseza, na południowym brzegu jeziora i trudny miało do siebie dostępn.

Co mnie niezmiernie dziwiło, to fakt, że ludność okoliczna nie żywiła uprzedzeń do chorych i niezbyt lękała się ich trądu. Raczej przeciwnie, zgoła absurdalnie: trędowatych darzono szczególnym szacunkiem, ba nawet czymś po prostu niedorzecznym, bo zazdrością. Rzecz nie do wiary: zazdroszczono im. Chorzy uchodzili za coś lepszego, tworzyli jakiś swoisty klan arystokracji i co ciekawsze, sami mieli niemałe o sobie wyobrażenie. Zrazu sądziłem, że to nadrabianie miną ludzi dotkniętych nieszczęściem, ale wkrótce zrozumiałem, w czym sęk: trędowaci mieli pieniądze. Oczywiście mieli niewiele tej forsy, ale wystarczająco, ażeby wśród całkiem ubogich wieśniaków uchodzić za bogaczy zazdrości godnych. Stąd źródło powszechnej adoracji, a u chorych zadzierania nosa (jeśli jeszcze był).

Gdy przed laty władze zakładały kolonię w Budimango, miały na oku osłodzenie losu trędowatych i przywiązanie ich do jednego miejsca, więc nadały im tu pewne przywileje i nauczyły ich uprawy tytoniu. Koncesja tytoniowa przynosiła niezłe zyski, których nie mieli inni Sakalawowie, i tak zaczęła się przewaga upośledzonych nad zdrowymi.

Zdobyte zarobki szły głównie na strojenie się, jakby dotknięci okrutną chorobą chcieli zasobną szatą przeciwważyć kalectwo. To zadawanie sobie szyku i próżności wywierało wrażenie. Mieszkańcy Budimanga wyrabiali sobie coraz większe uznanie, nawet podziw budzili, i gdy taki siaki elegant pojawiał się w obcej wsi, a choroba jeszcze go nie zniekształciła, ludzie chętnie z nim się kumali. Co więcej, niejedna młoda ramatu witała go zalotnym śmiechem. Wiedziała o jego chorobie, ale wiedziała także i to, że miał pieniądze i był hojny, grosza nie dusił.

Nad brzegami jeziora Kinkony i w całej okolicy narastały cudaczne nastroje, tracące groteską i makabrą. Gromada straceńców, silna tym, że zdyscyplinowana wspólną chorobą, zdobywała wyższość nad zdrowymi sąsiadami, więcej wyrastała na elitę. Trędowaci — powtarzam — zaczęli uważać się za coś lepszego, za pomazańców losu, a

sąsiednie wsie, zwiedzione pozorami ich pomyślności, chętnie im przyklaskiwały. Niestety powodzenie, jak to nieraz bywa, przewróciło trędowatym w głowie i skusiło ich do głupstw. Tytoń był monopolem państwowym i należało go odstawić władzom po wyznaczonej cenie. Trędowaci, chciwi jeszcze lepszych zarobków, zbiory sprzedawali często na lewo. Więc gdy to stanęło władzom w gardle, odebrały im tytoniowe przywileje, ale dbałe o dolę nieszczęsnych, dały im zaraz inny zarobek do ręki: rybołówstwo. Kilapie w jeziorze właśnie się rozmnożyły, więc Budimango wyposażono w należyty sprzęt rybacki, sieci, łodzie, i trędowatym polecono rażno łowić. Łowili, ryb było bez liku. Rybacy posyłali połowy do Mitsinjo i dalej do Madzungi i znowu opływali we franki, pociechę i cześć. Działo się to na kilka lat przed moim w te strony przyjazdem.

Szkaradna choroba, nawet gdy nie leczona, rozwijała się powoli, całymi latami, i przez długi czas tylko nieznacznie dawała się we znaki. W Budimango było wiele chorych sprawiających wrażenie ludzi krzepkich i rześkich. Wciąż jeszcze silni, nadrabiali fantazją i gorączkowo starali się wykorzystać wszystkie uciechy życia. Pilno im było wyżyć się do szczytu, zanim niemoc z nóg ich zwałała. Więc biegali po wsiach, szukali przygód, napastowali kobiety. Łase na szeleszczące cadeaux dziewczęta, uświęconym od wieków zwyczajem krajowym nie były odporne, a ich ojcowie chętnie przymykali oczy, gdy im także coś skapywało.

Wydarzenia, rozgrywające się dokoła jeziora Kinkony, poruszyły mnie szczerze. Był to cichy obłęd istot świadomych tego, że są skazane na zagładę. Desperaci rozpaczliwie czepiali się resztek życia i potwierdzenia swej tężyzny szukali w tym, co im było najbliższe: w niewybrednej zmysłowości.

— Przecież istnieją dziś lekarstwa powstrzymujące rozwijanie się choroby! — zagadnąłem kiedyś Christopha, młodego hotelarza w Mitsinjo.

Jego tłusta twarz śmiesznie zaszała chmurną żalością. — Budimango leży za jeziorem, z drugiej jego strony, a to jakby koniec świata! — burknął mi na odpowiedź.

Podczas mego pobytu w Mitsinjo przybyło do hotelu dwóch względnie młodych trędowatych. Starannie ubrani, mieli ładne kurtki z welwetu, sprowadzone zapewne z Madzungi od Hindusa. Gdyby mi tego dyskretnie nie wyjawiono, nie domyśliłbym się, kim oni. Byli to Sakalawowie, obnoszący się ze sztuczną wyniosłością, i wszyscy ich tu znali. W hotelu zasiedli przy stole i zamówili u Christopha butelkę czerwonego wina. Garson, pomocnik hotelarza, przyniósł im butelkę, ale bez szklanek.

— Zwariowałaś, głębie? Z czego mamy pić? — zachnął się starszy z nich na chłopaka i warknął rozkazującym głosem: — Dwie szklanki, ale biegiem!

Dostali szklanki, wypili butelkę, zażądali drugiej. W miarę trąbienia tracili początkową godność, wpadli w humor i często wybuchali śmiechem. Dowcipkowali czyniąc pod adresem Christopha pieprzne uwagi. Było im coraz lepiej i stawali się coraz zuchwalsi. Christophe dziwne przechodził zmiany. Patrzył na obydwóch z rosnącym niepokojem. Coś mu się nie podobało. Ale co? To nie byli awanturnicy, burdy wszczynać nie zamierzali. Czyżby Christophe obawiał się, że mu nie zapłacą za wino, albo czy miał im za złe, że oni, trędowaci, pili z jego szklanek? Nic podobnego. Po powrocie Obsta z miasteczka (był u jakiegoś znajomego Hindusa) rzecz bardzo prosto się wyjaśniła. Christopha dręczyła myśl, że dwaj rozweseleni goście pójda na mieścinę i wyrządzą mu krzywdę: będą mieli powodzenie u jego fertycznych ramatu.

Trujące drzewa kumangi

Madagaskar pozostał wierny poczętej przez Marka Polo tradycji i od kiedy dostał się na języki ludzkie, opływał w nieposkromione mity. Wieści o jego tajemniczej a zabójczej florze były na ustach wszystkich marynarzy i podróżników zbliżających się do brzegów wyspy.

Więc kołatał się w opowiadaniach ów przysłowiowy już, nieszczęsny wędrowiec, który nieopatrznie kładł się na spoczynek pod drzewem-mordercą. W nocy zdradzieckie

drzewo oplatało go zwojami swych gałęzi i zaduszało na śmierć, aby wyssać z niego krew. Więc maleńkie włoski, wydarte znad kolanek bambusu birmańskiego — wiedzieli to wszyscy na wyspie — podstępnie wrzucone do strawy tego, którego zgładzić postanowiono, po kilku miesiącach zadawały mu nieuchronną śmierć na skutek powstałych w żołądku wrzodów. Więc okrutny proceder sądów bożych, tak nagminnych na Madagaskarze w XIX wieku. Podsądni musieli zjadać owoce trującego drzewa tanguinu i biada winnym. Podczas trzydziestotrzyletniego panowania Ranavalony I zginęło od tanguinu około ćwierć miliona Malgaszów, co chyba stanowiło wówczas piątą część ludności pod rządami groźnej królowej. Trujące drzewo było nieustannym koszmarem wielu pokoleń.

I nie potrzeba uciekać się do sądów bożych ani do szalonej królowej. Wędrownik po kniei madagaskarskiej często natykał się na dokuczliwe rośliny. „Krocąc kiedyś w rzadkim lesie w krainie Sakalawów, doznałem ni stąd, ni zowąd na palcach piekącego klucia, jakiego nigdy nie doświadczyłem na wyspie — pisał angielski przyrodnik, Montgomery, na początku XX wieku. — Osłupiały stanąłem jak wryty, bo niczego podejrzanego nie dotknąłem ani na palcach nie ujrzałem. A już okropny ból wędrował z palców na wierzch rąk, i dalej na przeguby, na przedramiona, a gdy schyliłem głowę, ból, porażający ból przeszył także kark i uszy. Z trudem dowlokłem się do obozu, gdzie Malgasje na mój widok przerażeni krzyknęli: Agy! Było to drzewo, obsypujące przechodnia drobnymi włoskami ze swych dojrzałych owoców. Na szczęście moi ludzie gwałtownie nacierając mnie piaskiem i wodą usunęli piekielne włoski z ciała i sprawili mi ulgę.”

Tak oto wśród madagaskarskiej flory dziwnie przeplatała się groźna rzeczywistość z upiornymi urojeniami. Na południowym wschodzie wyspy rosły na bagnistych gruntach chytne rośliny owa-dożerne, dzbaneczki nepenthes. Na końcu wydłużonych liści miały kilkunastocentymetrowe dzbanki-paszczki do połowy wypełnione trawiącą cieczą. Otóż owady, które zwabione nektarem tam wchodziły, już się nie wydostawały, skazane na śmierć i pochłonięcie, i na dnie dzbanuszka leżało pełno ich szczątków.

W XVII wieku wiele Europejczyków, zwłaszcza Francuzów, napotykało mnóstwo tych dzbaneczków w pobliżu Fortu Dauphin i przyglądało im się z zabobonną zgrozą: ich rozwarte kielichy wydały im się żarłocznym pyskiem podstępnej bestii, gromadzącej na dnie czeluści trupy swych ofiar. A że owi Europejczycy nieustannie żyli pod strachem przed tubylcami i wrogą przyrodą, dręczyły ich przywidzenia. Puszczali wodze chorobliwej wyobraźni i wewnątrz wyspy zapełniali roślinnymi potworami, czyhającymi na ich zgubę. Tak w każdym razie angielska podróżniczka, O. M. Chapman, zwiedzająca Madagaskar tuż przed drugą wojną światową, tłumaczyła sobie uderzający fakt, że istniało tu tyle wyolbrzymionych pogłosek i mitów o drzewach-mordercach.

Czy tak bardzo wyolbrzymionych pogłosek? Nad Kinkony, zwłaszcza na południe i zachód od jeziora, rozpanoszyło się drzewo kumanga tworząc gdzieniegdzie gaje, a nawet leśną gąszcz. Drzewo niebrydkie, do bujnych tamaryndowców podobne, okazało, szerokokoronne, cieniem darzące. Drzewo dorodne, a przecież wampir i potwór, arcywróg życia, tak trujące. Zapewniali Malgasje, że ptaki, niebacznie siadające wśród jego liści, padały martwe. Biali znawcy wyrażali się podobnie, ale ostrożniej: ptaki padałyby nie martwe, lecz nieprzytomne, i to w okresie kwitnienia drzewa, o ile zdrowy instynkt nie ustrzegłby ich przed siadaniem.

Z daleka kumangi wyglądały jak drzewa mangowe, dające tak smaczne owoce, i podobne miały kwiaty, tylko że białe, a nie różowe. Okres kwitnienia przypadał na miesiące od maja do sierpnia, tak samo jak u mangowców, i wtedy kumangi były szczególnie niebezpieczne: ów okres wzmocnionych soków życiodajnych i zapładniania roślinnego zasilał kumangę wyjątkowo ostrą trucizną, a szczególnie mordercze były wtedy jej ładne kwiaty, narzędzia miłości.

Droga z Mitsinjo na zachód do Soalala nabawiała przejezdnych lękiem, bo rosło tam moc kumang, a zaczynały się już na ósmym kilometrze od Mitsinjo. Kiedyś, było to w

porze kwitnięcia, Hieronim Obst jechał do Soalala motocyklem i w pewnym miejscu opadła go fala zatrutego powietrza. Trucizna tak gwałtownie podziałała, że Obst nagle dostał zawrotu głowy i był bliski upadku, ale na szczęście motor dobrze pracował i szybko wywiódł go ze skażonego rejonu. Innym razem młodemu pastorowi, który chciał przy ludziach popisać się zuchowatością, gorzej się powiodło. Zerwał jeden kwiat kumangi, powąchał i odrzucił. Trwało to kilka sekund, ale po niewielu minutach śmiałek zaczął się dusić i krew buchnęła mu z nosa i z uszu. Poleżał parę tygodni, zanim się jako tako z biedy wykaraskał.

Zwierz okoliczny dobrze znał diabelne drzewa, a bydło unikało z daleka nawet ich cienia. Natomiast obce zwierzęta, nieświadome niebezpieczeństwa, padały ofiarą, o czym na własnej skórze przekonał się Obst. Gdy w roku 1930 przywędrował do Antsezy, już wiedział, co to kumanga, niestety woły jego jeszcze nie wiedziały. Miał ich dwadzieścia cztery, a przyprowadził je z daleka, z Maro-voay. Były głodne i rzuciły się na soczyste liście drzewa podobnego do mangowca. Nastąpiła katastrofa. Sześć bydła padło natychmiast trupem, drugie sześć zdechło po godzinie. Dotkliwy cios dla Obsta, któremu wtedy się nie przelewało.

W Antsezie w miejscu, które Obst wybrał sobie na dom, rosło kilkanaście kumang, jednak nikt ich dotychczas nie śmiał ruszyć, bo dla Sakalawów, rzecz prosta, były świętym fadi. Ale nie dla Obsta. Więc zachowując środki ostrożności, sam zakasawszy rękawy, zabrał się wraz z wypróbowanymi ludźmi do ścięcia straszydeł. Twarde jak żelazo drzewo stawiało opór, broniąc się sączyło truciznę, niemal bryzgało zabójczą żywicą — ale na nic. Olbrzymy — bo to były stare drzewa — legły jeden po drugim, a potem leżały, gdzie padły, miesiącami, niektóre latami, i były jak obezwładnione bestie.

Ludzie mieli się przed nimi na baczności, bo jeszcze przez długie miesiące leżące trupy groziły zatruciem. I ze zgrozą śledzili także człowieka, który złe drzewa uśmiercił. Dziwiło ich, że nic złego mu się nie stało. W oczach Sakalawów urósł na zuchwalca silniejszego niż demony tkwiące w kumangach. Tak pewnie zaczął się niezwykle wpływ Obsta na okolicznych Malgaszów i rodziło się uwielbienie, jakim go coraz bardziej otaczano.

Powalone drzewa schnęły przez długie miesiące. Miały pnie nie tylko twarde, ale jak się okazało, przedziwnie zdatne na opał. Pałac się wytwarzały żar tak silny, że żadne inne paliwo im nie dorównywało. Obst, jak wiadomo, obok handlu rafią trudnił się fabrykacją żelaznych pras do rafii. Więc mądrze wyzyskiwał dla swego przemysłu potężny żar kumang i oto zabójcze drzewa, rozbrojone, służyły dobrej sprawie.

Wytepienie kumang przez Obsta w Antsezie działo się wiele lat temu. Ale obecnie, przypadkiem naniesione, wyrosło jedno drzewko kumangowe tuż przy szopie Obstowego obejścia. Drzewo, małoletnie, wystrzeżiło na dziesięć metrów wysokości i chociaż już trujące, strasznych kwiatów jeszcze nie rodziło. Więc pozwalano mu na razie żyć.

W historii dzikich krajów nieraz bywało, że zwycięzcy wytepiwszy groźnych wrogów do nogi, w dowód triumfu i łaski darowywali życie jednemu czy dwom chłopczykom, adoptowali ich do szczepu, a gdy młodzieńcy dojrzewali, żenili ich z dziewczynami swego ludu. Tu z młodym drzewem kumanga postępowano podobnie. Wypleniono jego ród, a młodemu darowano życie, za to koniec sądzono mu inny: z chwilą dojścia do dojrzałości czekało je ścięcie i śmierć.

Sakalawowie, powabni barbarzyńcy

Mitsinjo miało trzy atrakcje: drzewa tamaryndowe, istne tytany stworzone jak gdyby przez szalonego dekoratora; miało wygadane go szefa dystryktu, Malgasza o rozgorzałym kulcie lejącego się słowa; i miało sakalawską królową Moanę Salima, hożą staruszkę. Królowa mieszkała w marnej chacie tylko z gliny lepionej i strzechą pokrytej, ale pomimo ubóstwa prowadziła gwarny dwór i pełno uwijało się dokoła niej królewskich potomków oraz dworek. Majątku nie posiadała, a jednak składano jej

hołdy, pochodziła w prostej ponoć linii od króla Andriandahifotsy ze sławnego rodu Maroserana, twórcy w XVII wieku potęgi Sakalawów. Więc ludzie znosili jej dary i królowa miała co jeść i w co barwnego się odziać, a darmożjady jej dworu też nie głodowały.

Na Madagaskarze tylko dwa szczepy w ciągu swych dziejów stworzyły wielkie państwa: to królestwa Sakalawów i królestwo Howasów, zwanych dziś Merina. Najpierw wybili się Sakalawowie; później, gdy ich krzepa zaczęła wiotczeć, na czoło wysunęli się w XIX wieku Howasi. Sakalawowie byli zawsze pasterzami i do dziś w zasadzie nimi pozostali. Odważni — w przeciwieństwie do Howasów — wojacy, mieli przeważnie złą prasę. Wytykano im wrodzony anarchizm i niesforność (Anglik E. F. Knight), zbójczą skłonność do grabieży i mordu (Austriak Hauptgraf zu Pappenheim) i pewnie była jakaś w tym prawda, ale nawet wróg przyznać musiał, że Sakalawowie byli dumni bez zarozumiałości (Eugene Baudin), że byli świetnie zbudowani o mocnych mięśniach i szerokich ramionach (Karl Hanel), a oblicza ich uwydatniały — według A. Dandouau — dziką dorodność.

Sakalawowie byli barbarzyńcami i nadal pozostali w zacofaniu, podczas gdy ambitni Howasi wyprzedzili ich, wchodząc mocno na drogę postępu i cywilizacji. Ale jeśli porównać historię jednych i drugich, to Sakalawowie okazywali się chyba sympatyczniejszym narodem z tych dwóch, bardziej ludzkim pomimo braku ogłady. W każdym razie nie wybijali obcych szczepów z taką bezwzględnością, jak tego często dopuszczali się Howasi w wyprawach wojennych, a ich uporczywa, mężna obrona swej niezależności przeciw tymże Howasom, obrona trwająca przez cały XIX wiek, budziła szczerą szacunek.

Ród ich wywodził się z krainy Antaisaka daleko na południo-nym wschodzie Madagaskaru. Stamtąd wyparciu przez silniejszych wojaków zapewne w XIV wieku, wywędrowali na zachodni brzeg wyspy i tu, na północ od rzeki Onilahy, zagospodarowali się ze swymi trzodami. Rozległe stepy odpowiadały ich naturze.

Przybysze wkrótce nabrali zaborczego rozmachu, zaczęli przeć na północ. Podbijając po drodze rozliczne szczepy, dotarli niemal do północnego cypla Madagaskaru i stworzyli na przestrzeni przeszło tysiąca dwustu kilometrów dwa potężne państwa: Menabe na południu, Boinę na północy. W wieku XVIII doszli do szczytu władzy. Nazwę wzięli od rzeki Sakalava, dzisiejszej Mangoky, nad którą przez pewien czas popasali.

Byli nie tylko waleczni, lecz i przebiegli. Jak wieść tu i ówdzie się pałęta, w czasie podboju krainy Menabe, w nocy przed walną bitwą Sakalawowie użyli sprytnego podstępu. Na polu dzielącym ich od zastępów przeciwnika wykopali w ciemności głęboki dół i wsadzili tam wielkiego byka czerwonej maści. Czerwień była i chyba do dziś pozostała magiczną barwą. Gdy nad ranem nacierający wróg usłyszał głośny ryk wychodzący głucho spod ziemi, przeraził się, że to czary sakalawskich demonów, i zdjęty panicznym strachem, dał się rozgromić. Zdobytą krainę Sakalawowie nazwali Menabe, co znaczy „Wielki Czerwony”.

I byli nie tylko waleczni i przebiegli, ale także rozumni i ludzcy. Gdzie mogli, tam oszczędzali — jak już wspomniałem — życie pokonanych przeciwników i przyjmowali ich do szczepu jak równych sobie. Co bitniejszych wojaków wcielali do swych hufców, dzielili się z nimi chwałą i zdobyczą. Pobłażliwa i mądra taktyka robiła swoje: osłabiała opór wrogów, wzmacniała własne szeregi, przysparzała przyjaciół.

Po zdobyciu portów na zachodnim wybrzeżu wyspy Sakalawowie posiadli monopol na broń palną, którą dostawali od europejskich i arabskich handlarzy, a której inne szczepy jeszcze nie miały. Ale przewaga ta nie trwała długo i już pod koniec XVIII wieku potęga ich zaczęła się kruszyć: system feudalny, jaki stworzyli, rozbijał naród na mnóstwo księstewek, słabych i wzajemnie skłóconych, więc role się odmięły. Howasi, dotychczas tłumieni, pomiatani, zaczęli brać górę, stwarzać coraz silniejsze państwo, zalewać sąsiadom sadła. Sakalawowie odgryzali się, ale to im wiele nie pomogło. Zaczęli podupadać pod każdym względem, tracili twórczą prężność, coraz mniej mieli chęci do wyczynów. Pozostawali w tyle, nie umieli wprzęgnąć się w rytm

nowych czasów. Francuzi stwierdzili, że ich nawet liczebnie ubywało. Od półtora wieku Sakalawowie żyli jedynie wspomnieniami o świetnej przeszłości, a groby dawnych królów otaczali coraz żarliwszą czcią.

Królowa i wnuczka

Sakalawowie otaczali czcią także żywe relikwie, do których należała królowa Moana Salima, żyjąca w Mitsinjo, królowa bez zewnętrznej władzy.

Francuska podróżniczka Solange Thierry niedawno temu chwaliła „energiczne i niemal europejskie rysy” jej twarzy. Gdy królową poznałem, mógłbym dodać jeszcze, że były to rysy nie tylko europejskie, ale i rozumne, świadczące o niepowседневnej inteligencji staruszki. Była bystra, żywa, energicznie wesoła, pełna drwiącego humoru i swoistej zalotności. Za młodu, pięćdziesiąt lat temu, musiała wyróżniać się urodą i wyjątkowym powodzeniem. Z Obstem witała się jak ze starym przyjacielem, ze mną jak z miłym znajomym.

Wywołana z chaty, wyszła do nas na drogę i nieco się stropiła, gdy chciałem ją sfotografować: była w niedbałych kieckach. Ale nie wzdragała się przed aparatem, tylko wesoło i buńczucznie zawołała, jakie dostanie za to cadeau, ile jej zapłacę.

— Ależ, moja królowo! — krzyknąłem żartobliwie zgorszony. — Droga królowo!...

— A jużci! Królowe są drogie! — buchnęła śmiechem.

Mimo to przyjaźnie potrząsała ręką, kazała zaczekać i zniknęła w chacie, z której wysypała się tymczasem spora jak na tak niewielką chałupę lawina królewskiego otoczenia, rój dworek i fami-liantów. Odbijali od innych Sakalawów tym, że prawie wszyscy byli niezłe odpasieni, a więc gładkiego lica i dorodnego ciała; widocznie bliskość królowej im służyła. Odnosili się do nas życzliwie, pełni uśmiechów: pojawienie się cudzoziemca zapewne rozpraszało im szarzyznę dworskiego życia.

Wkrótce powróciła na drogę sama królowa, już przebrana i figlarnie promienna: miała świeżą, zabójczo tęczową lambę kuani o czerwonych kołach, a w uszach połyskiwały olbrzymie kolczyki ze złota. Kilku dryblasów, gwardia osobista, zaraz stanęło za królową, tworząc godne tło, a ona, dotychczas krotochwilna, podczas fotografowania przybrała majestatyczną powagę. Ale tylko na chwilę. Po odbyciu tej pańszczyzny była znowu sobą, ona i my także.

Królowa Moana Salima i ludzie jej otoczenia, różniąc się od przeciętnych Sakalawów, tworzyli po prostu odrębny klan, inny zgoła typ: wobec nas, Europejczyków, nie okazywali zwykłego zakłopotania ani też wyszukanej kurtuazji, tak znamiennej dla wielu Merinów. Zachowywali się swobodnie, jak równi z równymi, byli jowialni i ujmujący. Później, po zakończeniu przechadzki po osiedlu, przyniosłem królowej skromne cadeau, paczkę papierosów chesterfieldów. Staruszka nie liczyła na to, wzruszyła się. Miała rzadką umiejętność przyjmowania nawet drobnych upominków z wielkim wdziękiem. Szczerze ich wszystkich polubiłem, była to grupa Malgaszów o wyjątkowym uroku.

Następnego dnia przechodząc obok chaty królowej, spotkałem jej młodziutką wnuczkę, Alimę Mamadi. Poznałem ją poprzedniego dnia i wiedziałem, że w przeciwieństwie do swej babci i większości dworzan dobrze władała francuskim językiem. Wyciągając ku pannicy rękę, przywitałem ją wesoło:

— Cześć małej księżniczce!

Alima miała zmysł humoru podobnie jak królowa. Podała mi rączkę, ale coś w jej oczach zapełgało żartobliwymi ognikami.

— Małej? — uśmiechnęła się niby kwaśno. — Czemu, vazaho, mówisz do mnie: małej? Przecież ja duża, wysoka...

— O tak, jesteś duża, wysoka — powtórzyłem skwapliwie — i do tego dorosła.

— A żebyś wiedział: dorosła! — zaperzyła się rozbawiona. — Mam piętnaście lat!

— Oj, to już nie żarty! — przyświadczyłem z ochotą. — Na pewno już myślisz o zamążpójściu.

— Myśle! — bez wahania przyznała szczerym głosem i z tak niezachwianą pewnością siebie, że zdumiałem się. Odeszła mi chęć przekomarzania się.

— Czy masz już wybranego? — spytałem życzliwie.

— Nie.

Spojrzałem na nią uważniej. Rezolutny podłotek, wcale dobrze rozwinięty, już nie był dzieckiem. Stała przede mną młoda Mal-gaszka, wiedząca, czego chce od życia: inne dziewczyny już od dwóch, trzech lat miały swych mężów. Ona, Alima, jeszcze nie była zamężna, ale uznanym zwyczajem tutejszych szczepów na pewno już dawno poznała słodkie uciechy z chłopakami.

Była ładna, jak niewątpliwie za młodu jej babcia, i jak ona była rozgarnięta, a przy tym dobrze umiała po francusku. Strzeliła mi do głowy swawolna myśl.

— Słuchaj, Alimo! — odezwałem się. — Jadę na kilka tygodni do Antsezy, do pana Obsta. Chcę tam poznać różnych Sakalawów, z nimi rozmawiać i potrzebuję tłumacza. Ty znasz francuski. Chcesz być moją tłumaczką?

Oczywiście osłupiała, ale nie na długo. Nie była cielątkiem. Badawczo patrzyła na moją twarz, czy mówię poważnie. Chyba mówiłem poważnie.

— Chciałabym — odrzekła po chwili — ale to nie ode mnie zależy...

— A od kogo?

— Od mej babci. Musi się zgodzić.

Rzecz prosta: królowa królową.

Alima tymczasem odzyskała swobodę i zbudziła się w niej przekora. Oczy jej nabrały drwiącego wyrazu.

— Ile mi zapłacisz? — uśmiechnęła się zaczepnie.

Pytanie nie zaskoczyło mnie: bez takiego pytania nie byłoby Malgaszów.

— Dam ci dziesięć tysięcy franków miesięcznie — ofiarowałem.

Brzmiało to szumnie i w Mitsinjo było straszną sumą, ale przeliczone na obce pieniądze, wynosiło mniej niż czterdzieści dolarów. Propozycja sprawiła wrażenie na dziewczynie. Zapłonęła, oczy jej rozbłysły.

— Chciałabym — rzekła na rozstaniu — ale to zależy od babci...

Babcia nie była przeciwna i jeszcze tego dnia przystąpił do mnie na drodze jeden z kuzynów Alimy, należący do „gwardii przybocznej” królowej, i oznajmił mi, że rada rodzinna wyraziła zgodę.

Epizod powyższy, dawniej rzecz na porządku dziennym, świadczył o tym, że i teraz, w pierwszych latach istnienia Republiki Malgaskiej, biały vazaha wciąż był czymś szczególnym, do czego odnoszono się z jakąś atencją — a jeśli niezupełnie do niego samego, to na pewno do jego kieszeni.

Romantyczne zapędy spaliły na panewce. Jak wiadomo, Kreol Jean, posiadacz jedynej na jeziorze Kinkony motorówki, był stale w sztok pijany, więc do Antsezy nie dotarłem i z kwitkiem musiałem wrócić do Madzungi. A tam już nie potrzebowałem tłumaczki.

Gdy Malgasze wpadali w trans

Sakalawowie lubili babrać się w świecie niewidzialnym, a z cieniami zmarłych kumali się na poufalej stopie. Namietnie przywoływali jakiegoś przodka, możliwie słynnego wodza lub króla, ciii się obecnym upadkiem po dawnej świetności ich królestw, więc zalewali sobie robaka nie tylko wódką toaką, lecz czymś mocniejszym; niezawodniejsze mieli źródło upojenia: czumbę.

W czasie odprawiania czumby (pisze się tromby) wywoływano ducha jakiegoś przodka, możliwie słynnego wodza lub króla. Czumba odbywała się wśród tańców, chlania wódki, ataków epilepsji, wpadania w trans, bełkotu tajemniczych zaklęć, i miała przeważnie na celu przywrócenie zdrowia komuś z obecnych. Prawie każda wieś sakalawska dokonywała swoich czumb, lecz rzadko kiedy dochodziło do nagannych wybryków: władze ujęły czumbę w dekrety. Należało każdy seans zawczasu zgłosić władzom i uiścić za niego pięćset franków, a przed godziną dziesiątą w nocy zakończyć wszelkie baraszki z duchami — pod groźbą nieliczej kary.

Wpadanie w trans, doprowadzanie się do ekstazy było ulubionym nawykiem wielu

Malgaszów, poniekąd ich drugą naturą. Kroniki Madagaskaru notowały wybuchy masowej hysterii, czegoś w rodzaju tańca św. Wita.

Tak na przykład w roku 1863 działy się dziwne rzeczy. W południowej części Madagaskaru, na osnutej legendami górze Ambo-drombe, na której szczycie przebywały duchy wszystkich Malgaszów po śmierci, duch niedawno zmarłej królowej Ranavalony I zawrzał wielkim gniewem. Rozpiekł się na syna Radamę II, panującego w Tananariwie, bo ten pustak, sprzeniewierzając się uświęconym tradycjom, chciał w kraju zaprowadzić europejskie formy. Wiele szacownych Malgaszów potępiało zdrożność niedo-warzeńca, więc duch królowej zeszedł z góry i dążył ku Tananariwie, by syna nauczyć moresu. Otóż do tej wędrówki przyłączali się po drodze wzburzeni ludzie, coraz więcej ludzi, którzy nie pili, a zataczali się jak pijani. Nieustannie podnieceni, tańczyli, śpiewali, wyli, podskakiwali, wariackie czyniąc ruchy i doznając drgawek. Nazywano ich ramanenzana czyli ludźmi opętanymi i uważano za zaszczytnie wyróżnionych przez siły niewidzialne. Mieli koszmarne wizje, tracili przytomność, wielu umierało ze wzruszeń i wyczerpania. Płasających furiatów było ponoć tysiące i wciąż nowi przyłączali. Po przybyciu nawiedzonych do Tananariwy skończyły się ich cuda. Wkrótce Radama II poniósł śmierć z rąk kró-Iobójców i — masowa histeria ustała nagle jakby ręką uciał.

Ciekawa rzecz, że jeszcze w XX wieku, w roku 1910, powtórzyły się podobne szaleństwa, choć w mniejszym stopniu niż przed pół wiekiem. Owo masowe wzburzenie nastąpiło wtedy, gdy Francuzi po raz pierwszy weszli na górę Ambodrombe i ponoć przebudzili duchy. Świętokradztwo i rzekome przerażenie duchów udzieliły się wielu Malgaszom. Dotknięci obsesją płasawicy, wędrowali gromadami po kraju, musieli wyć i tańczyć, nie mogli ustać i zarażali innych obłędem. Miało to przebieg zbiorowej choroby i wygasło dopiero po kilku miesiącach, jak każda epidemia.

Byłem na czumbie, zbiorowej ekstazie

W gościnnej chacie królowej Moany Salima było zawsze rojno od ludzi swoich i przybyłych, a po kątach czaiły się nastroje czum-by. Stare kobiety rade zaczynały poklaskiwać w dłonie, inne nucić w kółko zaklęte słowa; jakieś chłopisko w kącie uderzyło w bęben, młodszy jeden, drugi i młodsza poniektóra dźwignęli się i tupali rytmicznie. Tak mogło trwać godzinami i na niczym się nie skończyć. Rozchodziło się po kościach.

Ale prawdziwa czumba czasem przychodziła, gdy ktoś z tańczących, on czy ona, zaczął szybciej się ruszać, oczy w słup stawiać, tracić panowanie nad sobą, drgawek dostawać. Zapadał w trans, mamrotał niewyraźne słowa, wybąkując wyrocnię duchów. A jeśli był w chacie chory, przyłączał się do tańca, odchodził od zmysłów i potem budził się uzdrowiony. Nikt z tańczących nie pamiętał, co działo się w czasie jego przebywania w świecie duchów.

Kiedyś o zachodzie słońca przechodząc obok chaty królowej, usłyszałem tam niezwykle odgłosy: wewnątrz rozlegało się stłumione bicie bębna, jednostajny śpiew i klaskanie w dłonie. Przed chatą stało kilkoro ludzi; zapytałem ich, czy mógłbym wejść. Znali mnie już i byli mi przyjaźni, więc nie wzbraniali i jakiś młodzian wprowadził mnie do wnętrza. Nikogo w chacie to nie speszyło. Przycupnąłem na klepisku pod ścianą.

Było tu tłocznie i duszno. W półmroku dostrzegłem wiele siedzących jak ja postaci, a w środku kilkoro się ruszało drobiażkami małymi kroczkami niby w powolnym tańcu. Czumba była już chyba w toku, a jedna z tańczących niewiast, srodze podniecona, wyraźnie odbijała od innych. Wśród wymachiwań rąk i wykręcania ciała pojękiwała coś tajemniczego. Wszyscy patrzeli w nią urzeczeni i pilnie słuchali, by nie uronić nic z objawienia.

Trwało to i trwało. Tańcząca miała niezniszczalne siły, podobnie jak ludzie obłąkani. Kontorsje jej nie ustawały. Po kwadransie sam zacząłem ulegać panującemu w chacie

napięciu i poczułem się oczadziały. Było już ciemnowo, ale mimo to dostrzegałem w oczach uwijającej się kobiety coraz większe uniesienie. Traciła chwilami przytomność i wszyscy obecni byli także półprzytomni. Wstrząśnięci, przeżywali zawile rozkosze, jakieś dziwaczne zachwyty, czuli — jak mi młodzian tłumaczył — obecność ducha wielkiego króla. Nowiny przyływały im z zaświatów i były dla nich realne. Wprawiały ich w zachwycenie. Nie mieli w tej chwili już własnego życia: dusze ich pławiły się w zbiorowej ekstazie, bardzo pogańskiej.

Byłem także oszołomiony, ale na swój sposób. Wyrwałem się myślami z zaczarowanej chaty i wciąż zadawałem sobie natrętne pytanie, w jaki, do licha, dostałem się świat. Czy to prawda, że żyli jeszcze inni ludzie? Że w tej chwili, kiedy ci poczciwcy wpadali w magiczny trans, a z mistycznych zaświatów przylatywały do nich duchy jakichś pomarłych królów, inni ludzie wylatywali również w zaświaty, lecz rzeczywiste, i zdobywali międzyplanetarne przestrzenie? W jakiej epoce żyłem, kamiennej czy lotów kosmicznych? Odpowiedź była jasna: tu, w Mitsinjo, żyłem równocześnie w jednej i w drugiej epoce, i to było diabelnie zabawne. Urzekające.

Między tańczących wyskoczyła miła dziewczuszka, Alima, i tęgo się uwijała. Konwulsji nie dostała, ale i ją chwyciło roznamiętnie-nie: promieniała zapalem, płasała ile wlezie. Więc umiejętność języka francuskiego ani wykształcenie, jakie dostała, nie pomogły; nastrój czumby okazał się silniejszy i przeciw ją zniewolił. Owo przywoływanie duchów było — jak się okazało — nieodpartą koniecznością dla Sakalawów, jakimś żywotnym jądrem ich istnienia. Stanowiło pewnie warowną potęgę: było po prostu kluczem do wolnego od zgryzot świata i źródłem szczęścia.

Niebawem wzburzenie kobiety, będącej medium czumby, doszło do szczytu. Zaczęła gwałtownie wykrzykiwać, wpadła w delirium, koszulę na sobie rwała, po czym nagle nastąpiło przesilenie i kobieta oprzytomniała. Wyczerpana osunęła się na klepisko, ale oczy miała już spokojne. Szybko wracała do siebie. Czumba się skończyła i po dłuższej chwili ludzie zaczęli opuszczać chatę królowej. Ociągali się, wychodzili niechętnie: wychodzili z miłego snu i z czarów.

Gdy wracałem do hotelu i do niezmordowanego w popędach Christopha, było mi dziwnie na sercu. Paliły mnie policzki, nie ochłonałem jeszcze z wrażenia. Niesamowity patos obrzędu, przeżywanego przed chwilą, nadal siedział mi w nerwach. Był to upiorny zachwyt ludzi, odrywających się na chwilę od rzeczywistości.

Myśląc o tym nie mogłem uwolnić się od uczucia bzdurnego żalu. Wiadomo, że zawrotny postęp, jaki ogarnął dziś cały bez wyjątku glob, już w krótkim stosunkowo czasie przepędzi czumbę Malgaszów na wszystkie wiatry, i co więcej, postęp bezapelacyjnie wyrzuci na śmietnisko także inne czumby innych ludzi, nie wykluczając i tych naszych własnych czumb przyczajonych w domowych zaułkach i mrocznych kruchtach. Więc pozbedziemy się resztek przesądów, otrząśniemy się z przestarzałych nawyków, chłodny rozum weźmie górę, będziemy trzeźwiejsi, ale, tam do licha, czy będziemy szczęśliwsi?

Urzekł mnie babsztyl tańczący czumbę, słowo daję! I urzekło mnie upojenie tych Malgaszów!

CZEŚĆ DRUGA

TANANARIWA Merinowie

Portugalczycy: mordowali i marzyli

Do historycznej makabry, tak częstej w dziejach cywilizowanych narodów, należał zwyczaj portugalskich statków: woziły ze sobą skazanych na zagładę zbrodniarzy i wysadzały ich na nieznanymi wybrzeżach na pastwę dzikim ludom. Gdy podrzutki wychodziły cało, można było lądować; natomiast ich śmierć z rąk dzikich była przestrogą dla uczciwych marynarzy, czekających na redzie.

Zaszczytu chyba nie przyniósł Europie ani Madagaskarowi fakt, że pierwszym Europejczykiem, jaki stanął nogą na wyspie, był zbrodniarz. Działo się to w maju 1500

roku, a wysadził skazańca na łód portugalski kapitan, Diogo Dias, który przypadkowo, dzięki kaprynowi wiatrów, odkrył Madagaskar: statek jego należał do portugalskiej floty, płynącej na wschód na podbój Indii, ale w czasie burzy u wybrzeży Afryki odbity od reszty statków, dokonał oto odkrycia.

Kapitan Diogo Dias miał szczęście. Jego wysłannik natrafił na przyjaznych tubylców i wrócił na statek nie tylko cały, ale i suto owocami obdarowany, więc można go było znowu wsadzić do klatki i zachować do następnej próby z dzikusami. W istocie tubylcy okazali się przychylni, ich owoce smaczne, ich kobiety tak przymilne, że Portugalczycy pozostali tu szereg dni i czuli się jak w raj. Ze kilku marynarzy postradało życie na febrę i z powodu nadmiaru uciech, było rzeczą zwykłą i się nie liczyło. Gdy statek odnalazł w końcu resztę portugalskiej floty, kapitan Dias złożył admirałowi Cabralowi entuzjastyczny raport i dobra wieść o wielkiej, a gościnnej wyspie poszła w świat.

Poszła i zapłodniła dwór królewski w Lizbonie wielką nadzieją. Więc w sześć lat później admirał Tristan da Cunha, płynący na czele portugalskiej floty do Indii, wylądował po drodze na wyspie przyjaznych dzikusów, by się rozejrzeć. A tym ochotniej to czynił, że miał od jednego z kapitanów, Ruy Pereiry Coutinho, wiadomości, że Madagaskar obfituje w srebro i cenne korzenie. Ale Tristan da Cunha żałował do tubylców, że od wieków handlowali z Arabami, co nie w smak było Portugalczynom, więc postąpił, jak mu honor chrześcijanina i obowiązek człowieka cywilizowanego nakazywał: burzył arabskie faktorie i tępił Arabów, palił malgaskie wsie i masakrował tubylców.

Niezła gratka trafiła mu się u ujścia rzeki Sofia, na północnym zachodzie Madagaskaru, gdzie na wyspie w zatoce Mahajamba zaskoczył wielką faktorię Arabów i ludną wieś Malgaszów. Kto nie zdołał uciec, ginął od miecza, inni ginęli w wodzie, ale da Cunha jednak złapał żywcem kilkaset kobiet i dzieci na sprzedaż do niewoli. Następnego dnia przyplłynęło do niego kilkuset Malgaszów, ofiarując siebie na wykupienie pojmanych. Admirał był w dobrym humorze; oddał jeńców, żądając tylko w zamian moc prowiantu i dokładniejszych wiadomości o zasobach kraju. Dostał jedno i drugie: dowiedział się — o czym już słyszał — że z drugiej strony Madagaskaru, na południowym wschodzie, było srebra, imbiru i goździków w bród. Ucieszony odpłynął i serce swe radował na myśl o łupieniu Malgaszów w innych miejscach, bo ów rycerz, jak wielu mu współczesnych, żył dwoma namiętnościami: utaczaniem krwi poganom i snuciem marzeń o korzennych skarbach.

Mając mało czasu, nie mógł zwiedzić południowego wschodu Madagaskaru, więc odpłynął do Indii, ale swego króla zawiadomił o bogactwach wielkiej wyspy w należytych raportach. Sława Madagaskaru rosła.

W tym samym jeszcze roku Affonso d'Albuquerque dalej przeprowadzał portugalską czystkę na wyspie. Grabił i burzył faktorie Arabów na zachodnim wybrzeżu i nie oszczędzał, uświęconym zwyczajem, także samych Malgaszów.

A w dwa lata później, w 1508 roku, z rozkazu króla specjalnie przyplłynął Lopez de Sequeira, by znaleźć owo srebro, imbir i goździki na południowym wschodzie Madagaskaru. Szukał sumiennie, przetrząsał wybrzeża, tubylców wypytywał po dobroci albo zamęczał na amen — ale nic, nic z tego nie wyszło. Srebra nie było ani śladu, srebrne ozdoby zaś, noszone przez niektóre Malgaszki, pochodziły od arabskich kupców zza morza. Także bajdy Malgaszów o imbirze i goździkach wyjaśniły się całkiem prosto: przed niewielu laty arabski żaglowiec baggala z ładunkiem imbiru i goździków rozbił się podczas burzy w pobliżu Matitanany i cenne produkty sromotnie rozwlekły się po plażach, poniewierane przez fale.

Spodziewanych skarbów na Madagaskarze nie było, lecz minęły dziesiątki lat, zanim Portugalczycy jako tako otrzęśli się ze złudzeń. Jeszcze czasem próbowali szczęścia, ale to na nic się nie zdało, a tymczasem tubylcy hardzieli, coraz bardziej skłonni do nieufności, grabieży i zabijania obcych. W 1527 roku cała Portugalia boleśnie odczuła, gdy sześciuset jej obywateli rozbiło się na dzikim wybrzeżu południowo-zachodniego Madagaskaru i prawie wszyscy wyginęli, zatłuczeni przez rozsierdzonych tubylców.

Więc bogactw korzennych nie było, te marzenia się rozwiewały, ale Portugalczycy chcąc ratować resztki swych błogich nadziei, uczepili się nowej koncepcji: zdobycia Madagaskaru poprzez dusze Malgaszów. Pobożne zamierzenia nabrały szczególnej siły w sto mniej więcej lat po odkryciu Madagaskaru, kiedy Portugalczycy doszli do przekonania, że Malgaszę, jako ludzie rozzamięci i łębscy, stanowili podatny materiał na chrześcijan i nawróceni mogli chwały przysporzyć koronie portugalskiej.

Misji tej podjął się jezuita Luis Mariano, któremu marzyła się zaszczytna rola apostoła Madagaskaru. Świątobliwy mąż, pełen nie tylko dobrej woli, ale i rzutkości, przez sześć lat, od 1613 do 1619 roku, zwiedzał różne wybrzeża wyspy, miewał żarliwe kazania, krzewił słowo boże. Poznawał przy tym naturę i zwyczaje szczepów i nawet napisał rzetelną jak na owe czasy książkę o Malga-szach, ale — w dziele wiary poniósł zupełne fiasko. Chociaż nauczył się ich języka i gorliwie kładł im święte prawdy do głowy, nie wzruszył ich, nie przekonał nikogo, oni woleli pozostać poganami. „Nawet niezdolni byli zrozumieć, co to piekło; groza wiecznego ognia była im całkiem obca” — żalił się zgorszony.

Zawiedziony w swych zacnych nadziejach, opuścił Madagaskar, a wkrótce i sama Portugalia, również zawiedziona w nadziejach, chociaż mniej zacnych, machnęła ręką na wielką wyspę. Raz na zawsze.

Anglicy: marzyli i umierali

Pod koniec XVI wieku, a więc jeszcze za czasów portugalskich zakusów, do Madagaskaru zapalili się Holendrzy. I to nieźle. W drodze do swych wschodnich posiadłości często lądowali na wielkiej wyspie, żeby zaopatrzyć się w żywność. Ale mieli pecha, Madagaskar im nie służył. Niezdrowy klimat dziesiątkował ich marynarzy do tego stopnia, że wiele ustroni na wybrzeżu wyspy przeszło do historii jako „cmentarze Holendrów”. Gdy w 1638 wpakowali się na wyspę Mauritius, z Madagaskaru pobierali nie tylko żywność, ale i niewolników, a gdy następnie przenieśli się na afrykański Przylądek, wciąż z Madagaskaru potrzebowali niewolników. Ale ten proceder można było gdzie indziej uprawiać korzystniej, więc praktyczni Holendrzy nie upierali się przy Madagaskarze i wielkie z początku ich zapaly ostygły; w melancholijnym rozczarowaniu.

Całkiem inaczej rozgorzeli ku Madagaskarowi Anglicy, miłością siarczystą, płomienną, porywczą, więc tragiczną i usłaną trupami — aż dziw, skąd oni wytrzasnęli w sobie tyle żaru, niepoczytalności i maniactwa. Anglicy ze wszystkich narodów, nie wyłączając Francuzów, najobłędniej zapłonęli i, oczywiście, drogo za to zapłacili.

Może nieszczęsny ich afekt wynikał z tego, że się spóźnili? Portu-galczyki i Holendrzy już dawno buszowali po Wschodzie i tuczyli się na korzeniach, gdy Anglicy nareszcie strąbili swą Kompanię Wschodnio-Indyjską. Późno: tamci już położyli łapę na najlepszych frykasach, więc gdy pojawiła się na Wschodzie angielska Kompania, miała trudne dzieciństwo, a jej król kiepską z niej pociechę. Karol I okrutnie potrzebował pieniędzy — częsta zgryzota ówczesnych królów — więc zżymał się na Kompanię i kto żyw, a królowi przychylny, gorączkowo szukał wyjścia. Znalezli. Wzrok wlepili w Madagaskar. Wyspa rozkołysała angielską fantazję. Wielka wyspa miała przewyciężyć wielkie trudności Albionu.

W tych latach, w pierwszej połowie XVII wieku, Anglię ogarnął istny szal madagaskarski. Niektórzy Anglicy- widzieli wielką wyspę, zawijając do jej wybrzeży w drodze do Indii, więc ten i ów czuł się powołany do wychwalania słowem i piórem „ogrodu Edenu”.

Jakże było nie puścić wodzy błogiej wyobraźni i nie rozgrzać sobie serca, jeśli czcigodny sir Thomas Herbert nazwał ją „królową wśród wysp”, zasobną w najcenniejsze minerały i inne bogactwa? Jakże nie snuć marzeń, jeśli admirał William Monson nawet wyżej ją ocenił niż amerykańską Wirginię, bo znakomicie nadawała się do europejskiej kolonizacji, a leżała na morskim szlaku do Indii i miała licznych tubylców, chętnych do pracy na plantacjach? A dostojny Earl of Arundel czyż nie

oświadczył, że byłoby wielką krzywdą dla narodu angielskiego, gdyby innej nacji pozwolono osiedlić się na Madagaskarze? A czy sam książę Rupert, Baw-ar-czyk, ale siostrzeniec Karola I, nie oświadczył uroczyście, że sarn we własnej osobie stanie na czele flotylli, która dla Anglii zdobędzie wielką wyspę — i czy nie dokonałby tego, gdyby jego matka pozwoliła mu wyjechać? A czy natchniony sir W. Davessant na cześć tego księcia nie stworzył bohaterskiego eposu, w którym z góry gloryfikował przyszłe wyczyny przyszłego monarchy Madagaskaru, złotej wyspy?

Ale na sam szczyt zachwytu, tracący histerią, wyniosły Anglików trzy przepyszne elaboraty, ówczesne bestsellery o rekordowym powodzeniu wśród angielskiego społeczeństwa. Spłodziło te książki dwóch bajecznych zapaleńców, pracowników angielskiej Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, którzy w drodze ze Wschodu' do Anglii wpłynęli na krótki czas do Zatoki Sw. Augustyna na południowo-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru i — ze wzruszenia dostali bzika. Czegóż Walter Hammond, lekarz okrętowy, nie wypisywał w swej *Rozprawie Udowadniającej, Że Tubyłcy Madagaskaru Są Najszczęśliwszym Na Stoiecie Narodem* oraz w następnym dziele: *Madagaskar, Najbogatsza i Najobjitsza w Owoce Wyspa Na Świecie!* A Ryszard Boothby czego nie wynosił pod niebiosa w swym *Treściwym Odkryciu Tudzież Opisie Wysoce Sławnej Wyspy Madagaskaru!*

Więc czarodzieje sławili niewinną dobroć zacnych dzikusów ma-dagaskarskich, przyszłych robotników plantacyjnych, i sławili żyzność gleby, i zdatność na kolonizację, i obfitość złota, srebra, pereł tudzież szlachetnych kamieni. Tysiączne stada bydła zbytkowały na hojnych pastwiskach i był tam prawdziwy raj na ziemi, bo klimat doskonały, urodzaje pewne, handel ze światem otwarty i możliwość nabycia tanich niewolników na sprzedaż do Indii. „Którakolwiek z chrześcijańskich nacji mocno osiadzie na tych chwalebnych a owocoplennych, a wdzięcznych włościach Madagaskaru — pisał Ryszard Boothby — bez trudu stanie się pierwszorzędną potencją, będzie władczynią całych Indii Wschodnich, panią nad mrowiem wschodnich księstw i królestw”. Tak zapewniał króla i możnych Anglii, a także kupców chciwych zysku i ludzi marzących o plantacjach w takim raj — pałający Boothby.

Król uwierzył i Anglia uwierzyła. Zastrzyk zapału był niezmożony, urok nieodparty.

Więc w 1644 roku wyruszyło na Wschód stu czterdziestu uprzywilejowanych Anglików, kolonistów z rodzinami, dobrze wyposażonych w sprzęt i w niezachwianą wiarę w swą świetną przyszłość. Towarzyszyła im zazdrość tych, którzy, mniej ustosunkowani, musieli na razie zostać w kraju. Hammond, Boothby i inni Anglicy znali właściwie tylko Zatokę Sw. Augustyna, więc tam skierowano kolonistów. Co za zbrodnicza lekkomyślność: kraj nad Zatoką (nad którą dziś leżało miasto Tulear), był półpustynny, a ludność wyraźnie nieprzyjazna. Żyli tu od niepamiętnych czasów pasterze Mahafalowie, szczep dziki i wrogi dla obcych, a do rabunku i zabójstw popędliwy.

Poznałem osobiście ten kraj i jego mieszkańców i pomimo upływu przeszło trzech wieków od smutnych wydarzeń mogłem żywo uzmysłwić sobie tragedię angielskich kolonistów. Opisać ich rozpacz i zawód: nie raj ani sielankę zastali, lecz piekło i śmierć. Zaczęli ginąć od podstępnych sagai, osławionych dzid malgaskich, i od chorób na wyjątkowo niezdrowym wybrzeżu, i nawet z głodu, bo rozsierdzeni krajowcy nie chcieli z przybyszami handlować i nie dopuszczali do nich żywności. Zrozpaczony John Smart, kierownik kolonii, wysłał alarmujące listy do rodaków po pomoc, sam szukał lepszego miejsca i znalazł Nosi Be, wyspę — znowu „rajską” — u północnych wybrzeży Madagaskaru, ale klęski nie zdołał odwrócić: ze stu czterdziestu kolonistów wróciło do ojczyzny dziewięciu zmizerowanych niedobitków.

Wśród ocalonych znalazł się niejaki Powie Waldegrave, który oburzony tym, co ich spotkało, chwycił za pióro i wydał w Anglii ciętą broszurę, poddającą ostrej krytyce przesadne opisy Ham-roonda i Boothby'ego. Zarzucił im wszystkie kłamstwa i udowodnił, jak ohydnie zwodzili łatwowiernych płonną nadzieją: zbrodnią było wysyłanie na tak niegościnne wybrzeże angielskich osadników. Zdarł urok z zabójczej Zatoki Św. Augustyna, ale czy także z reszty Madagaskaru? Bynajmniej.

Przecież John Smart zachwycił się „rajską” bujnością wyspy Nosi Be i zachwyt udzielił się znowu Anglii, a zwłaszcza pułkownikowi R. Huntowi. Temu marzyła się nie tylko liczna kolonia angielskich plantatorów i wielkich kupców zamorskich na Nosi Be, kolonia zdolna do przyjęcia ponoć stu tysięcy przybyszów, ale przede wszystkim rola się szczytna misja moralna wśród tamtejszych Malgaszów: postanowił ich przeobrazić we wzorowych chrześcijan ku chwale Najwyższego, a na pożytek Anglii i angielskich plantatorów.

Więc w niespełna pięć lat po pierwszej wyprawie, tej do Zatoki Sw. Augustyna, wyruszył Hunt w podróż statkiem pełnym zwolenników i przyszłych pionierów, ale dopiero półtora roku później, w lipcu 1650 roku, napłynęły do Anglii wstrząsające wieści o losie Huntowych osadników. O jakże smutnym losie.

Nosi Be, chociaż wspaniałe przepychem tropikalnej przyrody, miało klimat równie zabójczy jak południowe jałowizny, tubylców jeszcze bardziej rozsierdzonych. W niedługim czasie choroby i sagaje tubylców zdziesiątkowały Anglików, nie oszczędzając również samego Hunta. Dwa następne angielskie statki, które przybyły do Nosi Be z nowymi kolonistami, nie odwróciły klęski, jeno przedłużyły agonię o kilka miesięcy: znowu te same choroby i sagaje dokonywały swego i obracały ambitne marzenia Anglii w ostateczną katastrofę. Był to żaloszny koniec. Nieliczne niedobitki ratowały się ucieczką do Indii, bądź do Anglii.

Jak wspominałem, przez długie miesiące Anglia nie miała wiadomości o tragedii na Nosi Be i w czasie tej nieświadomości lęły się w Londynie tragicomiczne, burleskowe pomysły. Głównym sprawcą niedoli Anglików na dalekiej wyspie był lokalny malgaski kacyk, „król zatoki Assada”. Według tego, jak Anglicy później go opisali, człowiek nie pierwszej cnoty. Okrzyknięto go łotrem spod ciemnej gwiazdy, podstępny zabójcą i łupieżcą kolonistów, ale zapomniano, że to biali od półtora wieku szczególnie nieludzko obchodzili się z Malgaszami właśnie w tych stronach. Więc podczas gdy brązowy gnębiciel co pewien czas mordował Anglików na Nosi Be, lordowie-kupczyki w Londynie gęsto rajcowali, jakim, możliwie tanim, prezentem prostaczka sobie kupić i ówczesnym zwyczajem pięknie go wystrychnąć na dudka. W końcu wśród gratów znaleźli nieużyteczny rydwan triumfalny, należący ongiś do angielskiej królowej Anny Boleyn, i zabawny wehikuł wytargowali za bezcen. Cieszyli się, że dzikusa oczarują i nabiją w butelkę, ale on tymczasem pokrzyżował te kombinacje i uprzedził je: wybijał systematycznie angielskich kolonistów i w końcu zupełnie ich na Nosi Be zlikwidował. Po tych przykrych doświadczeniach Anglicy otrzeźwiali i z głowy wybili sobie niewdzięczną wyspę. Madagaskar ujrzeni bez zwodniczych osłonek. „Ogród Edenu” stracił dla nich wszelki urok.

Koniec boskiego, złego voay

I mnie także urzekł Madagaskar, ale nie były to sny o potędze, o pieniądzach ani plantacjach. Oczarował mnie jego „boski, zły voay”.

Łgali Francuzi jak najęci, chwając Madagaskar, że nie miał fauny napastniczej. Owszem, nie miał lwów, lampartów, tygrysów ani jadowitych węży, ale tym więcej było tu zabójczych mikrobów i były — krokodyle. Francuzi za czasów kolonialnych zaczęli zwalczać mikroby i różne cholery i częściowo im to się udawało, natomiast z krokodylami ponosili sromotną klęskę. A ponosili, bo za krokodylami stała potężna sojuszniczka: religia tubylców.

W wyniku mej poprzedniej podróży po Madagaskarze przed drugą wojną światową pisałem co następuje: „Krokodyl to straszliwa zmora Madagaskaru — ofiar ludzkich pochłaniał nieporównanie więcej aniżeli osławione węże Ameryki Południowej czy wielkie koty Afryki lub Azji... Kto, podróżując na wyspie, zboczy z uczęszczanych gościńców w bruszę, zawsze spotka się z krokodylem, bądź to z samym zwierzem lub przynajmniej z jego bujną legendą... Wystarczy powiedzieć, że każdy zbiornik wody, nawet kilkumetrowa kałuża czy rzeczka, kryje w sobie złowrogą tajemnicę. Na Madagaskarze otwarte wody nie nadają się do kąpieli. Tam czeka wróg zaciekły,

głodny, potwornie liczny, ogromnie żarłoczny... W ciemne noce pory deszczowej, gdy szaleją burze i wielkie powodzie dosięgają wiosek, zuchwale krokodyle żerują bezkarnie wśród chałup, porywając domowe zwierzęta i dzieci..."

Nigdy nie zapomnę widoków, roztaczających się przede mną w roku 1938 nad rzeką Maevarano w dystrykcie Bealanana, w północnej części Madagaskaru. Był wtedy lipiec, sucha pora, rzeki opadłe, noce chłodnawe. Przed południem z Maevarano wychodziły krokodyle i kładły się na brzegu, by godzinami ogrzewać cielska w promieniach słońca. Przeważnie były to olbrzymie, kilkumetrowe potwory, a na niektórych plażach takie ich mnóstwo, że rozwalając się jedne obok drugich, tworzyły gęstą tłuszczę. Leżały łbami ku słońcu i miały pyski szeroko otwarte, jakby połykały ciepło. Szła od tej uśpionej rzeszy jakaś obezwładniająca groza i rozumiałem dobrze Raymonda Decary, gdy pisał, że ich dzikość i brzydota jednocześnie fascynowały człowieka i przerażały. I doskonale rozumiałem Malgaszów.

Wraz z hukiem strzału cała ta hałastra jednym błyskawicznym skokiem z niespodzianą zwinnością wpadała do wody i wszystkie gady, także trafiony, znikają w głębinie. Przez kwadrans panowała cisza, powierzchnia rzeki była spokojna; potem bestie powoli wracały na ląd. Nie płoszone ponownym wystrzałem, przybywały wszystkie (z wyjątkiem jednego) i tak samo jak przedtem zapełniały plażę. A były brzuchate, sprośne i groźne, jakies niewymownie bezczelne i obrzydliwe w swym rozmodleniu do słońca.

Krokodyle nigdy na tej wyspie nie miały w przyrodzie wroga równego sobie, one były tu najsilniejsze, ich wszyscy panicznie się bali. Także i ludzie się bali. Więc gdy leżały nad brzegiem wody jak szare kłody, w ich gadzinowej pewności siebie wyraźnie wyczuwało się okrutną butę i rozzuchwalenie.

Od niepamiętnych czasów ludzie ponosili tu śmierć od krokodyli. Obliczano, że rocznie padało ich ofiarą kilkaset istot ludzkich, głównie kobiet czerpiących wodę, a równocześnie ginęło wiele tysięcy zwierząt domowych, zwłaszcza bydła. Władze kolonialne, chcąc zwalczyć plagę, wyznaczyły począwszy od 1915 roku dobre nagrody, płacąc na przykład za krokodyle jaja po 15 centymów, za dwumetrowego gada po 5 franków. Ale niewiele Malgaszów dało się skusić. Przeważnie polowali Europejczycy i zarabiali wcale nieźle. Niestety, po kilku latach stwierdzono, że pomimo wypłacania okazałych sum z racji nagród mało co ubywało krokodyli.

Toteż władze, zniechęcone do dalszej walki z przemożną liczbą gadów, machnęły ręką i zniosły nagrody.

Wiele Malgaszów oddawało krokodylom religijną cześć: straszne bestie, dlatego że tak drapieżne i monstualne, wydawały się demonami z niesamowitego zdarzenia. W wielu okolicach uchodziły za święte, w innych za półświęte, jeszcze w innych za przedmiot podziwu, miłości albo porażającego lęku. Na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy były dla ludzi sędziami i ponoć sprawiedliwie, choć bezapelacyjnie, załatwiały sądy boskie, gdy obwinieni o przestępstwo hultaje musieli przepływać przez zakrokodyloną wodę.

Wiele malgaskich rodów, i to wybitniejszych a z olejem w głowie, z dumą wywodziło swe pochodzenie od przodka-krokodyla i taki koszmary antenat nie tylko okrywał następne pokolenia splendorem, ale także ponoć chronił je od złych wypadków podczas przekraczania rzek. W szczepie Antanosy dusze zmarłych wodzów przebywały z zasady w krokodylach. U Antandrojów zaś, na południu wyspy, szczególnie bitny i dumny ród Zafindravoay, co znaczy Synowie Krokodyla, pysznił się pochodzeniem od niezwyklej praprababki. Była ona piękną kobietą, ale kiedyś wpadła nieopatrznie do legowiska krokodyla, została przez galopanta zgwałcona, po czym urodziła dwóch dziarskich bliźniaków człeczego kształtu, a ci dali początek sławnemu rodowi.

Gad musiał się wcale-wcale przypodobać owej kobiecie i jej nieźle dogodzić, bo po porodzie synów wróciła w te pędy do niego i na dobre z nim pozostała. Natomiast ród Zafindravoay, pochodzący od dwóch bliźniaków, rozwijał się wybornie, okazywał wyjątkową bitność i zaskrywał także z tego, że miał wiele wyjątkowo ładnych dziewczyn. Poczytywano to oczywiście za wspólną zasługę nadobnej praprababki i niezwyklego

prapradziadka. Gdy w czasie mego pierwszego na Madagaskarze pobytu gościłem u Antandrojów, wypadało mi stwierdzić, że to prawda: młódki rodu Zafin-dravoay były przeważnie gładkie, jędrnopierśne i dumne.

Jakkolwiek krokodyłe grasowały wszędzie na całej wyspie, to jednak potężne rzeki na zachodnich nizinach stanowiły główne ich mateczniki, były ich niepodzielnym królestwem. Gdzie rzeki Oni-lahy, Mangoky, Tsiribinina, Betsiboka, wszystkie płynące w krainie Sakalawów, tam gady były najdziksze i najzachłanniej wdzierały się w życie ludzi. Ujarzmiły ich myśli, podbijały ich dusze, wdzierały się w wierzenia. Mało na ziemi pozostało ustroni, gdzie by zwierz tak bezwzględnie tyranizował człowieka jak tu, na Madagaskarze. Tu krokodyl był panem, a zdobył nad ludźmi władzę dzięki temu, że omotał ich religię. Od niepamiętnych wieków krokodyłe były siłą nieposkromioną, niezachwianą. Doświadczyły tego francuskie władze, gdy chciały zwalczyć tę plagę i natrafiły na bierny, choć stanowczy opór tubylczej ludności.

Otóż to panowanie zwierza nad człowiekiem na Madagaskarze fascynowało mnie od dwudziestu lat. Problem był dla mnie tak urzekający, że odwiedzając wyspę jeszcze raz, postanowiłem dociec tajemnic krokodyli i napisać o nich książkę. Chociaż inne podróże wchodziły mi w drogę, nie porzucałem myśli o Madagaskarze i w końcu ją urzeczywistniłem: ponownie przybyłem na wielką wyspę.

Czy był to szok? Nie. Spodziewałem się tego, bo już coś niecoś nowin do mnie przesiąkło. Otóż fantastyczne przemiany dokonywane się na świecie nie ominęły i Madagaskaru i tu zadały bobu między innymi także „sile nieposkromionej, niezachwianej, której nie dało się zniszczyć”. Przecież dało się, jednak się dało. Co prawda różne demony, złe duchy, upiory i czumby, i mpakafu nie wywietrzały jeszcze z Madagaskaru, ale — książki, o której przez tyle lat marzyłem, nie napiszę. Krokodylowy problem przestał istnieć na Madagaskarze razem z krokodylami, których już nie było, które przepadły z kretesem, poszły do diabła.

Jak to się stało? Po prostu: pieniądź. Pieniądź zadał śmiertelny cios świętości krokodyla, zadał nieśmiertelnemu rzekomo demonowi rzek madagaskarskich. Bojaźń religijna chroniła gada, dopóki płacono za niego pięć franków, ale gdy cena za jego skórę podskoczyła dziesięciokrotnie, dwudziestokrotnie, prysnęła bojaźń i religia, i miłość przodków, i strach przed bogami: diabelny pieniądź okazał się silniejszym bogiem.

A cena podskoczyła pod koniec drugiej wojny światowej. Ludzie gdzieś w Europie czy Ameryce zwariowali na punkcie krokodylich skór. Już brytyjscy żołnierze, który dla aliantów zdobyli Madagaskar, dostali bzika: przy wyjeździe z wyspy w 1945 roku każdy z nich musiał zabrać ze sobą na pamiątkę pojemny worek ze skóry madagaskarskiego straszdyła. Ale to był początek; gdzieś na świecie potrzebowano nagle tysięcy skór krokodylich, setek tysięcy skór i płacono bajeczne ceny.

Więc ludzie na Madagaskarze ulegli gorączce: Malgasze gorączce polowania, pośrednicy — skupywania skór od myśliwych, eksporterzy — wysyłania ich za morze. Malgasze wpadli w szal. Na rzekach i jeziorach wybuchły orgie zabijania, strzelano, kłuto, zatrutowano; niesiono śmierć sznurem, prochem, żelazem, kłodą, czym bądź. Malgaszom chodziło przede wszystkim o zarobek, ale już nie tylko o to; skoro raz zerwały się pęta złego czaru, mścili się teraz na ludożercach, mordowali odwiecznych wrogów, dochodzili prastarych krzywd. Srożył się na rzekach niepohamowany gniew dopóty, dopóki nie wybito wszystkich niemal krokodyli. To wielkie zabijanie trwało przez trzy, cztery lata w porze suchej, potem ustało. Zabrakło szatańskich gadów, zapamiętałość ostygła, ludzie się opanowali, rzeki zaznały spokoju.

Tak Madagaskar pozbył się najgroźniejszych demonów. Dokonała tego przypadkowa moda na świecie, jakaś gałąź dalekiego przemysłu. Maszynowa koniunktura zdruzgotała boga, a Malgaszki czerpiące wodę już nie potrzebowały się bać.

A ja, nieborak, straciłem ciekawy temat: ochłonałem z marzeń o krokodylach i książce o nich.

Francuzi: umierali i zwyciężyli. Zwyciężyli?

Podróżowanie po Madagaskarze zawsze darzyło tajemniczą rozkoszą, wprost niespodziewaną, ale nie było w tym żadnego hokus--pokus. Obojętne, czy wędrowało się w górę z wybrzeża morskiego do środka wyspy, czy odwrotnie, w dół od Imeriny do wybrzeża, za każdym razem radykalna zmiana klimatu pod koniec podróży sprawiała cudowną ulgę: po dusznej spiekocie nadmorskiej przychodziła urocza rzeźwość Tananariwy albo przeciwnie, po dojmujących nieraz chłodach stolicy radośnie witało się ciepło wybrzeża.

Moja podróż z Madzungi do stolicy Tananariwy wygodnym autobusem Taso trwała bitych osiemnaście godzin, od rana czwartej do dwudziestej drugiej w nocy, ale ani chwili się nie nudziłem. Pod koniec dnia droga wspinała się na centralne wyżyny i powietrze nabierało rzeźkości, chłód był jak balsam, ale poza tym od samego początku iles podniecających wrażeń, jakie niezatarte widoki!

W gorącym pasie przybrzeżnym bambusowe wioski Sakalawów i dziwaczny wdzięk palm satrak, i bujne gaje innych roślinnych czarusiów, i miasteczko Marovoay, dawna stolica Sakalawów — Gdzie Wiele Krokodyli — (wyskoczyłem na chwilę nad rzekę Bet-siboka: ani jednego gada tam, gdzie w 1938 roku roiło się ich tysiące!) Następnie mijaliśmy chaty już nie tylko z bambusów, lecz lepione z gliny i palmy rafie w zapadłościach rosnące, a po tym wszystkim groźne intermezzo: bezludzie, księżycowe pustkowia Tampoketsa, ongiś madagaskarski Sybir dla zesłańców z Tananariwy, ale i dziś wciąż nieprzyjemne ustronie, bo pełne chłodnych wichrów, chłuszczących mizerną trawę i ludzi. To jakby na chwilę mroźny sen najeżony widmami nagich gór i dzikich wąwozów, ażeby tym radośniejsze było przebudzenie: oto pod wieczór wjechaliśmy w krainę Merinów-Howasów. Nagle zamożniejsze wioski, murowane domy, pracowitsi chłopci, ładniejsze twarze z Indonezji rodem i bystre spojrzenia. Słowem — wjechaliśmy w krainę tych, którzy tworzyli ongiś królestwo Madagaskaru, a dziś Republikę Malgaską.

Sześćsetkilometrowe pasmo przyjemnych doznań upływało jak słoneczna ballada, ale blisko osiemdziesiąt lat temu tu, na tym samym szlaku, nie było sielankowych uciech. Srożał koszmar, szalała śmierć, tysiące francuskich żołnierzy ginęło w męczarniach, wielu popełniało samobójstwo.

W 1895 roku Francja postanowiła ostatecznie zdobyć Madagaskar po dwóch i pół wieku ostrzenia sobie zębów na jego frykasy i delicje. Europę intrygowały w owe czasy szczególnie dwie rzeczy: naturalne bogactwa wyspy oraz wojsko Howasów. Wiedzano już na pewno, że złota było w bród, a domyślano się innych, większych jeszcze, choć ukrytych dotychczas zasobów. Natomiast wojsko Howasów, od kilkudziesięciu lat szkolone przez Anglików i wyposażone w nowoczesną broń, uchodziło za niezwalczoną potęgę, tajemniczą i wręcz demoniczną. Lecz Francuzi o tym wojsku mieli inne zdanie, więc po należytych przygotowaniach i zmobilizowaniu nielicznych sił rzucili się na Madagaskar.

Spadały nieszczęścia i katastrofy na jednych i drugich i była to nieprzerwanie tragiczna komedia pomyłek z obydwóch stron.

Przekorny Madagaskar znowu wszystkim plątał makabryczne figle. Malgaszom: wytaczali cały arsenał swych najlepszych magicznych zaklęć i nic z tego nie wyszło; mieli dobre działa i karabiny, zatrzesienie amunicji i gwarantowane amulety, ale nic nie pomogło. Strzelali do wroga zbyt odległego, oczarowani potęgą huku, a gdy pierwsze kartacze wroga wybuchały w ich szeregach, zaraz porzucali broń i czym prędzej uciekali. Tych, co uciekali z pola bitwy, palono za karę żywcem, ale i to nie pomogło, bo w końcu pogmatwało się wodzom, kto miał karać, a kto być karany: wszyscy dawali drapaka. Zresztą bogatsi mogli się zawsze wykupić od kary śmierci. A już największą, ślepą nadzieję pokładali Malgasze w „generale tazo” czyli malarii, i w istocie klimat i choroby strasznie dokuczyły Francuzom: jedna trzecia francuskiej ekspedycji poniosła śmierć na drogach, reszta ledwo włócząc nogami, odchodziła od zmysłów; ale garstka, która dosnuła się do stolicy i jednym kartaczem przypadkowo

położyła trupem całą hurmę Malgaszów na dziedzińcu Pałacu Królowej, przeraziła dwór i dokonała dzieła podboju.

Także Francuzi myśleli, że kampania inaczej im się potoczy i że dopisze inne szczęście. Wojenny wóz Lefevre'a, ponoć istne cudo techniki, okazał się bluffem i na domiar zabójcą Francuzów: zmuszeni dla niego budować drogę, ginęli setkami z nadmiernego znoju, dopóki nie wybili sobie grata z głowy i nie wyrzucili go na śmietnisko.

Już od dawna znali zabójczy klimat Madagaskaru i słyszeli o cmentarzach Holendrów i Anglików, ale nie przypuszczali, że ich także to samo spotka. A spotkało. Służba sanitarna, całkiem bezradna, haniebnie zawiodła. Malaria, dyzenteria i podobne choroby siały spustoszenie i nie oszczędziły żadnego Francuza. Liczni umierający leżeli przy drogach i daremnie wzywali pomocy. Wśród dantejskich scen, jakie się rozgrywały, wielu oszalałych popełniało samobójstwa. Większa część wojska, wyczerpana do reszty, człapała, bliska oblędu.

W tych warunkach łatwo byłoby zniszczyć najeźdźcę, gdyby obrońcy stawili mu jaki taki rzetelny opór. Nie stawili. Howasi mieli dostateczną ilość wojska i broni, ale nie chcieli się bić, zabrakło im męstwa. Upadek ducha szedł w parze z niebywałą zarozumiałością, naiwna bufonia z tchórzostwem oficerów i zepsuciem klas rządzących. Maszerowały wojska w stronę frontu, rzucając słowa pełne buty, ażeby następnie hucznie strzelić w powietrze i zmiatać. Co kilkadziesiąt kilometrów, od Marovoay począwszy, poprzez różne Maevatanany, Tsarasotry, Andriby, Ambohimeny, dochodziło do niewyraźnych spotkań z daleka, których nie można było nawet nazwać potyczkami, bo Malgaszowie wciąż rej terowali. Na tym fatalnym dla obydwóch stron szlaku sromotnie przyskał stuletni mit o niezwalczonych Howasach i demonicznym męstwie ich żołnierzy...

U schyłku dnia wjechaliśmy w ponury krajobraz górzystej Tam-poketsy, gdzie między innymi rozciągała się dolina Ambohimena, usiana głazami. Tu w 1895 Howasi za poradą angielskich oficerów, Shervingtona i Gravesa, stworzyli system redut i szańców, dość silnych, by powstrzymać pochód wroga. Nawet francuskie dowództwo zawahało się przed umocnieniami i odstąpiło od frontalnego ataku. Lecz gdy Howasi zauważyli oskrzydlający manewr przeciwnika, nie wytrzymali: po ogłuszającej kanonadzie, która nikomu nic złego nie wyrządziła, dali drapakę. Panicznie bali się francuskich bagnatów. Droga do Tananariwy stała otworem.

Ku pamięci owych wydarzeń administracja francuskiej kolonii postawiła w pierwszych latach swych rządów w Ambohimena tuż przy szosie kamień pamiątkowy, widoczny dla wszystkich przejeżdżających podróżnych. Mijając w roku 1938 sławetne wzgórze, widziałem oczywiście kamień, ale, co ciekawsze, także teraz, w drugiej połowie XX wieku, kamień wciąż jeszcze stał na swoim miejscu i chwalił podbój Francuzów. Czyżby malgaski rząd Tsira-nany — wiadomo: prezydenta, pochodzącego ze szczepu Tsimihe-tów — nie chciał usuwać łatki, przypiętej Merinom-Howasom?

Więc kampania 1895 roku brutalnie rozwiła legendę dokoła tężyzny i niezwalczoności królestwa Madagaskaru. Na dobitkę zdemaskowała moralną gangrenę howaskich oficerów i kół kierujących. Dowódcy nie ukrywali swego tchórzostwa i z zasady kryli się na tyłach swych oddziałów, do przodu wysyłając tylko samych żołnierzy-szeregowców. Wytwarzały się stosunki po prostu makabryczne: przełożonym raczej chodziło o to, żeby ich żołnierze jak najliczniej ginęli, bo na ich śmierci starszyzna robiła często wcale intratne interesy. Pisał o tym Anglik E. F. Knight w 1896 roku i pisali inni. Mianowicie żerując na uświęconym od wieków malgaskim zwyczaju, polegającym na konieczności chowania zwłok w rodzinnym grobie, oficerowie sprzedawali trupy za drogie pieniądze rodzinom poległych. Rodziny, chcąc zadośćuczynić starym obyczajom, musiały wykupywać zwłoki.

Ostatnimi laty wyłonił się na Madagaskarze zabawny proces wybielania na gwałt tej wstydlivej przeszłości. Zabawny, bo niepoczytalny, dziecinny i niepotrzebny proces, dotyczący przecież tylko części Howasów, zepsutej sfery dokoła dawnego dworu, a nie całości narodu. W *Historii Madagaskaru*, podręczniku dla szkół podstawowych, napisanym niedawno temu przez delikatnych Francuzów, Bastiana i Groisona, nie ma

już w ogóle mowy o kampanii 1895 roku, która w tej książce po prostu znikła jak kamfora. W innym podobnym podręczniku, napisanym nieco później przez E. Ralaimihoatrę, a wydanym w 1965 roku, oddziały królowej już walczyły z niebywałym męstwem stawiając zacięty — tak: acharne — opór Francuzom. A już w największy dzwon uderzył w swej historii Malgaszów Jacques Rabemananjara: to istne orły (voromahery) i lwy broniły w 1895 królowej Madagaskaru i staczały prawdziwe bitwy, a Francuzi napotykali nieustannie na ich zacięty — acharne — opór.

Mydlenie oczu — wiadoma to rzecz — w opisach dziejów ludzkich często popłacało. Ale chyba nie tu. Jakże uwierzyć w te prawdziwe bitwy i w ów opór acharne, skoro druzgocące liczby i fakty temu tak wyraźnie zaprzeczały? Wystarczy uświadomić sobie: z 5781 francuskich żołnierzy, którzy postradali życie w wyprawie roku 1895, 5756 zginęło na choroby, a tylko 25 — dosłownie: dwudziestu pięciu — padło w boju z ręki Howasów, według wiaro-godnego Huberta Deschamps'a *Histoire de Madagascar*, dzieła wydanego w 1961 roku. Inne źródła, jak S.E. Howe i głównodowodzący wojsk francuskich, generał Duchesne, podają nawet liczbę tylko siedmiu zabitych francuskich żołnierzy w bezpośrednich walkach, a trzynastu ciężko rannych.

W każdym razie był to okrutnie zawstydzający wynik dla obrońców madagaskarskiego tronu i trudno ich usprawiedliwić. Mal-gascy historycy niepotrzebnie uparli się przy tak straconych pozycjach, co tym dziwniejsze, że tuż obok pod ręką mieli przykłady rzeczywistego męstwa i dzielności. Mianowicie w kilka miesięcy po upadku królestwa zerwały się szerokie masy ludu przeciw okupantom i podniosły zacięty — tym razem rzeczywiście zacięty — bunt w całej Imerinie. W tym buncie dowódcy nie ukrywali się za plecami powstańców i jeśli kto ratował honor Madagaskaru, to oni, owi ludowi wodzowie Rainizafivoary, Rabezavana, Rabozaka, Raimibetsimisaraka i im podobni. Oczywiście kolonizatorzy okrzyknęli ich wszystkich bandytami, fahavalo (znaczy to: die Banditen!), i jako takich tępili, ale dziwni to bandyci, jeśli w czasie tłumienia powstania musiało ich zginąć do stu tysięcy. (C. Savaron *Mes souvenirs d Madagascar*, Tananarive 1932).

Więc Madagaskar, niepoprawny zwodziciel, urządził kawały ludziom i narodom. Wywoływał gorzkie nieporozumienia nawet u samych Malgaszów, a cóż dopiero obcych. Kolonizatorzy co prawda wygrali wojnę, zdobyli kolonię, sądzili, że się pięknie obłowili, a tymczasem właściwie wynikły z tego nici i rozczarowania: złota nie było wiele i wnet się wyczerpało, a innych minerałów tyle, co pożał się Boże. Po latach poczciwa kawa, chociaż ta podlejszego autoramentu, musiała ratować gospodarkę kolonii.

W czasie mego w Tananariwie pobytu, w połowie października, obchodzono uroczyste narodowy dzień rocznicy uzyskania niezależności. Tysiące Malgaszów wyległo na bulwary, były uliczne występy (raczej słabawe) śpiewackich zespołów mpilalao i nie było, oczywiście, żywiłowych tańców ludzi Bara czy Antandrojów z południa. I była defilada wojska. Ładni, przyjemni chłopacy, przybierający zuchowate miny, barczyście zażywni podoficerowie i marsowi oficerowie — robili dobre wrażenie. Ale mimo woli człowiek widzący ich krzepę wracał podejrzliwą myślą do tamtych wojaków z roku 1895.

Marząc o pustynnej Tampoketsie

Dla zwariowanych obieżyświatów — wiadoma rzecz — wyspy miały zawsze szalony urok, nieodparty jak szperka dla kota — a ja bynajmniej nie stanowiłem wyjątku: serce wyrывało się ku wszystkim wyspom i oazom. Przypomniałem to sobie, gdy autobusem Taso mijaliśmy obecnie niegościnną Tampoketsę. Poznałem ją już przed wielu laty, w 1937 roku.

Na tych oziębłych wyżynach górskich, smaganych kaducznym wiatrem, istniały głębokie parowy, a w parowach pienią się wąskie pasma gęstej puszczy. Tam, w tych wądołach, nie dmuchały wiatry, było przytulnie i ciepło. Owe kilku- lub kilkunastohektarowe, a może i większe wstęgi zieloności, żyzne i barwne, tętniły

swoistym życiem, a gdy się obok nich przejeżdżało, uderzały dziwnie radosnym kontrastem na tle posępnego stepu Tampoketsy. Może dzięki tak jaskrawym przeciwieństwom bujne jary, zwłaszcza gdy świeciło słońce, nabierały niezwykłego wdzięku; przeobrażały się w jakieś wymarzone ustronia, w mikroeldorado dla przyrodników. Czy były to uśpione królowny, czekające na królewiczów? Chyba tak.

O tych tampoketsowych zakamarkach krążyły w owych przedwojennych latach wśród naukowców w Academie Malgache w Tananariwie podniecające wieści. Gąszcze, dziewicze wciąż pod względem naukowym, podobno zawierały istne skarby fauny i flory, rozkwitały storczykami tylko tam rosnącymi i gościły tajemnicze lemury, gdzie indziej nie znane. O uszy obijały się nęcące nazwy gatunków, Gastrorchis, Cynosorchis, Jumellea, i budziły romantyczny niepokój. Narastała we mnie chętka zanurzenia się w kuszące chaszczki, gdzie przebywałbym niby szczęśliwy rozbitek na czarownej wyspie. Byłem przekonany, że czekały mnie wówczas w jakimś wądole rozkosze wyjątkowego zżycia się z przyrodą. Myśl niepowседневnej robinsonady nabierała realnych kształtów: chciałem tam spędzić dwa, trzy tygodnie, a namiot był już gotów i dziewczyna również: młodziutka Kintana — Gwiazda — postanowiła iść ze mną na pustkowie i ułatwić mi życie pod namiotem. Należało tylko wybrać właściwy wąwóz.

Wówczas, w lipcu 1937 roku, odbywałem podróż samochodem z Tananariwy do Madzungi, korzystając z miłego zaproszenia polskiej komisji studiów osiedleńczych, przebywającej właśnie na Madagaskarze. Było to sympatyczne towarzystwo, ale wszyscy trzej, Mieczysław Lepecki, Leon Alter i Salomon Dyk, patrzeli na mnie w aucie zrazu z niejakim zdziwieniem, a potem, przypuszczam, jak na żenującego cudaka: facet osobliwie się zachowywał. Gdy niedaleko za Ankazobe wjechaliśmy w Tampoketsę, przecież nikomu na nic niezdatną, on jak stuknięty zaczął nagle z nedorzeczną gorliwością spojierać na kraj w prawo i w lewo, gapić się na zagadkowe, lesiste jary, szukać jakby zaników na lodzie, jakby manny wypatrywać w pustyni — i ogromnie skrzętnie to wszystko notować. Milcząc, dziwak zapisywał śmieszne rzeczy, jaki wądół widział na którym kilometrze, gdzie zaiste nic pożytecznego nie rosło. A milczał filut jak grób, cichej wody nabrał do ust, nie zdradzał swych knowań. Nie zdradzał, bo czyż mężowie tak trzeźwi mieliby zrozumienie dla jego chimer?

Wieczorem tamtego dnia Dyk zapytał mnie nie bez kpiny:

— Czegoś pan właściwie szukał na tej pustyni? Złota?

— Tak! — odparłem po prostu. — Złoty marzeń...

— Zaraz sobie pomyślałem! — mruknął pobłażliwie.

Dyk, który wtedy marzył o sprawieniu sobie solidnej willi w Izraelu, uważał się za wielkiego realistę.

Przejeżdżając obecnie obok pamiętnych jarów Tampoketsy, zadumałem się nad losami trzech towarzyszy. Czy wszyscy jeszcze żyli i jak im się wiodło? O Alterze ani o Dyku nic już nie wiedziałem, natomiast z Lepeckim — bywało w warszawskim Pen-klubie czy gdzie indziej na Krakowskim Przedmieściu — ściskaliśmy sobie od czasu do czasu dłonie: Lepecki, po wielu latach wędrówki po Brazylii, wrócił do Warszawy i wierny swym pierwszym sprzed wielu lat umiłowaniom, pisał książki i wciąż obdarzał czytelników plonem swych wrażeń zza morza.

Doświadczenia z ustroniem Tampoketsy nie przeprowadziłem. Nie doszło do tego. Madagaskar gdzie indziej, w innych dolinach, wśród innych wzgórz, okazał się tak porywającym magiem, pociągał tam takim przepychem ludzi i przyrody, że było to jak nieustanne ucztowanie, i wąwozy w Tampoketsie zeszyły na dalszy, mniej barwny plan. A szkoda! Byłaby to przygoda zapewne jedyna w życiu: przygoda rozegrana w gronie tajemniczych orchidei, nieznanych lemurów, ślicznej dziewczyny i bujnego skrawka puszczy w zupełnym odcięciu od reszty świata, dosłownie jak na wyspie, i to na pewno szczęśliwej. Ale, powtarzam, nie doszło do tego. Z Kintaną wypadło jechać na dalekie południe i tam, w okolicach Fortu Dauphin, zagłębiać razem w drapieżne kielichy owa-dożernych nepenthes. Były piękne i groźne.

Przemiany, jakie w tych latach przeorały Madagaskar, nie tknęły nic a nic, ani

odrobinę Tampoketsy. Gdy teraz około piątej po południu wjeżdżałem autobusem w te wyżyny, było tu wszystko jak przed wielu laty: całymi kilometrami nie widziało się człowieka, ten sam co ongiś wicher szarpał tę samą rzadką trawę i w tych samych wądołach pasy puszczy, niby zielone nimfy, jak ongiś wdzięczyły się do nas, powabne w popołudniowym słońcu. Jaka przejmująca niezmiennność tego skrawka przyrody, podczas gdy dokoła wszystko inne, co dotyczyło człowieka, ulegało tak radykalnym przewrotom!

Ale — czy ów człowiek tak bardzo się zmieniał? W Tanana-riwie szukałem po tylu latach Kintany i znalazłem adres. Odwiedziłem ją w jej domu. Powodziło jej się dobrze, a czterdziestopięcioletnia dama była wciąż pełna wdzięku i urody, tylko że teraz dojrzałszej niż ongiś. Była od lat mężatką — wyszła za malgaskiego lekarza czy weterynarza — doczekała się dwojga dzieci, córki i syna. Z dawnych lat, jak się okazało, zachowała do mnie wiele ciepła i szacunku, a gdy w serdecznej rozmowie wspomniałem o mych nieziszczonych ongiś marzeniach co do Tampoketsy, ona — typowa Malgaszka — zaniósła się roześmianą życzliwością. Przecież nic nie stracone — zawołała, porwana zapalem — powinienem teraz jechać na Tampoketse, spełnić swe dawne sny i napisać śliczną książkę, i oczywiście mieć przy sobie młodą, chętną dziewczynę, która „ułatwi mi życie pod namiotem”.

To mówiąc klasnęła w dłonie i przywołała swą córkę. Gdy dziewczyna przyszła, Kintana ubawiła się moją zgłupiałą miną i wybałuszonymi ślepiami: Juliette — dwudziestoletnia córka — byia tak fantastycznie podobna do Kintany z roku 1937.

Światła Tananariwy

Trudno wybrać sobie efektowniejszą godzinę na przyjazd do Tananariwy: była dziesiąta w nocy, gdy nasz autobus linii Taso wpadł do śródmieścia. Już od trzech godzin brnęliśmy w zupełnej ciemności mijając ryżowiska, głuche wsie i całkiem uśpione miasteczka Imeriny, gdy z półmroków przedmiejskich wystrzeliły ku nam światła głównej alei Tananariwy, Avenue de l'Independance, Światła były tak iskrzące i nieoczekiwane, tak kolorowe w licznych neonach, a poza tym tyle na ulicy ruchu, wesołych głosów, wybuchających śmiechów, miłej muzyki z kilku na raz stron, że po godzinach obijania się w ciemnej głuszy działało to jak przebudzenie na obcej planecie, jak przeskok w inną epokę. Barwne odpryski z dalekich Champs Elysees, Montmartrów i Pigalli, rzucone na egzotyczne miasto, buchały w przybysza. Był to na ulicy radosny cocktail francuskiej pobudliwości z malgaską zmysłowością.

Szumnym powitaniem starej znajomej, Tananariwy, byłem tak zaskoczony, że nawet nie wziąłem za złe taksówkarzowi, gdy zrobił ze mnie balona i zamiast pięćdziesięciu franków wycygałł dwieście pięćdziesiąt. Wysadził mnie przed „Glacier”, hotelem nie pierwszej klasy, i nie żałowałem tego: było tu wesoło i na korytarzach snuły się dziewczęce głosiki Malgaszek, dziwnie świeże i miłe. Podniecały domysły samotnego wędrowca, ale to był zacny przybytek o godziwej w zasadzie renomie, tylko takie panowały tu dziewczęce zwyczaje. Hotel miał rozległą werandę restauracyjną, wychodzącą na ulicę najbardziej ruchliwą w Tananariwie: tam gdzie się stykała Aleja Niepodległości z Rue 18 Juin — ulicą 18 Czerwca.

Umyłem się i zaraz zeszedłem na werandę, ale o tej późnej porze nic nie mieli już do jedzenia. Zamówiłem aperitif Pernoda i dzięki temu z rosnącą przyjemnością gapilem się na spacerujących ludzi i na sznury samochodów. Ludzie wydali mi się kwiatami nęcącymi swą zalotnością, a wariacko liczne samochody — rojem tropikalnych żuków, ogromnie kolorowych.

Jednak największy podziw budziła sama ulica. Do wszystkich Belzebubów, Niemeyerów i Haussmannów, czy to była ta sama ulica Dworcowa z przedwojennych lat, wówczas ciemnawa, obsadzona rzadkimi rudrami, wśród smętnych ogródków i pólek ryżowych? Ta sama! A oto od dworca, sterczącego niezmiennie w tym samym miejscu jak ongiś, ciągnęła się teraz nowa, kilometrowa magistrała, Avenue de l'Independance, chwała urbanistycznego nowatorstwa, szeroka na przeszło sto

metrów i obramowana z obydwóch stron szeregiem ślicznych, niewysokich domów. Jakiś krzyk nowoczesności wśród betonu, asfaltu, tworzyw sztucznych i kwiatów, a wszystko to spojone architektonicznym umiarem, zawsze w tak dobrym guście u Francuzów.

Osiadł na tej Avenue wykwił sklepow z Paryża, rozbłysły neonami różne Air France'y i Air Madagascary, przyjemne kawiarnie, bary i restauracje obsadziły chodniki, a nie brakło i wielkich księgarni z najświeższymi publikacjami z całego świata. A do tego wzdłuż całej alei wiodły pod domami dwie urocze galerie arkad, mądra ochrona od ulewy w porze deszczowej i od spiekoty w dni słoneczne, a sielankowe miejsce spotkań o każdej porze dnia i roku.

Nawet teraz, pomimo dość późnej godziny, ulica była blaskiem świateł, i to mnie chyba najwięcej urzekło. Feniks, który powstał z popiołów, albo Afrodyta, zrodzona z piany morskiej. Uśmiechnąłem się na myśl o Afrodycie: była nie tylko boginią wdzięku i miłości, ale wcale niezlą puszczają, więc chyba jak ulał odpowiadała nastrojom tej ulicy.

Wspaniałą arterię wypieścili Francuzi przed kilkunastu laty po drugiej wojnie światowej, lecz jeszcze zanim zaświtała władza Malgaszów. Na pewno budowali ją dla siebie, nie przeczuwając cholernego biegu historii, ale czy dziś bardzo żalowali daremnego wysiłku? Chyba nie: wytworne sklepy i biura wciąż należały do Francuzów, im nadal przysparzały chwały i grosiwa, i tak długo, jak Tsiranana będzie u steru, nikt zapewne nie uderzy ich w kieszeń zbyt boleśnie.

A z tym zawalidrogą René Depui to jak było? Wyteżając wzrok ku końcowi ulicy 18 Juin, mogłem jeszcze dostrzec z werandy hotelu „Glacier” jego starodawny dom towarowy i niewyraźny napis na froncie, niewyraźny, bo kiepsko oświetlony. Depui nie świecił, bo się sierdził, żal czuł do świata, żal do Malgaszów i nie mniejszy żal do Francuzów.

Ongiś, za czasów kolonii, był to tuz całą gębą, kupiec nad kupcami, a w jego ogólnym sklepie towarowym niejedną pożyteczną rzecz nabywałem przed wyjazdem w głąb wyspy. Potężny jak na owe czasy dom stał w najlepszym strategicznie miejscu, u wylotu ulicy Dworcowej na skraju targowiska Zomy: tysiące Malgaszów, przybywających z całej Imeriny co tydzień na piątkowe targi, chcąc nie chcąc, raczej chcąc, wstępowało do Depui.

Potentat z dawnych czasów pozostał bogaczem także po wojnie, a do tego upartym kozłem. Planiści z rozmachem iście haussman-owskim zamierzali wyciągnąć szeroką arterię od dworca aż do samego targowiska Zomy, i była to rzecz piękna. Władze kolonialne temu przyklaskiwały i wszyscy właściciele nieruchomości się godzili, wszyscy z wyjątkiem starego René Depui. On, zakuty wielbiciel dawnych dobrych czasów, zwolennik kolonialnej ręki, twardo krzyknął: nie! i co najciekawsze, postawił na swoim. Nie pozwolił zburzyć swego domu. Więc jego odcinka, zwanego dziś Rue 18 Juin, nie rozszerzono. Jak tej sztuki dokazał jucha na przekór interesom miasta i interesom Francji, ile go to kosztowało, pozostanie jego tajemnicą i może niektórych innych.

Dość, że oto Rue 18 Juin nie wzięła rozpędu jak jej pyszna rówieśnica, Avenue de l'Indépendance. Była wciąż kopciuszkiem, była nieszeroka jak za czasów Gallieniego, nie brała udziału w rozpętaniu otaczającej dzielnicy, ciemnawa fasada trąciła melancholią. Wojak przedawnionych bastionów, René Depui, obronił się na gruzach Grenady, robił bohatera z reduty Ordon, ale beznadziejnie się zgrywał, i to z małym honorem: był to mada-gaskarski don Kiszot.

Okolo godziny jedenastej ruch na ulicy dość szybko zamierał: krążyło coraz mniej samochodów i ludzi, za to światła pozostały w pełni blasku: Tananariwa świeciła sama sobie przez całą noc.

Udałem się do hotelowego pokoju i przyjemnie zasnąłem. Głosiki u sąsiadów jeszcze świergotały, ale były już uspokojone i senne. Nie przeszkadzały.

Miasto Tysiąca Kwiatów

Ville d'amour — miastem miłości — nazwali Francuzi Tanana-riwę jeszcze w połowie XIX wieku i dziś szumny przydomek nie stracił aktualności. Dziś, po odzyskaniu niezależności, wielu Malgaszów w stolicy pozbyło się biedy, poczuło się znowu panami swych włości i lepiej jadało. Spotęgowana wiara w siebie, wiadomo, zawsze dobrze działała na jurną radość życia, a tym bardziej u ludzi tak niebywale oddanych zmysłowym rozrywkom.

Gdy przebudziłem się w Tananariwie pierwszego poranku, w pamięci stały mi słowa jakiegoś naszego młodego poety (nie przypominam sobie już którego) piszącego o sobie dość szumnie, że był „jak szmpan lekki, doskonały jak mocny koniak, jak likier soczysty i miał duszę do słońca roześmianą”. Byłem w tropikach, ale na wysokości tysiąca czterystu metrów, i to tłumaczyło cały sekret uroku. Gdy zeszedłem na werandę na śniadanie, powietrze aż upajało rzeźwością, niebo zadziwiało szafirem, a ulicą przelewał się tłum ludzi w olśniewającym słońcu: był piątek, zo-ma, dzień targowiska, podniet i burzliwej barwności. Ludzie, przybywający ze wsi tysiącami, tego dnia mocniej odczuwali życie.

Tak samo jak ja. Tego poranku jeszcze raz uprzytomniłem sobie, dlaczego tak wielu Francuzów przepadało za Tananariwą: klimat i ludzie. Fantastyczny klimat: to był mądry szczep, przybyły w zamierzchłych czasach z wysp indonezyjskich, bo szybko przeniósł się z gorącego wybrzeża na zdrowe wyżyny Imeriny, Kraju Gdzie Widzi Się Daleko — i król Andrianamponimerina mądry był, bo wdarł się na tę Niebieską Górę i założył tu swe grodziszcze Antananarivo — Miasto Tysiąca. Na Madagaskarze wszystko, co poczuwało się do wielkości, kończyło swą nazwę „tysiącem” — arivo.

W wyżynnym klimacie zdrowy szczep nie zatracił swej tężyzny i musiał zdrowo pracować na ryżowiskach, pozostał rozgarnięty, zachował wrodzony wdzięk i dzielność. Żadny postępu i władzy, szalenie ambitny, czasami okrutny, zawsze zabobonny, wyprzedzał w rozwoju wszystkie inne pobratymcze szczepy wyspy. Przez cały wiek XIX, do roku 1895, tylko on, naród Merinów, stworzył zorganizowane państwo i pisał historię Madagaskaru.

A oto przechodzili Merinowie przede mną ożywionym tłumem, wiadomo: piątek. Byli ponętni. Poranne słońce uwypuklało ich urodę, wywodzącą się gdzieś z dalekiej Indonezji, może Sumatry, może z półwyspu malajskiego. Patrzałem na nich z przyjemnością. Wydawali się dorodniejsi, pełniejsi niż przed laty. Wszyscy, rzecz prosta, chodzili ubrani po europejsku, w odzieży od wieku tu wprowadzonej, z tym jednak, że wielu dodatkowo nosiło krajową łambę. Był to rodzaj białej togi z płótna lub jedwabiu przerzuconego przez ramiona, strój narodowy całkowicie już porzucony przez postępowych modnisiów: chłopaków i młodych mężczyzn. Oni chcieli być bardzo europejscy.

I chyba — zewnętrznie — byli europejscy tak samo jak miasto. Od półtora wieku przybysze z innych krajów, zwabieni tu tajemniczą egzotyką Malgaszów, zawsze doznawali zawodu ujrzawszy miasto: nic nie było tu ze wschodniej błyskotliwości ani pompy. Domy, czworokątne klocki, wyższe niż szerokie, pokryte bardzo spadzistymi dachami, były funkcjonalne i wyzute z fantazji. Jeśli do tego dodać, że przez cały wiek XIX buszowali tu angielscy misjonarze narzucając malgaskiej stolicy purytańskość i obłudę ery wiktoriańskiej, łatwo zrozumieć szok Knighta. Ów E. F. Knight, także Anglik, ale korespondent wojenny, przybył do Tananariwy tuż po zdobyciu jej przez Francuzów w 1895 roku i zastał miasto nieprzyjemne: sztucznie pretensjonalne, potwornie złe uliczki, raczej ścieżki i wąwozy, a życie towarzyskie bezbarwne i nudne.

Nie, obecnie Tananariwą nie była już bezbarwna i nudna. Była francuska. Francuzi wszędzie — co zauważyłem przed laty i w In-dochinach, i w Afryce zachodniej — stwarzali miłe, powabne miasta. Pod koniec XIX wieku Tananariwą według ówczesnych opisów była straszliwą dziurą, niechlujną i ogołoconą z zieleni. Nie rosły tu żadne drzewa ani krzewy, co najwyżej biedziły się su-chotnicze chwasty w zaułkach. Panował brud i smród.

Francuzi, z właściwą sobie pasją, zabrali się do kopciuszka i przerobili go w nowoczesny klejnocik. Nie tylko wyszorowali, wyposażyli, uzbroili do lepszego bytu, ale maniacy upiększania zalali miasto istną powodzią zieleni. Zwieźli drzewa ze wszystkich stron świata, nawet dęby z Francji, i rozkwiecili aleje i bulwary barwami tęczy. Mistrzowie uprzyjemniania sobie życia potrafili nasycić ulice radością kwiatów, i oto przeróżne dalie, złocienie, poinsettie, bougainvillee, róże, datury stawały się jakimś przejmującym godłem Miasta Tysiąca. Tysiąca Kwiatów — jak mawiali Malgasje, którzy śladem Francuzów z biegiem czasu stali się równie zagorzałymi miłośnikami kwiatów.

Kwiaty wymierzały tu czas, stwarzały swoisty kalendarz w mieście. Co miesiąc rozkwitały inne rośliny, każdy miesiąc miał swe szczególne kwiaty i wysuwał je na pierwszy plan.

Francuzi stworzyli tu swoisty szal: kwiatową urbanistykę.

Urzekające drzewa

Gdy w następnych miesiącach na kilka tygodni wylatywałem w głąb wyspy i wracałem następnie do Tananariwy, za każdym razem witały mnie w stolicy nowe kwiaty. W październiku, miesiącu wiosny na południowej półkuli, słońce prażyło coraz śmiejiej i wraz z pierwszymi ulewami szal ogarnął roślinność. Co było zielone i miało jaskrawe barwy, burzliwie je mnożyło.

A równocześnie zjawily się wspaniałe motyle. Liczne i nerwowe, jakby w rozterce co do wyboru kwiatów. Latały głównie dwa gatunki, obydwie królewskie pазie, jeden czarno-niebieski, to szlachetny *Papilio epiphorbas*, drugi czarno-żółty, to wszędobylski *de-modocus*. Nie mogłem się dość napatrzeć na nie. Rzadko kiedy siadały, i to na mgnienie oka, by zaraz zrywać się, wciąż zapędzone i niecierpliwe. Latały dokoła placów i ulic, podniecone i podniecające. Sam nie wiedziałem, co czynić z taką pokusą, Łowić motyle czy je fotografować, a łowiąc albo fotografując narażać się na drwiny Malgaszów? Ostatecznie powściągnąłem się w łowieckich zapędach i robiłem najrozsądniejszą rzecz: cicho podziwiałem ich latanie.

Czasami było ich na raz kilka lub kilkanaście w powietrzu. Wtedy zakrawało to na barwny występ taneczny i, rzecz dziwna a przyjemna, odruchowo stawała mi przed oczami nasza Boniuszko. Żwawe motyle, okazałe jak liście klonowe, rozpylały w powietrzu swą żółtą wesołość i migotliwy lazur i były jakimś ruchliwym ukoronowaniem nieruchomych kwiatów: to jakby hojnemu miastu nie dość było kwiatowej bujności, lecz musiały mu jeszcze pomagać szlachetne owady i dorzucać swe powiewne płasy kolorów.

W połowie października zwałało się lato na Imerinę i w Tananariwie dojrzewało wielkie misterium: do życia i władzy dochodziły drzewa. Nagle zaczęło się je widzieć i co więcej, odczuwać. Przede wszystkim były to potężne, rozłożyste żakarandy i lilaki perskie, które od pół wieku płały tu się w tropikalnym słońcu. W ubiegłych miesiącach drzewa te nie miały liści, ale w pierwszych dniach października coś ruszyło się w ich konarach: powstał fioletowy meszek. Z każdym dniem odcień nabierał mocy, fiolet gęstniał i tężał, i gęstniał, aż w końcu wszystkie gałęzie drzew, od góry do dołu, od brzegu do brzegu, pokryły się zbitą szatą tysięcy fioletowych kwiatuszków. Była to gloria i orgia, był to fioletowy płomień; to jakby raptownie ciury awansowały na generałów, miernoty stawały się dygnitarzami, mizeraki przeobrażały się w pysznych senatorów.

I zdumiony człowiek odkrywał, że były to niespodzianie wielkie, rosłe drzewa i że wszędzie ich tak niezwykle pełno: kwitły na ulicach i w ogrodach, i na podwórzach; rozpierały się na skwerze Gallieniego i nad jeziorem Anosy, i w dzielnicy Ambohidahy; były naraz wszędzie, nawet u wylotu ulicy 18 Juin. Napelniały Tana-nariwę atmosferą fioletowego światła i stwarzały chyba jedyne tego rodzaju zjawisko wśród miast na ziemi.

Okolo dwudziestego października obydwie gatunki drzew doszły do szczytu rozkwitu.

Żakarandy miały wspanialszy — najwspanialszy — fiolet i były prawdziwą uczcią dla oka, ale nie pachniały, natomiast lilaki perskie, chociaż o bledszym fiolecie, wydawały silną, niezwykle przyjemną woń. Poznawałem w mieście wiele szczęśliwych odcinków i ustroni, gdzie niezmiennie o każdej porze dnia uderzała w przechodnia wielka fala zapachu, a że zawsze w pobliżu rosły także żakarandy, połączenie jednego i drugiego, widoku i woni, sprawiało silne wrażenie. Wchodziło się jakby do innego świata, ocierało się o sferę niewysłowionych rzeczy, nie-przeczuwanych doznań.

I jakże tu nie ulec czarowi kwiecistej stolicy Malgaszów? Nie zachwycać się na równi z legionem innych wielbicieli, którzy tędy przejeżdżali? Wszystkich miłośników przyrody musiał oczarować powab Tananariwy! — wołał dr H. Poisson i Robert Boudry, i tylu innych zapaleńców, i także skromny przybysz z Polski.

Właśnie jego szczególnie ujęło za serce uderzające podobieństwo Tananariwy do Warszawy i Poznania: Miasto Tysiąca także cierpiało na brak publicznych wygódek, a Malgasze miewali te same cielesne kłopoty co ludzie u nas. Więc miejscami do cudownego zapachu lilaków perskich i innych kwiatów wplątał się zgryźliwy, ostry odór schnącej uryny i to było wprost rozczulające: taki sa-miuteńki przenikliwy fetor witał gości również w Poznaniu, w centrum miłego miasta, w nieobcej mi bramie przy Placu Wolności 7.

Gdy królewskie gwiazdy wschodziły

Niezwykła wyspa i niezwykli ludzie. W ciągu wieków ile naj-sprzeczniejszych sądów o niej i o nich krążyło — i to dosłownie do dnia dzisiejszego. Ile razy uchodziła wyspa za najgorsze piekło i za najpiękniejszy raj, jak często Malgasze wydawali się wcieleniem zbrodni i jednocześnie cnót wszelakich! Tysiące przybyszów i setki badaczy łamało sobie głowy, by zrozumieć wyspę i ludzi — i nie doszło do celu. Ale chociaż ciągle błąkały się wątpliwości co do charakteru Malgaszów, jedno pozostało pewne: to, co działo się na Madagaskarze, a zwłaszcza u Merinów, było jakieś burzliwe i twórcze, namiętne i fantastycznie barwne, i czasem piękne. Może dlatego wyspa tak fascynowała Europę?

Oto u schyłku osiemnastego wieku wyblęśla z mroków mocna gwiazda króla Merinów o niemożliwej nazwie Andrianampoinime-riny, Władcy Serca Imeriny. Sierdzisty wojak, chłopski geniusz, wytrawny znawca ludzi, a przy tym pełen człowieczeństwa, sam będąc bez żadnej oświaty ni wzorów, z niczego dokonał kapitalnego dzieła: lud swój nauczył wyteżonej pracy i dał mu mądre prawa oraz wizję wielkości. Oparł rządy na tak rozumnych podstawach, że państwo Merinów wybiło się nad całą wyspę i nabrało potęgi na całe sto lat, a w sto pięćdziesiąt lat później głośny publicysta amerykański John Gunther urbi te orbi pochwali poziom cywilizacyjny Madagaskaru, znacznie wyprzedzający kontynent afrykański. Niewątpliwie Andrianampoinimerina należał do asów swej epoki, nazywano go też malgaskim Napoleonem.

Asem był również jego syn, Radama I. Już nie wojak sierdzisty, lecz wybitny wódz, niezmordowanie spełniający przez całe życie ojcowski rozkaz zdobycia dla Merinów całego Madagaskaru od morza do morza. Zdobył dobrą połowę wyspy, bo i on, więcej jeszcze niż jego ojciec, zapatrzył się w Napoleona, był jakimś bogiem wojny, popędliwym, czupurnym i szalenie ambitnym. Przebiegał wyspę, palił miasta, utaczał krwi. Był bezwzględny i drapieżny i cieszył się zaufaniem Anglików, którzy przysyłali mu sierżantów, broń i misjonarzy.

Już jako chłopiec Radama zasłynął męstwem i srogością. Ojciec wysłał go wtedy na czele hufca na południe przeciw Betsileom, których król, dowiedziawszy się, kto przeciw niemu ciągnie, natrzasał się do rozpuku z zuchwałości niedojrzałego młokosa. Ale młokos pobił go i zdobył jego stolicę; ażeby zaś pomścić zniewagę, kazał po prostu wykastrować wszystkich pojmanych wrogów. Żalozne miejsce nazwano odtąd Ambositra, Miastem Rzezańców. Gdy w wyprawie na południe zwiedziłem tę miejscinę, smutek sprzed półtora wieku dawno się już rozwiął, ale kobiety wydały mi się tu wyjątkowo śliczne i śmiałe, mężczyźni przybici i niedowarzeni.

Radama I również pokonał jako tako Sakalawów na północy i pustosząc Boinę zdobył Marovoay i Madzunge. Był przy tym rozdrażniony i tępił wroga z barbarzyńską zaciętością.

Natomiast gorzej powiodło mu się z Sakalawami na południu, w Menabe. Ich nieustępliwa partyzantka, niegościnnieść jałowego kraju tudzież olbrzymie przestrzenie niweczyły jego wysiłki i kładły trupem tysiące jego żołnierzy, ginących na próżno. Skoro nie wyszło orężem, to przynajmniej małżeństwem chciał podbić południe. Co prawda władca królestwa Menabe, dumny Ramitraho, dał mu swą córkę, ale na tym się skończyło: uroczą Sakalawką stała się ulubioną żoną Radamy, lecz gdy Radama sięgał dalej, także po same królestwo, dostał figę z makiem i krwawą odprawę. A tam, gdzie oddziały Merinów usiłowały dłużej się zatrzymać w warownych miejscach, Sakalawowie mieli na intruzów wypróbowany sposób: podrzucali im pewien gatunek kleszczy, roznosicielei chorób, i żołnierze złamani i osłabieni gęsto padali pod dzidami obrońców.

Lepiej poszło Radamie na wschodzie wyspy. Tam łagodny szczep Betsimisaraków łatwo uległ przemocy i Merinowie zawładnęli całym wybrzeżem; a tylko na południu, wśród ludzi Taimorona, natrafili na poważniejszy opór. Ale posiadając skuteczniejszą broń, strzelby od Anglików, wojacy Radamy dali szybko radę przeciwnikom, po czym zwycięski generał wymierzył sobie należną sprawiedliwość: wyciągał ramię w bok i kto z mężczyzn Taimorona przewyższał jego pachę, tracił życie. Generał był niski, więc większość męskiej ludności szczepu, także wyrostki, zginęła. W Tana-nariwie i w ogóle w Imerinie mocno siedzieli już pastorowie Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, ale woleli zakrywać oczy i nie widzieć niemiłych rzeczy.

Pomimo okrutnych praktyk i śmierci dziesiątek tysięcy niewinnych istot, jakie miał na sumieniu, Radama I przeszedł do historii w pełnym blasku chwały. A przejść musiał w chwale, bo przecież był sojusznikiem Anglików, wiernym im do końca, i angielski artysta namalował mu portret pełen glorii, w generalskim mundurze na podobieństwo księcia Wellingtona. W tej okazji malgaski bóg wojny, syn Andrianampoinimeriny, urzekał oczy potomnych i urzeka do dnia dzisiejszego wszystkich, którzy odwiedzają Pałac Królowej na szczycie najwyższej w Tananariwie góry i podziwiają umieszczony tam obraz.

Tragedie Okrutnej, Romantyka i Uporczywego

Znacznie gorzej, wręcz potępiająco, obeszła się historia z następczynią Jtadamy, wdową po nim, królową Ranavaloną I, której przypięto przezwisko Okrutnej. Babsztyl stał się symbolem wszystkiego, co okropne i krwiożercze, zdobył światową sławę jako ostatnia jędza, potwór i megiera. A że doszło do tej paskudnej opinii, że Ranavalona nawarzyła sobie piwa, zawdzięczała to przede wszystkim niewybaczalnej winie: naraziła się Londyńskiemu Towarzystwu Misyjnemu.

Puszczono by jej płazem, że po śmierci męża, chcąc zapewnić sobie spokojny tron, kazała wymordować wszystkich jego krewnych, jego matkę, siostrę, kuzynów i moc oddanych jego pamięci oficerów: przecież Europa, dawnymi czasy, znała podobne praktyki w rodzinnych machlojkach własnych możnych i królów. Więc Ra-Navalonie darowano by także i to, że srodze polubiła truciznę tan-guinu i stosowała ją w malgaskim sądownictwie na każdym kroku, na niebywałą dotychczas masową skalę. Całe wsie i rejony poddawano sądom bożym i ponoć w ten sposób od tanguinu zginęło w samej Imerinie — według H. Rusillona — więcej niż dwieście tysięcy ludzi: ale przecież to byli sami Malgaszycy i któż by w Europie losem ich zawracał sobie głowę?

Mania tanguinu nie ominęła nawet samego dworu w Tananariwie: gdy młody i piękny Andriamihaja znudził się królowej, jej przyboczna rada starszyny *zarządziła* oddanie całego dworu pod sąd boży. Wszystkie osoby, nawet starszki-wdowy po Andria-nampoinimerinie, musiały zażyć truciznę, ale nic im nie zaszkodziła, jedynie Andriamihaja kipnął. Ale przecież to były wewnętrzne sprawy Malgaszów.

Ranavalona I, okrutna, bo okrutna, chociaż zabobonna i zażarta wsteczniczka, jednak

nie była ślepa i wiedziała, co na świecie piszczy. A na świecie dwa państwa, Anglia i Francja, niedwuznacznie ostrzyły sobie apetyty na Madagaskar. Pchała się zwłaszcza Anglia, która poprzez swych misjonarzy mocno się zakorzeniła na wyspie. W 1836 roku Ranavalona uznała za konieczne oczyścić atmosferę i zaczęła wyganiać z Madagaskaru Europejczyków, w tym wszystkich pastorów, natomiast malgaskim chrześcijanom, stronnikom angielskich misjonarzy – a było ich kilkanaście tysięcy – kazała wrócić do fetyszyzmu, wiary ojców. Niektórzy wyjątkowo gorliwi zwolennicy obcych panów odmówili, więc około dwustu z nich, uznanych za zdrajców ojczyzny, znalazło śmierć, zrzucano ich ze skały poniżej Pałacu Królowej. W opałach, w jakich znajdował się Madagaskar, królowa uważała ich za groźnych dla państwa kolaborantów i agentów obcych mocarstw.

Proces historyczny, wytoczony jej za to przez świat, Ranavalona z kretesem przegrała. Musiała przegrać, bo sprowokowała przeciw sobie najpotężniejsze wówczas moce, rozjątrzyła nieubłagane instancje. Wobec ogłuszającego chóru potępienia musiała przepaść, zniesławiona na zawsze. Obrońców nie miała żadnych dzika władczyni na pół dzikiego kraju, za to na nią rzuciły się wszystkie niezwykłe wówczas moce: cały cywilizowany świat i jego najzarliwsze pióra, jego nieubłagane namiętności i mózgi. Był to istny ogień huraganowy: powstawały o królowej, przeciw królowej nie skromne artykułki, lecz napęczniałe woluminy, pisali między innymi grozą i protestem przejęci pastorowie W. Ellis i Mul-lens, i Prout, i T. T. Matthews, i Houlder, i J. Sibree, i im podobni. Pod ich uderzeniami zasłynął Madagaskar i wyrósł obraz najkosz-marniejszej sekutnicy.

Przeczytałem kilka z tych oskarżycielskich ksiązek i pełen melancholii się zadumałem. Korciło mnie pytanie: czy obraz jędzy byłby w opisach pastorów tak samo czarny, gdyby Ranavalona nie zgładziła tych dwustu chrześcijańskich Malgaszów, lecz zatrąła tanguinem dwieście tysięcy innych Malgaszów, pogańskich Malgaszów? Wnosząc z tonu ksiązek, można było przypuszczać, że wyrozumieli pastorowie przebaczyliby Ranavalonie tych dwieście tysięcy trupów i dla miłej zgody puściliby je w niepamięć...

A oto zaraz po Ranavalonie I bajeczny meteor: Radama II. Jeśli lubować się w antytezach, to nie sposób wymyślić bardziej groteskowego kontrastu niż ten, jaki istniał między Ranavaloną a jej synem Radamą, następcą na tronie. Ona twarda, rozjuszona, wiecznie i wściekle podejrzliwa despotka, reakcyjna dewotka zabobonów, abnegatka, nienawidząca Europy i Europejczyków – on, jej syn uwielbiany, uśmiechnięty goguś, hulaka i łowca wszelakich rozkoszy, liberał i esteta, lekkoduch wzorujący się na dandysach ówczesnej Francji, utopista politycznych mrzonek i światowiec, uwielbiający Europę, jej blichtr i koniaki, osobisty przyjaciel Francuzów, Laborde'a i Lamberta – miękkie serce bez ziarenka perfidii i miękki charakter.

Otoczony podobnymi do niego birbantami, chciał zaprowadzić jakiś filantropijny raj europejski na wyspie Malgaszów i oczywiście przegrał. Jak matka jego przegrała w oczach chrześcijańskiego świata, tak on musiał ulec zaskorupałym konserwatystom swego narodu. Oni, wrogowie wszelkiego postępu, stróże rodzinnych idoli, w drugim roku panowania młodego Radamy II przysądzili mu śmierć, sterroryzowali Tananariwę i zadusili go. Kilka dni przedtem w brutalnych łowach wylapywali wszystkich jego wesołych kompanów i zwłoki ich wrzucali do jeziora Anosy. Gdy przyszła kolej na samego Radamę, udusili go w jego pałacu jedwabną chustą: na całym Madagaskarze nie wolno było rozlewać świętej krwi rodów królewskich.

Jak już poprzednio wspomniałem, śmierć jego wyprzedzi! sensacyjny protest ducha jego matki zmarłej przed niespełna dwoma laty: duch, oburzony na syna, że śmiało myśleć o wstrętnych reformach, ponoć zszedł ze świętej góry Ambondrombe i w swej kilku-setkilometrowej rzekomej wędrówce do stolicy wzburzył cały kraj. Do orszaku ducha przyłączały się po drodze tysiące rozhiste-ryzowanych „ramanenżana”, nieugiętych, opętanych nieustannym tańcem św. Wita, a gdy furia weszli do Tananariwy, miastu udzieliło się rozdrażnienie. Tak to czarna reakcja składnie przygotowała grunt i wypadło już tylko dokonać ostatniej akcji i spełnić wolę sił

nadprzyrodzonych: zadusić Radamę II...

Po Radamie nie mniej barwna figura: premier Rainilaiarivony. Gdy Radama wyzionął ducha, do czego premier niemało się przyczynił, ten był już w dojrzałym wieku i ojcem kilkunaściorga dzieci (niekoniecznie z jednej żony). Rainilaiarivony z rodu królewskiego się nie wywodził, więc w kraju maniackich rygorów hierarchicznych nigdy nie mógł zostać królem, a straszną miał na to chętkę: koniecznie chciał być władcą, i to absolutnym. Należał do wpływowej rodziny z klasy Howów, Ludzi Wolnych, rodziny – dostarczycielki premierów malgaskich, więc Rainilaiarivony skorzystał ze sposobnej chwili po śmierci Radamy: jako dyktator ujął żelazną ręką ster i panował odtąd przez przeszło trzydzieści lat aż do samego końca, do przybycia Francuzów w 1895 roku.

Był już przedtem premierem i nałożnikiem Ranavalony I, ale teraz, chcąc nadal panować, musiał trzymać mocniej w swej garści rodzinę królewską. Więc zaraz po śmierci Radamy II rozwiódł się z dotychczasową żoną (czy żonami), pojął wdowę po Radamie, Rasoherinę, i w jej imieniu rządził krajem. Gdy królowa umarła w nieco zagadkowych okolicznościach, powołał jej krewną na tron i ją także poślubił, a gdy po śmierci tejże wypadło mu wyznaczyć nową monarchinię, także i ją, trzecią z kolei królową, wziął za żonę.

Równie dzielny i uparty był Rainilaiarivony jako mąż stanu, dokazując istnych cudów przebiegłości i wykrętów, by uniknąć pożarcia przez dwie zaborcze potęgi, Anglię i Francję. Wymyślali mu Europejczycy od podstępnych lisów i z łatką lisa przeszedł on w oczach Zachodu do historii, ale czy tamci dwaj wielcy przeciwnicy nie byli czymś gorszym, drapieżnymi wilkami?

Jednego nie można mu odmówić: umiłowania ojczyzny. Był patriotą i chciał ratować Madagaskar. Złe to robił, nieudolnie i z góry przegrywał wobec przeciwników, ale jego szamotanie się miało coś z tragedii greckiej. Upadek gotowało Madagaskarowi dwóch wrogów: z jednej strony zachłanność Europy, z drugiej – schorzenie własnego narodu, rozkład moralny tych, którzy mieli bronić ojczyzny. Rainilaiarivony, mąż nieprzeciętnej inteligencji, widział jedno i drugie, cierpiał i coraz bardziej miotał się jak osaczony bohater szekspirowski, popadający w obłęd: nikomu ze swoich już nie ufając, do ostatniej chwili kurczowo trzymał, usiłował trzymać, w jednej ręce wszystkie władze państwa, natomiast drugą ręką wydzielał, niemal dosłownie, naboje w przekonaniu, że obrońcy idą na front. Nie szli.

Skurcz rąk tragicznego premiera dopiero się rozluźnił, gdy królowa wywiesiła dnia 30 września 1895 na pałacu białą flagę i nastąpił koniec państwa.

O namiętnościach malgaskiej przeszłości

W Tananariwie miałem dwa ulubione miejsca: „Brasserie des Arcades” i jeziorko Anosy. W Brasserie, siedząc przy stoliku pod Arkadami w Alei de l’Independance i pijąc aperitif Pernoda, snuło się marzenia bardzo malgaskie, bo o tym, że życie jest słodkie – mamy ny aina – że słoneczny dzień jest piękny, tsara, a ludzie przechodzący mili, zwłaszcza gdy młode Malgaszki się uśmiechały. Obok pod ścianą siedzieli przy stoliczkach sąsiedzi: Francuzi, Mal-gasze, Amerykanie, Niemcy, i wszyscy pili francuski aperitif i mieli malgaskie rojenia.

Tu panowała chwila obecna, widziana różowo poprzez francuski Pernod, natomiast nad jeziorkiem Anosy żyła przeszłość. Docierało się do jeziorka albo wprost przez uciążliwą górę dawnej dzielnicy europejskiej z pałacem gubernatorów francuskich, albo okrężnie po równej drodze do końca ulicy 18 Juin, potem przez placyk Goulette, gdzie w kinie „Ritz” szła *West Side Story*, dalej imponującym tunelem do Alei Hubert Garbit i wreszcie było się nad jeziorkiem, w pośrodku pełnej malgaskiej wyspy. Tu ogarniała człowieka malgaska historia już bez reszty.

Jeziorko Anosy leżało na zachodnim skraju miasta, było ponoć sztuczne i miało blisko dwadzieścia hektarów, a w pośrodku małą wyspę. Na tej wyspie – jak fama głosiła – królowe odbywały swe coroczne ablucje, fandroana, uroczystość przedziwnie ważną, po której w nocy całe miasto szalało z radości i oddawało się publicznie

nieskromnym orgiom, bo była to noc bez kary. Dawno już wysepkę połączono groblą z brzegiem i wtedy powstał tu małgaski Parnas, na którym popisywały się (przez cały rok bezkarnie) chóry śpiewacze i zespoły tancerzy.

Ale oprócz zabaw odbywały się tu rzeczy mniej wesołe. Jezioro trąciło hadesem i wodami Styksu. Ostatecznie gdzieś trzeba było ich topić, więc topiono tu w Anosy. Królowie, a także ich bracia i kuzyni, nie żalowali sobie żon ni nałożnic, więc od czasu do czasu na ród królewski spadała plaga wyżu demograficznego. Wtedy przychodziło pozbywać się co niesforniej szych utrapieńców, niewygodnych dla tych, którzy byli u góry, a ponieważ rozlew krwi królewskiego rodu był zakazany, dla miłej zgody topiono nicponi w Anosy. Widłami ze świętego drzewa trzymano ich głowy tak długo pod powierzchnią wody, dopóki nie stawało się zadość czci należnej ludziom z królewskiego rodu.

W roku 1863 po pogromie złotych młodzieńców, menamaso, nieszczęsnych przyjaciół Radamy II, wrzucono ich zwłoki do jeziora, rybkom i robactwu na pożarcie. Odnoszono się wtedy do zabitych z wielką pogardą, ale później namiętności opadły, gniew ostygł, ludzie spostrzegli nowe czasy i zawstydzili się. Po latach na wysepce w jeziorze postawili obelisk w hołdzie nieżywym. Zatem znali także Malgasze rzewną melancholię dziwnego zwyczaju, by rehabilitować ludzi, których przedtem zabijali.

Ale gdy odwrócić się i spojrzeć w przeciwną stronę, w kierunku południowo-wschodnim, jaka sceneria, ile wspomnień z małgaskiej przeszłości! Niedaleko jeziora, o niespełna pół kilometra, zaczynał się na równinie Mahamasina stadion i hipodrom (gdzież te konie, gdzie?), stadion-gigant, jeden z większych na ziemi, i chociaż zbudowany przez Francuzów, był przecież teraz dumą Malgaszów, pieczęcią ich nowoczesności.

Za czasów królestwa małgaskiego równina Mahamasina stanowiła pole marsowe, na którym niemal codziennie odbywały się pyszne rewie wojskowe, będące burleską tanecznych popisów: miały olśnić cudzoziemców i respektem ich napełnić. Ale cholerni cudzoziemcy podśmiewali się pod nosem na widok donkiszotiady. Po polu kręcili się oficerowie, do cna pozbawieni wyczucia rzeczywistości i komizmu. Pawie i indory, całkiem poważnie naśladowali bohaterów modnych wówczas w Europie operetek i prześcigali się wzajemnie w ekscentrycznej pstrokaciznie mundurów. Każdy stroił się inaczej niż koledzy, według własnej fantazji. Była to przy tym klika potwornie nadętych, aroganckich maniaków, uważających się za koronę ludzkości, za ludzi nad ludźmi całego świata.

Na równinę Mahamasiny zwoływano także tysiące mieszkańców stolicy i okolicznych wsi, a królowe, z porady męża-premiera, wygłaszały tu uroczyste przemówienia do narodu. Były to słynne orędzia, kabary, tym patetyczniejsze i częstsze, im bliżej schyłku i zagłady państwa. Łały się słowa, wielkie słowa, powtarzające się w kółko, tęgie słowa, i urastało to wszystko do symbolu: płynęła z Mahamasiny jakaś nauka dla potomnych, żeby nie ufać czarowi zbyt potocznych słów, głoszonych przez władców — oczywiście nauka w las idąca.

Nad stadionem wznosiła się stroma skała, osławionej pamięci Ampamarinana, skąd strącano na śmierć małgaskich chrześcijan, tych słynnych dwustu. Angielscy pastorowie nabili ustronie takim ładunkiem grozy, tak się znęcali nad nieszczęsną skałą, że teraz nawet wesołe słońce popołudniowe nie łagodziło jej jakby upiornego wyrazu. Dla niewtajemniczonego byłby to okazały krajobraz z płócien włoskiego baroku, ale wszyscy wiedzieli, że przenikał go duch czyścica: taka to potęga misjonarskiej propagandy. A żeby zaś potęgę słowa jeszcze utwierdzić znakiem widomym, nad skałą angielscy pastorowie wybudowali kościół „na wieczną pokutę”.

Wyżej nad skałą piętrzyła się góra, najwyższa w całej okolicy, a więc na jej szczycie rozpostarł się gród małgaskich władców, tak zwany rova, z potężnym Pałacem Królowej. Dla Ranavalony I zbudował owe gmaszysko z drewna leśnych olbrzymów Francuz Laborde, ale później, za następnej królowej, Szkot Cameron czynem świadomie symbolicznym solidnie obmurował pałac i na domiar dobudował z kamienia cztery wysokie narożne wieże, nowotwór cudacznie egzotyczny w

madagaskarskiej stolicy.

Wieże do złudzenia przypominały szkocki zamek, ale w samym pałacu panował za czasów królestwa Madagaskaru rdzenny duch malgaski. Działy się tu ongiś dziwne rzeczy: magie białe i czarne, zaklinanie duchów zmarłych, wróżby mpisikidów, czary mpama-savów, jasnowidztwa ombiasów; zanoszono modły pogańskie, hymny protestantów i modlitwy katolików, a także sprawowano sądy boże i nieboże i upajano się planami magicznej obrony — a wszystko to w kłębowisku srogich intryg, spisków, zdrady. Machinacje dworskie ogarniały cały kraj i każdemu nakładały jakieś pęta, schodząc nieraz — jak wynikało z historii — do brzegów jeziora Anosy i marszcząc jego powierzchnię.

Dziś spokój, cisza, uroczyste skupienie. Pałac Królowej zamieniono na muzeum narodowe i wymieciono z niego wszelkie konszachty i gwałtowne namiętności. Po dawnych czasach pozostały tylko płowiejące stroje dworskie, ongiś dary Europy, dalej puste trony bombastyczne, rdzewiejące korony, szable i podobne regalia, tudzież wiszące na ścianach portrety Radamy I i innych władców malgaskich, takich, jak ich widzieli z daleka europejscy artyści.

Owa pompa, rodem z dziewiętnastowiecznej Europy, stroiła ongiś ciała możliwych Malgaszów i urabiała ich dusze pozorną świetnością, więc relikwie te były do dnia dzisiejszego dla narodu przedmiotem głębokiej czci i kultu. Ale czci i kultu tylko ze strony jednego narodu, centralnego, Merinów, natomiast dla innych szczepów żyjących na Madagaskarze pamiątki te pozostały całkiem obojętnym, jeśli nie wrogiem przypomnieniem dawnej, przedfrancuskiej tyranii.

Dziś ten inny, niecentralny Madagaskar dostarczył Republice prezydenta pochodzącego ze szczepu Tsimihetów, Tsirananę, który, rzecz prosta, nie wprowadził się do Pałacu Królowej. Ale rzecz znamienita, rozgospodarował się tuż obok i tylko odrobinę niżej, w barokowym pałacu Andafiavaratra, dziele, ma się rozumieć, europejskiego architekta, Anglika Poola. Był to ongiś pałac okrzykanego premiera Rainilaiarivony, męża trzech królowych, a kochanka czwartej. Ów premier, Szczwanym Lisem zwany, musiał, jak wiadomo, chytrze żonglować przez kilkadziesiąt lat między Anglią a Francją, podczas gdy dziś, w świecie większych powikłań, Tsirananie, gorliwemu szermierzowi Zachodu, wypadło już więcej, wypadło chytrze żonglować nie między dwoma, lecz trzema potęgami: Francją, amerykańską US i zachodnimi Niemcami. (Anglia wypadła z meczu.)

Ryby jeziora Anosy

Ruchliwa rue Sylvain Roux, cienista aleja dorodnych jak zwykle zakarand, wiodła częściowo tuż przy jeziorze Anosy. Wiele przechodniów tam przystawało, by utkwic oczy w wodę. Między nimi ja. Nie chodziło nam o zadumę nad przeszłością, lecz gapiliśmy się na ryby, których była tu niesamowita ilość. Przy płytkim od strony ulicy Sylvain Roux brzegu dosłownie wrzało, woda się ruszała. Były to rybki niewielkie, niby nasze karasie, ale bardzo tłuste. Skąd brała się taka ich obfitość, czym się tuczyły?

Nie wolno ich było łowić. Na widocznej dla wszystkich przechodniów tablicy widniał surowy zakaz łowienia, szczególnie ostro ujęty, i to w obydwóch językach, francuskim i malgaskim. Z ilości ryb wynikało, że Malgasz, zawsze tak łasi na najmniejsze rybki, tu — o cudo nad cudami! — sumiennie przestrzegali zakazu. Zapytani, skąd ta powściągliwość, tłumaczyli niektórzy, że ścieki z pobliskiej fabryki zatruwały ryby, ale fabryki nie widziałem, zresztą ryby cieszyły się niezłym zdrowiem i ogromnie smakowały czaplom.

Czapple miały tu Apicjuszową wyzerkę, to był dla nich nie róg, lecz całe jezioro obfitości. Widziałem tu zawsze dwadzieścia kilka lub więcej ptaków i podziwiałem ich rozwiązyły obłęd obżarstwa. One nie polowały, nie szukały, nie wysilały się, nawet nie brodziły: tylko stały nieruchomo. I to wystarczało. Jezioro obecnie, pod koniec pory suchej, miało wiele płyczn i czapple stały tam w wodzie na ćwierć stopy głębokiej, a

żywy żer sam podpływał im do nóg. Spełniały się tu dla czapli najśłodsze, najgłębsze marzenia ludzkości o pieczonych gołąbkach wpadających samych do gąbki; co więcej: czaple wystawiały na pośmiewisko rzetelną klątwę biblijną o pocie czoła i chlebie — i jeszcze więcej: dystansowały nawet te ptaszki, które nie siały, a zbierały, bo przy zbieraniu ziaren był jakiś trud, tu czaple żadnej nie miały fatygi.

Stały w wodzie ospale, lelum polelum, od niechcienia patrząc pod siebie. Raz po raz zanurzały dziób i wyciągały rybę. Zatraciły już łowiecki nerw podobnie jak lwy w afrykańskich rezerwatach, nerw niepotrzebny im nad jeziorkiem Anosy. Przeważnie wyciągały z wody cztery, pięć ryb w ciągu dwóch, trzech minut, potem, stojąc wciąż w tym samym miejscu, widocznie zasypiały. Jeśli miały sny, to na pewno śniły im się stoły z bajki, stale nakryte smakołykami. A zbudziwszy się kierowały wzrok pod siebie, gdzie ich nogi tkwiły w wodzie, i nie czekały długo na nowe rybne danie.

Niektóre po napchaniu się wołały odejść brodząc ślamazarnie do brzegu i na suchej ziemi przetrwać czas trawienia. Inne, ale nieliczne, wzbijały się niezdarnie w powietrze i odlatywały od swej spiżarni, ociężałe i odurzone.

Więc ryby w Anosy nie wydawały się zatrute i nie obawa przed chorobą odstręczała Malgaszów od łowienia ich. Kiedyś gdy patrzyłem na lukulladę dwudziestu kilku na raz czapli, strzeliła mi do głowy cudaczna myśl, że taka uczta ptaków polujących na ryby przedstawiała ciekawe widowisko, mogące przyciągnąć niejednego turystę z innych krajów. A że Republika Malgaska gorąco przejmowała się zagadnieniem turystyki i chciała przywabiać tysiące turystów, może nieustanny bankiet czapli na jeziorze Anosy miał stać się jednym z punktów w planie krajowych atrakcji i dlatego chroniono ryby?

Oczywiście tak nie było i nikt tutaj na taką myśl nie wpadł. Dopiero później sprawa jeziora Anosy zaczęła się dla mnie wyjaśniać i ukazywać we właściwym świetle. Zasięgałem języka u znajomych Malgaszów i Europejczyków i zaczęło się obijać o me uszy, że jezioro dla wielu Malgaszów było fady, to znaczy tabu, święte czyli zakazane. Ale fady były jedynie ryby, a nie czaple.

A dlaczego ryby? Wy tłumaczył mi to pewien sędziwy Francuz, zasiedziały od lat na Madagaskarze. Rozbawiony, nazywał to sprawą bardzo malgaską. Sięgała czasów sprzed wieku, kiedy panował Radama II, nieszczęsny hulaka i niedoszły reformator, i kiedy zwłoki jego przyjaciół, zamordowanych wówczas przez reakcję, wrzucano do Anosy. Otóż zwłokami karmiły się ryby żyjące w jeziorze i stąd, według rozpowszechnionych wśród malgaskiego ludu pojęć, nastąpił ciekawy proces mistyczny: dusze zamordowanych ludzi weszły w ryby.

— Gdy z biegiem lat — wyłuszczał Francuz z uśmiechem — Malgasze zaczęli przyjaźniej oceniać Radamę II i jego przyjaciół, ryby w jeziorze Anosy stawały się fady, szanowano je coraz bardziej, bo wiadomo, że jeśli potrzeba — to i ryby dziedziczą duszę z pokolenia na pokolenie. Voila, c'est tout! Chacun a son gout!...

Powodzenie malarza

Tananariwę nazywano kiedyś czerwoną stolicą, gdyż domy budowano z czerwonej cegły. Ale to się skończyło, bo awans urbanistyczny objął także fasady domów: obrzucono je białym tynkiem i miasto stało się białe. Od tej bieli jeszcze przybyło mu pogody i powiewności, ulice jakby zapromieniły się szerszym uśmiechem, zresztą nic dziwnego tam, gdzie szybko i łatwo uśmiechali się ludzie przepojeni zmysłowością.

Osobliwego uroku nadawał stolicy bezlik schodów. Miasto rozpostarło się w kilku dolinach i wspięło się na kilka wzgórz, więc pasma chyba dziesięciu tysięcy stopni łączyły wierzchołki z dolinami. Oczywiście wszędzie można było dojechać także autem nieprawdopodobnie krętymi ulicami, ale cały ten zwichrzony melanz drogowych meandrów, wijących się schodów i dziesiątków urwisk zlewał się w niesamowity obraz malowniczej płataniny.

Od końca dziewiętnastego wieku przyływała z Francji do tej egzotycznej Mekki wszelaka brać malarska, zwabiona niezwykłością kraju i soczystym brązem

mieszkańców, przyplýwała na sezon lub dwa, a pozostawała, olśniona, na lata, nieraz na całe życie.

Artysta malarz Paul Bléger, Alzatezyk, wygrał w 1936 roku jakiś konkurs plastyczny w Paryżu i otrzymał stypendium na wyjazd i kilkumiesięczny pobyt na Madagaskarze. Przyplýnął, jakiś czas wykładał w tananariwskiej szkole sztuk pięknych, a potem rozkochany, już mniej profesor niż artysta, pozostał.

Rozkochany: nie była to burzliwa miłość van Gogha. Blegger nie miał w sobie drapieżnego sępa, rozszarpującego stare bogi, ani orła, zdobywającego z pasją nowe szczyty. Ale niezawodnie był szczyto-wym, najwybitniejszym z przebywających na Madagaskarze artystów.

Niepośledni wirtuoz pędzla, znakomity akademik o ujmującej świeżości palety i o wielkiej wrażliwości na formy i kolory świata, Blegger sam w sobie wielkich dramatów nie przechodził, szaleństw nie popełniał, Modiglianin nie był. Nie cierpiał, nie szamotał się, buntów nie wszczywał — za to dokumentnie przenosił na płótno nastroje i piękno krajobrazu tudzież wdzięk nagich biustów młodych Malgaszek. Niestrudzony w swym akademickim kunszcie majster, był tak doskonałym komentatorem Madagaskaru, że miał spore wzięcie, wiele zarabiał i co rok mógł pryskać na kilka miesięcy do Europy, gdzie nieźle sprzedawał swe płótna, zwłaszcza we wzbogaconej Szwajcarii. Ale — chwileczkę! — czy na pewno sam nie cierpiał, nie szamotał się?

Gdy wkrótce po moim przyjeździe do Tananariwy poznałem malarza i zacząłem bywać w jego pracowni przy ulicy Radamy na północ od jeziora Anosy — przyciągały mnie dwie rzeczy: nastrój pracowni obwieszanej od góry do dołu obrazami oraz sam Blegger. Nastrój: oszałamiająco pachniało tu werniksem i zbiegał się na ścianach cały Madagaskar. Tłoczyły się chaty i ryżowiska Imeriny, palmy wschodniego wybrzeża, masywy skalne centrowyżu i baobaby, i kolczaste euforbie południa. Malgaszów wisiało mało, za to sownie, z nawiązką, wdzięczyły się półaktowe portrety uśmiejniętych młódek. Uśmiewały się niewinnie a kusząco. Zarówno poważniejsi koneserzy jak i lubownicy łatwych dreszczyków niezawodnie doznawali tu miłych podniet, umiał być Blegger magikiem. Panowały tu żywe umbrie, sjeny, szmaragdy, lazury i był to rzeczywiście Madagaskar, ten jaki widziało się w europejskich snach; a najczęściej przykuwały wzrok soczyste odcienie brązu dziewczęcych ciał. Znał swój fach stary akademicki mistrz barwnych uderzeń.

Blegger miał siedemdziesiąt pięć lat i zwalczał, jak mógł, starość i przygarbienie. Był wysmukły, bez tłuszczu, zdolny kilometrami wędrować pieszo po wzgórzach Imeriny i jedynie starczy głos, jakby zaschły, zdradzał podeszły wiek. Chętnie, raczej chępliwie, mówił o sobie. Rychło w dzieciństwie stracił rodziców, ale nigdy nie zaznał biedy, bo zawsze umiał zaradnie organizować sobie życie. Dlatego też nie ożenił się, ażeby nie nakładać na siebie krępujących obowiązków. Jako artysta musiał być wolny, a cóż dopiero, gdyby miał pakować się w miłosne tarapaty... Mówiąc o swej roztropności, Blegger znajdował w tym tyle zadowolenia, że na suchą twarz jego wypełzył wyraz triumfu i jak gdyby ślad okrucieństwa.

— To diabelnie inaczej niż u Gauguina! — zaśmiałem się.

Niespodzianie zaszło coś przykrego. Niefrasobliwe moje słowa wywołały dziwne wrażenie. Blegger wziął mi je jakoś za złe. On, taki układny, nie mógł powstrzymać się od ostrego na mnie spojrzenia,

— Nie rozumiem! — wymruczał zaczepnie.

Zrobiło mi się głupio. By ukryć zmieszanie, wybuchłem żartobliwie:

— Jak to? Czy Gauguin nie popełnił głupstwa żeniąc się, a potem był zmuszony zrywać więzy i uciekać od rodziny. Czy Gauguin, nieszczęsny cygan, nie tkwił ciągle po same uszy w okropnej biedzie? Czy nie pożerały go potworne namiętności, z którymi nie mógł dać sobie rady? Czy społeczeństwo nie pomiatało nim jak parszywym psem, nie tępiło go do ostatniej godziny życia?... Jakże panu, Blegger, przypadł inny, świetny los! Gauguin schodził na psy, bo nikt nie chciał jego płócien, pańskie — kupują jak chleb,

jak złoto...

Słyszając moją tyradę, wpatrywał się we mnie wnikliwie, jak gdyby podejrzewał mnie o kpinę. Ale chyba nie kpilem.

— Nikt nie chciał jego płócien — powtórzył moje słowa jakoś zgrzytliwie — za życia! Ale po śmierci? Po śmierci?!...

Coś dziwnego z Bleggerem: niemal się zachłysnął z cudaczego podziwienia. Cóż on miał do Gauguina?

— Za to pana, monsieur Blegger — niezrażony ciągnąłem myśl do końca — pana uznano już teraz, za życia, zdobył pan respekt ogólny...

— Respekt! Respekt!... — powtórzył znowu jak przedtem. — Ależ tak, zyskałem respekt, dorobiłem się szacunku i powodzenia, i biletów lotniczych do Europy... I czego jeszcze!... Czego jeszcze!...

Ów siedemdziesięcioletni malarz, najlepszy w obecnej chwili na Madagaskarze, usatkwiony starzec o zachrypniętym co prawda głosie ale postawnej wciąż figurze, artysta o niepoślednim powodzeniu materialnym, więc wybraniec fortuny — miał oto jakiś haczyk. Podczas naszej rozmowy coś wytrąciło go z równowagi. Przypadkowe napomknienie o Gauguinie? Blegger był rozdrażniony, ale na kogo, na co? Na siebie? Na Gauguina?

Tak, na Gauguina. I na siebie.

W następnych dniach spotykaliśmy się codziennie, to w jego pachnącej pracowni, to w „Brasserie des Arcades” przy ulicy, która wabiła nas swymi przechodniami. Błóger, nie ukrywający swych materialnych osiągnięć, przycichał, gdy zbliżał się do pewnych zagadkowych rewirów swego życia. Jątrzyła się w nim jakaś rana, starał się ją ukryć za wszelką cenę, ale nie potrafił. Przeciekała do naszych rozmów.

Zacząłem go rozumieć. Blegger miał kompleks Gauguina. Jego młodzieńcze porywy przypadły na okres, kiedy we Francji i gdzie indziej na świecie odkrywano fenomen dawno zmarłego na Markizach Gauguina. Ów czciciel wzbudzonych barw i tropikalnego słońca nie omieszkał zapalić wyobraźni także i młodego Alzatzczyka. Bleggerowi zapewne zamajaczyły wtedy wzorem Gauguina wzloty nowych natchnień, zabłysły twórcze burze, przywidziały się odkrywcze rebelie. Ale tylko zamajaczyły, zabłysły mglisto. Blegger był innego pokroju niż tamten, nie miał jego dzikich skrzydeł, chociaż miał talent. Zabrakło mu awanturniczości, nie umiał przebić się do zwycięskich rejonów sztuki, nie dosłyszał w sobie buntowniczego huraganu. Pozostał tylko akademikiem, co prawda zdolnym, ale jednym z wielu.

Blegger widocznie uświadamiał sobie swe braki i to cieniem kładło się na jego życiu. Gdy wygrał konkurs z nagrodą wyjazdu na Madagaskar, zaświtała mu nadzieja. Pod niebem Madagaskaru, bardzo podobnym do nieba Tahiti, malarz spodziewał się tropikalnych olśnień i zbliżenia się do geniuszu Gauguina.

I w istocie Czerwona Wyspa stała się dla niego rewelacją, był to raj malarski. Przybysz zaczął odkrywać w sobie nowe struny, jakże przypominające zmagania Gauguina. Nawet zewnętrzne warunki upodabniały się do tego, co było przed pół wiekiem na Tahiti: bieda, zwłaszcza w pierwszych latach drugiej wojny światowej, zaczęła nieźle dokuczać Bleggerowi.

Ale potem przybyły wojska brytyjskie i wniosły ożywienie, szczególnie gdy z końcem wojny Brytyjczycy odpływali z wyspy: oficerowie, łasi pamiątek, skwapliwie kupowali miłe obrazy Bleggera i nastąpiła dla niego dobra passa. „Umiałem zaradnie organizować sobie życie” — przypominały mi się jego słowa. Dobra passa przetrwała także nieszczęsny rok zamieszek, 1947, i nieprzerwanie umacniała się do dnia dzisiejszego. Z biegiem czasu rozślawiło się imię malarza i kto po latach wracał do Francji, a pragnął zabrać ze sobą jakiś wartościowszy przedmiot, zabierał płótno Bleggera.

Płótna Bleggera: poprawne w rysunku, ponętne w kolorach, nieźle oddawały — powatrzam — czerwień ziemi Imeriny, ciężar chmur burzowych nad Pałacem Królowej, namiętą zieleń palmy rawenaly, ciepły brąz dziewczęcych ciał. Był w nich cały bogaty nastrój Madagaskaru, ale — nie było duszy artysty. Artysta pozostał na zewnątrz, nie wpręgnał się.

Był wysoce uzdolnionym pośrednikiem, mistrzem akademickich dzieł. Było to wiele, ale i mało, i Bleger miał świadomość swej niemocy. Przy całym materialnym powodzeniu nurtowało go uczucie rozczarowania. Chciał być nowym Gauguinem, ale życie mu tego nie dało, a Madagaskar go zawiódł; nie wykrzesał w nim tego, o czym za młodu marzył. Jeszcze jeden zawód, jaki sprawiła Europejczykowi uroczą wyspą, wyniesiona pod niebiosa przez dziarskiego Marka Pola.

Więc Paul Bleger nosił w sobie cichą tragedię. I nikt nie domyślałby się jej u wziętego malarza, gdyby nie opaczna uwaga o innym Paulu, tym tahitiańskim, rzucona nie w porę przez papłę przybyłego z Polski. Niemal słyhać było bolesny syk malarza, podobny do tego, gdy mokry palec dotknie gorącego żelazka.

Będzie pan bliżej Gauguina!

Bleger skarżył się, że mu coraz trudniej o modelki, a przecież dziewczęce pólakty stanowiły jego główny atut wobec kupujących entuzjastów. Dawniej, gdy był krwistszy, młode Małgaszki tłoczyły się do artysty niemal za darmo albo za drobne cadeau, teraz i za grubą forszę niezbyt do niego się kwapiły: starość nie była radością, a hożym młódkom samo pozowanie, bez romantycznych przybudówek, wydawało się pracą zbyt nieciekawą i uciążliwą. Bleger próbował wielu przemyślnych sposobów. Przyciągał odporne ślicznoty miłym uśmiechem, kusił podarkami, głosił piękne słowa o wzniosłości sztuki, rozpalał ambicje, zawsze dobywając oczywiście argumentu głównego: szeleszczącego — ale wszystko było raczej do luftu, bo żniwo kiepskie. Więc malarz zamieniał się w chytrusa i wypracowywał skomplikowane procedury. Ażeby modelki przywabiać, podkradał się do sprawy jak myśliwy do płochy zwierzyny i szastał, szastał hojnymi zaliczkami.

Kiedyś wpadłszy do jego pracowni zdumiałem się, bo zastałem modelkę. Była młodziutka, chyba jeszcze nie siedemnastoletnia, i ładna. Bleger posadził ją na krześle w środku pracowni, w pełni ubraną, tak jak przysła. Udawał, że ją maluje, majstrując przy rozpoczętym dawniej portrecie innej Małgaszki — i to była jego taktyka: niespieszną łagodnością chciał nową modelkę przyzwyczaić do siebie.

Ażeby nie psuć szyków gospodarzowi, skromnie siadłem z boku, mało co się odzywałem i tylko z rzadka, dyskretnie, rzucałem przelotne spojrzenie na dziewczynę. Była uderzająco ładna i czuła się dobrze w pracowni. Przyjemny uśmiech nie schodził z jej owalnej twarzyczki. Piękne oczy patrzyły na świat z niewinną słodyczą, ową znamienne dla wielu Małgasek słodyczą, w której odbijała się jak gdyby głęboka dobroć całej ludzkości. Ciekawy rys urody, który od wieków podbijał wszystkich przybyszów na wyspie. Bleger jak rzadko kto umiał doskonale przenieść na płótno właśnie ów słodki wdzięk tutejszych kobiet i to się ogromnie podobało. W tym chyba tkwiła jedna z przyczyn jego materialnego powodzenia.

Były to pierwsze odwiedziny dziewczyny i Bleger nie chciał ich przedłużać. Po dziesięciu minutach zakończył seans, podziękował modelce i wręczył jej pięćdziesiąt franków. Za niedługie posiedzenie cadeau aż nazbyt sute. Wszakże osóbcie było to za mało, po-trzęsła główką i przestała się uśmiechać, przykro zdziwiona. Bleger, nawykły do takich targów, zawahał się, ale zależało mu na modelce i nie tracąc humoru, dorzucił jej jeszcze pięćdziesiątkę. Jednak i to nie starczyło i młoda uparciucha żywo protestując, domagała się więcej. Tego było mu za wiele. Serdecznym głosem, ale stanowczo powiedział jej: nie.

Jeszcze nie skończył zdania, gdy nagle stało się z dzierlatką coś strasznego, piorun złości w nią strzelił. Osłupiałem, tak gwałtownie zmieniła się jej twarz. Piękne rysy, przed chwilą anielsko słodkie, pełne dobroci, zniemacka wykrzywiły się nie do poznania: to już upiór, odrażający w swej brzydocie, pienił się z wściekłości. Tak nagły przeskok z jednego w drugie, ze wzniosłej szlachetności w koszmar, nie tyle przerażał, ile wprawiał w zdumienie, więcej: rozbawiał, więcej: przejmował podziwem. Imponowała taka pasja u tak młodziutkiej Małgaszki i imponowały fantastyczne

możliwości mimiki ślicznej buzi.

Wybuch wściekłości małego diablątka nie poszedł na marne i Bleger, zwyciężony, dołożył dziewczuszcze jeszcze całe sto franków: oliwa na burzliwe morze. Modelka zaraz się uspokoiła i po kilkunastu sekundach przyszła całkowicie do siebie. Z jej twarzy znikł demon i buzia wróciła znów do poprzedniej urody: była czarująca, rozmarzona, rozanielona wszechludzką dobrocią. To była rzeczywiście ładna Malgaszka.

Patrzałem na to wszystko z osłupieniem i nie posiadałem się z zachwytu.

— Ależ to imponujące! — wołałem do Blegera. — To imponujące!

Malarz po wybuleniu dwustu franków był mniej skory do uniesień:

— Imponujące? Cóż takiego!

— Cóż? — śmiałem się. — Diabelne uniesienie tej dziewczyny! Jej boska zdolność do tak żywiołowej pasji!...

Malarz wzruszył lekceważąco ramionami:

— Nie widzę w tym nic imponującego, wybaczy pan! Wściekła się cizia i nic więcej!

Wpadł mi do głowy wariacki pomysł, półzartobliwy.

— Bleger! — krzyknąłem. — To nie żarty: błagam pana, proszę namalować ją w tej boskiej pasji!

Nie podzielał mego nastroju, nie rozgrzał się do boskości, nie wszedł w mój ton.

— I co dalej? Co z tego będzie? — spytał sceptycznie.

— Będzie pan bliżej Gauguina! — huknąłem wyzywająco.

Stropił się, na chwilę umilkł. Potem nieco zmienionym głosem, bardziej starczym i skrzypliwym niż zazwyczaj, rzekł:

— Za to dalej byłbym od nabywców moich obrazów!... Takiego obrazu nie sprzedalbym!...

Uśmiechał się, lecz nie był to pogodny uśmiech.

Obgadując Merinów

Dużym, uderzającym talentem Malgaszów, a szczególnie Merinów, było i pozostało krasomówstwo. Każdy z nich, urodzony orator, przepadał za potoczystością własnych słów niczym niejeden mąż stanu naszych czasów. Merinowie, łebski i najdzielniejszy z ludów malgaskich, do początków dziewiętnastego wieku wcale nie znali pisma i dlatego musieli rozwinąć niezwykle dar mówienia, by przekonywać innych. Dziś ów naród, żądny oświaty, umie pisać, ale stara miłość do gadania nie zardzewiała ku szkodzie wielu innych rzeczy.

Bystry umysłem, owszem, ale o bystrości fatalnie wąskiej, jednostronnej : na przykład nie posiadał nic a nic zmysłu artystycznego. Merinowie wyszli wszakże z wysp indonezyjskich, owej plennej kolebki ludzi lubiących ozdabiać wszystko, co ich otaczało, ale widocznie przepłynięcie przez ocean wyjałowiło do szczytu ich twórczą wyobraźnię. Pozostała w nich pustka, nie umieli tworzyć dzieł wizualnej sztuki ani sztuką wzbogacać swego życia.

W dziewiętnastym wieku, w okresie politycznego urastania spadały im skąpo na wyspę, jakieś przypadkowe okruchy, raczej nędzne, wylapywane od byle kogo i byle skąd. Dlatego widziało się tu Pałac Królowej w stylu obcym duchowi kraju albo z zakłopotaniem spoglądało się na pretensjonalny grób premiera Rainiharo, nałożnika królowej Ranavalony I. Nad tym grobem męczył się w połowie XIX wieku inny luby tej królowej, Francuz Jean Laborde, by przez osiem lat zmajstrować olbrzymi, płaski czworokąt z kamieni, zdobionych na nutę cudacznej bajki niby wschodniej. Pokutowały na tym grobie ni to Indie, ni Syjam, ni Jawa, nawet Egipt jakiś zwietrzały, i niestety tak samo na niby rozwijała się cała ubożuchna kultura i osobowość Malgaszów.

Misjonarze londyńscy w XIX wieku uczyli Malgaszów budować brzydkie, acz funkcjonalne domy z cegły, natomiast Francuzi w utworzonej w Tananariwie szkole sztuk pięknych wprowadzali ich w arkana rzeźby i malarstwa, szczególnie akwareli.

Pojętni uczniowie wybornie naśladowali nauczycieli, ale niestety na tym stanęło: Merinowie nie rozwinęli własnego wyrazu, nie stworzyli rodzimej sztuki.

Przed laty, w czasie pierwszego mego pobytu na wyspie sfotografowałem Kintanę, trzymającą w ręku drewnianą rzeźbę krokodyla, który chwycił wołu za pysk. Kubek w kubek takie same rzeźby, w jednakowej, nie zmienionej od lat pozie, krokodyla i wołu, po dziś dzień sprzedawali wciąż jeszcze domokrażni artyści i stare Malgaszki na ulicach Tananariwy, narzucając się bywalcom w „Brasserie des Arcades”. Smętne zasklepienie panowało także w innych tematach.

Malgaszki na ulicach Tananariwy, narzucając się bywalcom przysłów, przeważnie bajecznie zmyślonych i dowcipnych — nie zrodzili eposu ani powieści. Natomiast poezję, co łączyło się z ich krasomówstwem, mieli bujną od niepamiętnych czasów. Była to liryka; przeważała oczywiście liryka erotyczna, skłaniająca się wręcz ku erotomanii.

Taką też poezja malgaska głównie pozostała do ostatnich czasów, kiedy pod silnym wpływem prądów z Francji tutejsza twórczość poetycka przechodziła lata urodzaju i rozkwitu. Ale rzecz znamienna — malgascy poeci najlepiej i najchętniej wypowiadali się w języku francuskim. Tylko po francusku pisał wybitnie utalentowany Jean Joseph Rabearivelo, duma Malgaszów i nie mniej Francuzów, misterny rzeźbiarz słowa, poeta smutku, zapatrzony w Baudelaire'a. W 1937 roku popełnił samobójstwo. Spośród plejady późniejszych poetów wyróżniali się Jacques Rabemananjara i Flavien Ranaivo, obydwaj „humaniści francusko-malgascy”, piszący nie tylko po francusku, lecz coś niecoś i w rodzimym języku. Będąc wciąż jeszcze w sile wieku, oczywiście żyli (choć Rabemananjara władze kolonialne w 1947 skazały na śmierć, lecz wyroku nie wykonały), ale obydwaj chyba powiesili poezję na kołku, przynajmniej na razie: Republika Malgaska zaprzęgała ich do ponoć ważniejszej pracy w rządzie.

Zawsze mnie zdumiewał i z lekka gorszył, przed wojną mniej, obecnie więcej, brak teatru w Tananariwie i w ogóle na Madagaskarze. Merinowie mieli przecież swe tańce mpilalao z przyśpiewkami, zresztą popisy okrutnie nieporadne, lubili występować i błyszczeć publicznie, przepadali za szumnym słowem, za górnołotną frazą, a teatru ani właściwych aktorów nie mieli. Znowu zaskakująca pustka. Francuzi nawet zbudowali im dawno przed wojną gmach teatralny i w dodatku powołali do życia jakieś amatorskie koła sceniczne, ale sprawa nie przyjęła się, niedomagala już w załączku, szczyła. I do dziś tak pozostało. Do dziś stolica ambitnego państwa i politycznie wysoko sięgających Merinów, „ośrodek gospodarczy i kulturalny kraju” (Lech Ratajski: *Afryka*), stolica, która przekroczyła już chyba trzysta tysięcy mieszkańców, a w rejonie Oceanu Indyjskiego chciała odegrać ważną rolę polityczną — nie zdobyła się na teatr. Miała kilka kin (które założyć pomógł nasz rodak, Kazimierz Drótkowski) i to wszystko co do widowisk tego rodzaju.

Pewnej niedzieli rano podczas przechadzki za miastem ujrzałem w kierunku północno-wschodnim kilkanaście potężnych gmachów w budowie. Powstawała imponująca, ultranowoczesna dzielnica: był to uniwersytet, budowany przez Francję dla Mai-gaszów i innych francuskojęzycznych studentów z kontynentu] afrykańskiego. Dawniej Francja dla zdobycia obcych krajów wysyłała swych generałów i admirałów z działami, dziś podbijała je budowaniem uniwersytetów, przysyłaniem profesorów i elementarzy, swą kulturą, a także i swą Brigitte Bardotką.

Merinowie: w XIX wieku dwór malgaski małpował — przykro użyć tego słusznego słowa — dwory europejskie i stwarzał operetkową fikcję potęgi; w pierwszej połowie XX wieku rząd kolonialny morzył Malgaszów złądą cywilizacji i głodowymi okruszynami kultury. Czy druga połowa XX wieku przyniesie im wreszcie pełne wyzwolenie, nasyci ich ogromną żądzą oświaty, pozowoli im się wyprostować i wejść twórczo w grono innych narodów?

Zoma, zdumiewające targowisko

Można psioczyć na Merinów za to i owo, ale nie można przejść obojętnie obok ich

zomy, „piątku”, czyli cotygodniowego targowiska w Tananariwie. Wszyscy cudzoziemcy przybywający na wyspę zgodnie podkreślali, że było to coś nadzwyczajnego, o czym już nigdy się nie zapominało. Olive M. Chapman przysięgała, że to jedno z największych na świecie targowisk, a zdaniem dra H. Poissona co tydzień obcy przybysz doznawał tu olśnień i zachwyków.

Jeśli to przesada, to chyba nieduża. Na zomę ściągało do mal-gaskiej stolicy z całej Imeriny pewnie dwadzieścia kilka tysięcy Malgaszów i dnia tego stutysięczne fale przelewały się po ulicach śródmieścia. W dobie olimpiad o mistrzostwa świata i rozpetanych tłumów z imionami Euzebia i Pelego na ustach taka ilość oczywiście nie czyniła wrażenia, ale kilka tysięcy wieśniaków, handlarzy i rzemieślników, wszystkich zwalających się z barwnymi towarami na ulice malgaskiej stolicy — to nie bagatela. Więc każdego piątku całe śródmieście Tananariwy od dworca poprzez Avenue de l'Independance aż do Placu Gallieniego, wszystkie chodniki i większość jezdni napełniały się po brzegi gęstym obozowiskiem skleconych naprędce stoisk, straganów, bud, a w tych budach, na nich, pod nimi i przede wszystkim na gołej ziemi przewalały się zaspas towarów. Towarów była taka różnaitość, że w głowie szumiało, a takie ich mnóstwo, że dla owych tysięcy przechodniów tego dnia pozostawały tylko wąskie przesmyki niby ścieżki w gęstej dżungli.

Dobry dr Poisson miał słuszność: było na co patrzeć i co podziwiać. Co Londyńscy misjonarze w drugiej połowie XIX wieku stłumili i zapaprali, pokrywając ascetyczną szarością, to wiek! dwudziesty, za czasów Francuzów, a szczególnie okres ostatnich lat, przebudził od nowa. Ożywił ludową przedsiębiorczość i artystyczne rzemiosło. Co prawda meble, które licznie rozpanoszyły się na Avenue de l'Independance w pobliżu dworca, wciąż pachniały myszką (jak do niedawna nasze straszycelka z pracowni swa-rzędzkich), ale za to wszystko, co można było wyrobić z rafii i sizalu, nabrało kapitalnego rozmachu.

Pojawiły się makaty, torby, torebki, koszyki o zuchwałych kształtach greckich wazonów i wielu podobnych kształtach, szkatułki do zagadkowych celów, kobierce i kilimy, i mnóstwo innych plecionek, a wszystko to jakieś słoneczne, ujmujące, robione ze smakiem i miłością, kuszące tysiącem wymyślnych form i tysiącem płomiennych kolorów. Co za szal kolorów! Przechodzień, przeciskający się przez ten tłok cudów i dziwactw, wnet zatracił kontakt z normalnym światem, sam jak gdyby wpadał w trans i oto miał wrażenie, że powraca do lat dziecięcych i że śni mu się bajka.

Zwalczając oszołomienie, starałem się wchłaniać urocze bogactwa na trzeźwo, z należnym podziwem. Tego dawniej, przed wojną, nie było, przynajmniej nie w takiej wybujałości. Rafia i sizal stały się różdżką, wyzwalającą wśród Merinów nowe tęgie źródła twórczości. Ale twórczości typowo cepeliowskiej, nastawionej na handel, na turystów. Z przyjemnością patrzyłem także na sprzedające baby i na chłopów, twórców tego rzemiosła. Byli to mieszkańcy z podstołecznych okolic. Merinowie: cisi, uprzejmi, łagodnie się targujący, niemal wytworni. Nie było tu brutalnej krzykliwości Bliskiego Wschodu.

Po sizalowo-rafiowych uniesieniach płynąłem dalej wśród tłoku — nigdy nie popychany! — ale widocznie wypstrykałem cały swój zapal przy koszykach, bo już słabiej chwytalem następne cuda. A kłębiły się tego okropne masy: sterty boskich owoców, kopce jarzyn, kosze jaj, stada gęsi, tysiące kapeluszy (znowu z rafii), całe bataliony garnków, zwaly importowanych tkanin i krajowych lamb, i do tego góry kwiatów, całe oszalałe kaskady kwiatów. Więc brnął ogłuszony człowiek nie tylko przez te kłęby praktycznej wystawności, ale oto wabiły go nieco dalej rzeźby z drzewa, przedstawiające ludzi, zwierzęta i ludzkie z bestiami dramaty, ale oto błyskały sagaje, dzidy z żelaza kute i młode krokodyle wypchane szczerzyły drapieżne zębki, i po szarych kątach wpraszały się magiczne talizmany i zioła tajemne i lubczyki niezawodne. I nic. Już nie działało; nie mogłem się rozgrzać; opadłem z sił: barwne koszyki z rafii zabrały mi przedtem cały mój zapas entuzjazmu.

Dopiero w drodze powrotnej do hotelu (uroczego Greka Mellisa), gdy wypadło mi iść drugą stroną ulic, ochłonałem i już znowu z ciekawością spozierałem na kupy leżących

tam towarów. Były to amerykańskie ciuchy, istna ich powódź, całe morze taniocy. Dziesiątki tysięcy łaszków zawały chodniki i jezdnie. Bogate śmietniska zachodniej półkuli wyrzucały tu swe odpadki, liche bo liche, wszakże okrutnie barwne. Była to inwazja zabawna, ale i niesamowita, bo tych gałganków wichrzyło tu się tak porywająco wiele: Nowy Targ utysiąkrotniony. Oto tragiczna plenność Ameryki, zmuszonej wypływać w świat swój nadmiar płodów, tu fatalaszkowe plewy, gdzie indziej bomby i napalmy.

Na tym malgaskim bazarze Rózyckiego panowały podobne nastroje jak tam u nas nad Wisłą przed kilkunastu laty: wielu zapaleńcom obojga płci, grzebiących lubieżnie palcami w boskich gałgankach, paliły się oczy na widok tylu bogactw zamorskiego rajy i na myśl, że żyli tam ludzie tak szczęśliwi, mający taki dobrobyt na co dzień.

Im dłużej krążyłem po zomie, tym lepiej wyczuwałem, jak mi się zdawało, istotny sens tego, co tu się działo. To nie było zwykłe targowisko, tu nie chodziło tylko o sprzedaż i kupowanie: wyraźnie odbywał tu się uroczysty obrzęd, jakieś na gigantyczną skalę spotkanie towarzyskie, na którym nie alkohol, lecz inne podniety były źródłem oszołomienia. Ludzi upajało, że uczestniczyli we wspólnym wrzeniu tak masowej uciechy. Z szarego życia na głuchej wsi śpieszyli tu ludzie na cotygodniowy festiwal, i w istocie była to jakaś zabawa tysięcy — jeszcze jedno arivo — o niezliczonych możliwościach wyżycia się.

Od niepamiętnych czasów istniał ów targowy piątek, zoma, i stał się poniekąd kulturalną koniecznością Malgaszów, po prostu narodową imprezą.

Oto przez dłuższy czas przyglądałem się starszej przekupce, przybyłej z głębi Imeriny, siedzącej teraz na zydelku w pośrodku rozłożonych dokoła niej makat, wykonanych w jej wsi. Tuż obok toczyła się rzeka przechodniów, a niejeden przystawał i pytał się czasem o cenę. Gdy kobieta po chwili pozostawała sama i nie potrzebowała się targować, twarz jej zaraz łagodniała, a oczy napełniały się dziwnym spokojem, jak gdyby rozmarzeniem. To była Malgaszka z dalekiej wsi, o wyrazie twarzy i odruchach duchowych trudnych dla mnie do odczytania, ale jedno nie ulegało wątpliwości: kobieta w chwilach zapatrzenia się na ciżbę przeżywała jakąś wyraźną rozkosz, odczuwała osobliwe szczęście. To była jej uroczystość i wydało mi się, że właśnie owa świadomość wspólnoty z tłumem była dla kobiety może równie ważną rzeczą jak sama sprzedaż makat.

..Mówiono mi, że język malgaski nie ma słowa, oznaczającego czas" — filozofował nieodrodny Amerykanin C. F. Swingle, który między pierwszą a drugą wojną światową zwiedził Madagaskar i swego wojażu wrażenia ogłosił w 1929 roku w miesięczniku „The National Geographic Magazine”. — Malgasze nie mają pojęcia czasu — prawil z odcieniem pogardy — i jeden rzut oka na targowisko zomy potwierdza prawdziwość tego. Tu tubylec po całodniowym, po wielomilowym nieraz marszu do stolicy, bezmyślnie siedzi całymi dniami przykucnięty, czekając głupowato, bez sensu na klienta, by mu sprzedać przyniesioną na targ wiązkę drewna lub kurę. A gdy zarobi kilka centów, kupuje sobie jakieś błyskotki lub inną lichotę i dumny wraca do swej wioski czując się very grand"...

O dumny, niepoprawny wujku Samie, czujący się very grand, o wnikliwy znawco innych narodów!

Oskar Altmann, wiedeńczyk na Madagaskarze

Od dobrych kilkunastu wieków Madagaskar był potężnym magnesem dla wielu żeglarzy, odprysków z innych kontynentów. Wędrowców zwabiały tu różne żądze i burze, namiętności, niedole i nadzieje — i chyba nie było w ostatnich kilkadziesiąt lat o tej wyspie solidnej książki, której autor nie zechciałby wspomnieć, że przed nim przybyli tu: Malaje, Jawańczycy, Melanezyjczycy, Hindusi, Arabowie, Afrykanie, Żydzi jemeńscy, Por-tugalczyki, Anglicy, Francuzi, Holendrzy, amerykańscy piraci, awanturniczy Polak węgierski, Chińczycy, Grecy i z pewnością jeszcze inni.

Oskar Altmann był wiedeńskim Żydem, którego przypędziły tu dziejowe tarapaty,

kiedy zanosilo się w Europie na oblęd, drugą wojnę światową. Dziwaczne było nasze spotkanie. Gdy meldowałem się w recepcji hotelu Mellisa, przechodzący Altmann usłyszawszy, jakiej narodowości jestem, osłupiał, jakby z nieba spadł, doskoczył do mnie i nagle przejęty osobliwą serdecznością, zagadnął mnie, czy znałem Marchlewskiego.

— Jakiego Marchlewskiego — spytałem zmieszany.

— Mego przyjaciela! — zaniósł się ze wzruszenia. — Niedawno umarł tu w Tananariwie... Był rodakiem pana...

— Jak mu było na imię? — zapytałem z bezsensowną rzeczowością.

— Henryk.

Altmann zmiarkował po mej twarzy, że to wszystko jakieś ni w pięć, ni w dziewięć, i sam się stropił. Tłumaczył, że był to jego bardzo dobry przyjaciel, więc pojawienie się jego rodaka tak go przejęło. Dzięki Marchlewskiemu lubił Polaków...

— Czy był pan może w Polsce? — dowiadywałem się grzecznie.

— Nie! — odparł. — Nie, nie! Nie byłem! — odzęgnywał się.

Myślałem, że nie podobał mu się nowy ustrój polityczny, ale nie miałem racji. Chodziło o bardziej zawile przyczyny.

Od lat mieszkał w hotelu „Mellisa”, więc teraz byliśmy sąsiadami i spotykali się codziennie. Stąd wynikała pewna między nami zażyłość. Pamięć owego Henryka Marchlewskiego zbliżała go do mnie, a mnie on także nie był obojętny: raczej rozmowny, pozornie wesoły, w wielu sprawach ekscentryk, dziwaczył z tą Polską, ale poza tym zaciekawiał mnie jako uderzający typ wojennego wykolejeńca. Mniejsza o jego zdolności: był kupcem, wszakże niesporym i niewiele miał w sobie z Rotszylda. Daleki był także od Einsteina, a już nic nie łączyło go z Heinem. I nie był wybrańcem losu: życie głupio go szturchało, hitlerowcy prześladowali, nawet od Francuzów mu się dostawało, ale zawsze dawał sobie radę, ustrzegł się od najgorszego i ta prymitywna zaradność biologiczna intrygowała mnie. Gdy Altmann upadał, padał jak kot na cztery łapy; gdy go strącano, chwytął się zbawczej gałęzi, tkwiącej w nim samym, i wychodził obronną ręką. Był to węzeł przeróżnych kompleksów i przedziwnych obsesji, a nad nim unosił się ustawiczny cień Ahaswerowej tragedii.

Polska jeszcze raz się przypomniała. Pewnego dnia, podczas wspólnej przechadzki po mieście, Altmann przedstawił mnie na ulicy swej rodaczce, starszej Niemce z Wiednia, która zaraz mi oznajmiła, że ma w Polsce siostrę, żyjącą w Katowicach. Była ona wdową po przedwojennym polskim pułkowniku.

— I jak jej się powodzi? — niebaczny, zapytałem odruchowo.

— Źle! — odęła się nagle wiedenka i twardo dorzuciła: — Bardzo źle! Siostra była przyzwyczajona do dobrobytu!...

Tamtej staruszce, Niemce z urodzenia, niezdolnej już do pracy, a otoczonej polskim elementem, na pewno nie działo się dobrze, więc mając za granicą siostrę względnie zamożną, czyniła, co w Polsce przyjęło się u wielu spryciarzy z podobnymi koneksjami: w listach na Madagaskar narzekała na ciężkie warunki w kraju, na ogólną biedę, na swą niedolę, prosząc szczęśliwszą siostrę o przysyłanie pomocy.

— Za jedną parę pończoch nylonowych można tam żyć przez dziesięć dni!... — oświadczyła wiedenka.

Wiadomo, że tania żywność a drogie produkty przemysłu to cecha zacofanych krajów, więc Altmann uśmiechnął się pod nosem z politowaniem i niejakim triumfem.

— Dlaczego pani nie ściągnęła biednej siostry do siebie? — zapytałem z wyrzutem.

— Ależ zapraszałam ją! — odparła żywo wiedenka. — Kilka razy pisałam do niej o tym!

— I nic?

— Nic. Nie chciała przyjechać...

— Um Gottes Willen! Więc wołała zostać w tak ciężkich warunkach, w takiej biedzie, w swej niedoli pończochowej?! — nie posiadałem się z udanego oburzenia.

— Może z nędzy oszalała? — bronił Altmann swej pozycji.

Ów kupiec wiedeński miał około czterdziestki, gdy po hitlerowskim Anschlussie

Austrii otworzyły mu się oczy na niebezpieczeństwo grożące jego życiu. Altmann zdobył się wtedy na najmędrzy krok w swym życiu: kosztem tysiąc dolarowej łapówki, zapłaconej hitlerowcom, wyjechał legalnie za granicę. Chciał zabrać ze sobą matkę, ale ostatecznie ona i on wierzyli, że hitlerowcy oszczędzą siedemdziesięcioletnią Żydówkę, więc została w Wiedniu. Obydwoje mylili się; po roku dotarła do niego wiadomość, że matka zginęła w obozie koncentracyjnym.

Tymczasem on po wydostaniu się z Austrii pojechał do Francji, ale przewidując (i jakże słusznie!), że wkroczą tu kiedyś hitlerowcy, wołał czmychnąć z Europy i tak na kilka miesięcy przed wybuchem wojny wylądował na Madagaskarze.

Odetchnął, gdyż dwanaście tysięcy kilometrów dzieliło go od zmy. Ale Altmann urodził się pod Ahaswerową gwiazdą i pechowy los okrutnie z niego zakpił. Gdy wojna wybuchła, władze kolonialne Madagaskaru internowały wszystkich Niemców i Austriaków, a między nimi i Altmanna. Nie pomogły zaklęcia jego, że on, Żyd, jest zaciekle wrogiem i ofiarą Hitlera, i że dlatego właśnie znalazł się na Madagaskarze — władze kolonialne, tępe, niewyrozumiałe i z zasady brutalne, miały w nosie jego prośby i żale.

Więc Altmann musiał dzielić los z kilkunastoma Niemcami, z których niejeden był wielbicielem Hitlera. W zatłoczeniu obozu dla internowanych obijał się o nich dniem i nocą, a że oni nie ukrywali swej niechęci do niego, czuł się jak kot wrzucony do klatki ze zgrają psów. Ale przecież on był kotem padającym na cztery łapy, więc przetrwał i te utrapienia, tylko wyszedł z nich po roku czy dwóch znękany i rozżalony, przepojony jeszcze większą niż dotychczas niechęcią do hitlerowców i wszystkiego, co ich przypominało. Niechęcią zбочoną i zagmatwaną, gdyż język niemiecki był jego ojczystym i cokolwiek myślał i czuł, myślał i czuł po niemiecku.

Altmann — powtarzam — nie był obrotnym kupcem, nie potrafił zarabiać jak należy, a zawodu konkretnego nie miał. Nieźle mu się powodziło, gdy zaraz po wojnie wyjechał na południe wyspy, nad rzekę Onilahy, i tam skupywał skóry krokodyli upolowanych przez Malgaszów. Ale po dwóch latach wyczerpał się róg gadzinowej obfitości, krokodyle wybito niemal doszczętnie, więc Alt-man wrócił do Tananariwy i wprowadził się do hotelu Greka Mellisa jako stały, żelazny mieszkaniec. Chwytał się tego i owego, mieszkał tanio, był wiecznym kawalerem, sam sobie gotował jedzenie. Zapuścił brodę i bokobrody, by być dumnym z tego, że wyglądał trochę jak małpolud: ludzki kłębek osobliwych wzlotów i osobliwych porażek, splot czupurności i skruchy, krzyku i stulania uszu.

Gdy przybyłem do Tananariwy i poznaliśmy się, zarobki układały mu się nie najgorzej, ale trudno wyobrazić sobie przewrotnie j-szą ironię losu.

W ostatnich latach Niemcy — ci zachodni z Niemieckiej Republiki Federalnej — stali się faworytami Republiki Malgaskiej, a Malgaszę nikogo wśród narodów europejskich tak nie darzyli afektem jak Niemców. Polityka NRF sypania hojnych darów zrobiła tu swoje, i w wyniku tego powstał wśród tananariwian żywy pęd do nauki języka niemieckiego. Z pomyślnej koniunktury skwapliwie skorzystał Altmann i nieźle zarabiał. Uczył niemieckiego. To była jedna z nielicznych rzeczy, jakie umiał.

Co do jego powierzchowności, to miał potwornie owłosioną nie tylko twarz, ale i resztę ciała, zwłaszcza pierś, nawet plecy. Na piersi rosła istna dżungla szpakowatej kędzierzawizny, uderzająca obfitością. Niesamowita oznaka Altmannowej męskości mogła przerazić niejednego, ale on chełpił się cudaczną ozdobą i nie ukrywał jej przed zakłopotanymi ludźmi. Później zrozumiałem, dlaczego się puszył: był to jego amulet, maskota, afirmacja osobowości. Wszakże bił go los, bili ludzie, były przypadki, ale on miał takie niezwykle na ciele włosy i czuł się męski, męzny, pokrewny lwom sierściowym.

Gdy pewnego dnia wpadłem do jego pokoju, zastałem u niego Malgaszkę, młodą mężatkę, najwidoczniej jego przyjaciółkę. Był obnażony powyżej pasa i obruszyłem się na taką nieostrożność wobec młodej niewiasty: z tą okropną włochatością na piersi wyglądał odstrasząco, niby potwór sześćdziesięcioletni.

Tak myśląc byłem śmiesznie naiwny, a mój odruch z gruntu fałszywy. Gdy zerknąłem

na Malgaskę, zdumiałem się na widok jej oczarowanego wzroku, jakim lubieżnie pochłaniała okropne włosy na piersi Altmanna. Były dla niej nieodpartą egzotyką. Rozbitkowie chwyтали się nieraz rozpaczliwych środków: Altmann miał swoje włosy. Może chlubienie się nimi było dla niego wewnętrzną koniecznością, jakąś potrzebną tarczą, obronnym wałem?

Znowu sławny motyl kometa

Brzydal Altmann był ekscentrykiem rodu ludzkiego, natomiast ekscentrykiem wśród motyli był Argema Mittrei, ale ekscentrykiem przedziwnej dorodności. Przed kilkudziesięciu laty, po jego odkryciu, ówcześni entomolodzy mieli więcej fantazji i skłonności do wzlotów poetyckich niż dzisiejsi, więc szumnie go wówczas nazywali *Actias cometes* — z szacunku dla kształtu jego skrzydeł o dwóch groteskowych ogonach-trenach, niby w komecie. I jako motyl-kometa ów saturnid doszedł sławy i pozostał sławny do dnia dzisiejszego, pomimo że przewano go Argema Mittrei.

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy przed blisko trzydziestu laty w gorącej wsi Ambinanitelo, na północno-wschodnim wybrzeżu Madagaskaru, i już na zawsze motyl skojarzył się ze szczęśliwym okresem mego pobytu w dolinie Beniowskiego. Miałem wówczas obok siebie dwoje przyjaciół, uroczą Velomody i jej siedmioletniego brata Betsihahinę. Ów zapalony zbieracz znalazł pewnego dnia na skraju lasu olbrzymi srebrny oprzęd z poczwarką. Wkrótce wykuł się z niej motyl — właśnie kometa — w dniu, kiedy inny przyjaciel, znawca legend, Manahitsara, poniósł śmierć od kuli z kolonialnego karabinu: były to brzienne dni, przetykane i szczęściem, i żalostí.

Kometa wyrósł wówczas na imponującego giganta, należał bowiem do największych na ziemi motyli. Na żółtawych skrzydłach miał czworo brązowych oczu, na każdym skrzydle po jednym, wiadomo, zwyczajem jedwabiodajnych saturnidów, a z tylnych skrzydeł wystrzeliwały owe dwa dziwaczne, niesamowicie długie ogony. Były zaskakująco nienaturalne, wprawiały w osłupienie, burzyły normy otaczającego nas świata. Nazwałem je wówczas szaleństwem przyrody, rzuceniem rękawicy prostemu rozumowi. To naprawdę był motyl obłąkany i dlatego pewnie tak fascynował tyle ludzi. Już przed wojną madagaskarski cudak stał się ważną zwierzyną, której łęgowska tropiono gorliwie na całej wyspie. Nie był pospolity, ale znajdowano go wszędzie, zarówno na centralnej wyżynie, jak w niektórych okolicach wybrzeża zachodniego i wschodniego. Natomiast dwieście kilometrów na południe od Tananariwy, w okolicy miasta Ambositra (smutnej sławy mieściny trzebień-ców), niezawodnie istniały główne ostoje komety. Tam miejscami występował tak licznie, że w sierpniu i wrześniu niejeden zagorzalec z Tananariwy, chytry na fantastykę albo na dolary, wyruszał na łowy i zbierał kometowe poczwarki lub organizował wśród ludności szukanie. Ich wielkie, uderzająco srebrne oprzędy wisiały na rnskich gałęziach krzewów tapii i nietrudno było je odkryć.

W 1937 roku, przejeżdżając przez wyżyny Ambositry, widziałem po drodze wiele zarośli tapii i miałem okrutną ochotę, by przerwać tu na kilka dni podróż i pobobrować w krzewinie. Ale majestatyczny motyl wybrał sobie podłą raczej okolicę: pejzaż tych stron wydał mi się wtedy smutny i jałowy, a ludzie — Betsileo — mało ponętni, toteż machnąłem ręką i nie wysiadłem. Nie poznałem więc wówczas ciekawego motyla i poniewczasie żalowałem tego. *Actias cometes* to nie hetka-pętka, nie przechodziło się obok niego obojętnie. Była to wyraźna osobistość, jakiś monarcha wśród owadów, dziwadło, które zaprzętało myśl i ciekawość ludzką chyba bardziej niż inne rarogi tej wyspy, lemury. Kometa nie tylko groteskowym wyglądem, ale i sposobem bycia budził zdumienie, nastrecał problemy.

Jeśli tak strzełście wybujał, to niezawodnie dlatego, że mu się ongiś, w zamierzchłych epokach, dobrze powodziło, lepiej aniżeli innym motylom. Ale dlaczego tak się stało? Dlaczego tamte zachowały skromne skrzydła, a on wyprzystojniał tak niezwykłą okazałością? Nieodgadnione wyroki przyrody. Przybrał kometa królewską postać, ale w tym nadmiernym przepychu stał się bezbronną, łatwą zdobyczą dla żarłoczności

innych. Więc znowu pytanie: dlaczego nie wytępili go wrogowie? Uchronił się szczęśliwie od zewnętrznych klęsk, ale nie ustrzegł się przed przypadkościami starych rodów rasowo przeżytych: zwyrodniał, uległ sklerozie. W tym biologicznym wyczerpaniu samiczka, choć jeszcze miała całe skrzydła, już odfrunąć nie potrafiła od poczwarki, z której wyszła, a samiec, owszem, jeszcze latał, ale jak nieporadnie, jak ociężale. Więc znowu problem: dlaczego ród komet nie wymarł, jak wymarło tyle rodów ludzkich w podobnych warunkach?

Był to urzekający motyl: na przekór prawidłom przyrody odradzał się i odradzał, i to wciąż jak cudo.

I czarował ludzi. Gdy obecnie, w drugiej połowie naszego wieku, znowu tu przybyłem, Argema Mittrei, jak go teraz wybrednie przezwano, stał u szczytu sławy i ludzie ubiegali się o niego. W sklepach z upominkami przy Avenue de l'Indépendance nęcił oko w gablotkach i kosztował słoje dolary; ale kto wracał do Europy, kupował.

Ucieszne rzeczy opowiadano o chytrłości Szwajcara Stehle. Przy rue Nicolas Mayeur miał swój przybytek, w którym przez długie lata po wojnie działały się intrygujące, podejrzane praktyki. Szwajcar był piekielnie zazdrosny o swą tajemnicę: nikogo, absolutnie nikogo nie wpuszczał do siebie całymi latami, a wiadano tylko, że hodował tam tysiące motyli komet i w Ameryce dostawał za nie krocie dolarów.

— I miał tyle tych motyli? — pytałem niedowierzająco. — Czy hodował je z jajek?

— Nie. Umiał organizować Malgaszów tam, gdzie występowały komety. Zbierali dla niego poczwarki...

W okresie mego obecnego pobytu na Madagaskarze zakład Stehlego był już poważnym, wielobranżowym przedsiębiorstwem eksportowym. Szwajcar handlował nadal także motylami, ale sekretu z tego już nie robił. Można było go odwiedzić.

Któregoś wrześniego dnia poszedłem na rue Nicolas Mayeur i przedstawiłem się sympatycznej zawiadowczyni, Francuzce, która zaprowadziła mnie do obszernej izby z poczwarkami komety. Na drążkach przecinających izbę wisiało około sześćset, a może i więcej srebrnych oprzędów. Był to istny las poczwarek, a że dokoła komet unosiła się zawsze aura cudownego dziwactwa i motyle pospolitymi na wyspie nie były, taka nagromadzona ilość poczwarek sprawiała wrażenie.

— Skąd je macie? — odezwałem się pełen podziwu.

— Z okolicy Ambositry! — objaśniła niewiasta z uśmiechem.

— A jeśli pan przyjdzie tu w połowie października, ujrzy pierwsze motyle... I wyszukamy dla pana najładniejszego...

szczęśliwie się złożyło. W październiku wróciłem do Tananari-wy z południa wyspy, więc zaraz udałem się na rue Mayeur. Były już. Tego dnia wykluło ich się kilkanaście. Uczępione wciąż kokonów, z których wyszły nad ranem, wisiały komety jak wielkie, żółte trójkąty. Były już całkiem rozwinięte i zupełnie bez ruchu, jak gdyby ogłuszone. Czyżby przerażone przyjściem na ten świat? Całkiem wyraźnie panował tu nastrój nieokreślonej świątyni: cisza, bezruch, groteskowa dorodność owadów i niesamowity las poczwarek. I śmierć, która czekała na motyle.

Najładniejszy Argema wisiał na samym przodzie, w pierwszym rzędzie oprzędów. Sfotografowałem go.

— Czy tego pan sobie życzy?

— Nie! — zachnąłem się z przestraczem na myśl, że go będą zabijali.

Weszła do izby młoda i uśmiechnięta Malgaszka ze strzykawką w ręce. Zgrabnie odrywała motyle od oprzędów i przez oszołomione głowy zastrzykiwała im do tułowia ostrą igłą kropelkę amoniaku. Nieznaczne drgnienie skrzydeł i po sekundzie, dwóch koniec.

Sam nie raz podobnie czyniłem, ale w tym wypadku nie zniosłem widoku i wołałem wymknąć się z wylęgarni. Tchórz i obłudnik: w dwa dni później wróciłem na rue Mayeur i, co prawda z niesmakiem do siebie, nabyłem motyla.

W botanicznym ogrodzie Tsimbazaza był Instytut Badań Naukowych — Institut de la Recherche Scientifique — stworzony i nadal utrzymywany przez Francję, a w tym

Instytucie w wydziale entomologicznym pracowała, między wielu innymi, para dwojga młodych, miłych Francuzów, Montsarat i jego śliczna żona. Gdy im przedstawiłem list polecający od Roberta Chatela, attache kulturalnego Ambasady Francuskiej w Warszawie, list życzliwie mnie przedstawiający — Montsaratowie powitali mnie, jak gdyby od dawna czekali na przybycie z Polski. Z miejsca powstała między nami niezwykle serdeczna zażyłość.

Żyli obydwój swym czarownym światem madagaskarskich motyli, sami oczarowani, i powierzali mi moc ciekawych wiadomości o swych łuskoskrzydłych pupilach — a były to wiadomości i rzewne, i rewelacyjne. Widocznie pojawiłem się w ich życiu w jakiejś przełomowej, ważnej dla nich chwili, kiedy potrzebowali przyjaznej duszy, by jej powierzać swe entomologiczne doświadczenia. Odegrałem rolę katalizatora ich uczuć, ale i ja z tych spotkań miałem ogromny pożytek; odzyskałem spojrzenie. Wreszcie mogłem patrzeć na Argema Mittrei znowu normalnym, ludzkim okiem, a nie poprzez śmiercionośną igłę strzykawki.

Tsirana: sny o potędze i o przebiegłości

Dzieje Madagaskaru w XIX wieku to pasmo najbardziej pasjonujących dramatów, rozegranych kiedykolwiek przez człowieka. Były tam groźne ambicje i zdrady, szaleńcze wzloty i rzezie, i intrygi na intrygi, i chyba wszystko tam burzliwiej się krzewiło niż gdzie indziej: — a głównych aktorów było trzech: królestwo Madagaskaru, Anglia i Francja.

Królestwo w pierwszym ćwierćwieczu liźnęło nieco Europy za pomocą angielskich strzelb i pastorów, w drugim nabrało krzepy i pychy i wypędziło pastorów, a w trzecim i czwartym ćwierćwieczu rozpaczliwie opędzało się zbyt zachłannym umizgom Anglii i Francji, by też ostatecznie ulec. Anglia wyzyskując napoleońską zawieruchę, zwędziła Francuzom mniejsze wyspy w pobliżu Madagaskaru, a na samym Madagaskarze zapalała afektem do Ho-wów (za pośrednictwem owych pastorów i strzelb), nieco później daremnie błagała Stwórcę o ukaranie niedobrej Ranavalony I, aż w końcu przez pół wieku wychodziła ze skóry, by nie dopuścić Francuzów do madagaskarskich włości, szyc rywalom różne buty i kopać pod nimi dołki. Francja natomiast ubrdała sobie, że od wieków posiadała święte prawo do Madagaskaru, więc złym okiem patrząc na Anglików, także wychodziła ze skóry, by nie dopuścić rywali do madagaskarskich włości, szyc im buty i kopać pod nimi dołki.

Dwór w Tananariwie intrygował na wszystkie strony i skutecznie wyślizgiwał się z objęć obydwóch konkurentów dopóty, dopóki ci nie uzgodnili między sobą swych apetytów i doszli do wilczego porozumienia: Anglia buchnęła Zanzibar, a Francji ustąpiła miejsca na Madagaskarze.

O państwie Howów pastor Freeman ostrzegwał w połowie XIX wieku Anglików, że ci Malgaszę to wcale nie dzicy i że mają pięćdziesiąt tysięcy wojsko niezłe wyćwiczone; nieco później Ida Pfeiffer, podróżniczka z Wiednia, stwierdzała pewne ślady europejskiego życia społecznego obok najdzikszych objawów barbarzyństwa; a blisko sto lat później amerykański publicysta John Gunther dość autorytatywnie zapewniał, że Madagaskar XIX wieku pod względem cywilizacyjnym, politycznym, administracyjnym wyprzedzał kontynent afrykański o cały wiek.

Przy narodzinach nowego państwa malgaskiego rok 1958 przeszedł do historii: dnia 15 października tego roku uroczyste obalono dekret zaboru kolonialnego sprzed sześćdziesięciu trzech lat; poprzedniego dnia proklamowano (oczywiście przy błogosławieństwie Francji) Republikę Malgaską; a jeszcze miesiąc wcześniej Madagaskar — z wyjątkiem Tananariwy, a więc rozszalonych Merinów — opowiedział się za współpracą i unią z Francją. Wtedy Tsirana wybił się już na dobre na czoło.

Philibert Tsirana: data urodzenia nieznana, ustanowiono ją na dzień 18 października 1910 roku. Urodził się niedaleko miejsciny Mandritsara w krainie szczepu rozgarniętych Tsimi-hetów, hodowców bydła i rolników w północnym centrum wyspy. Za młodu pastuch, do dwunastego roku życia nie umiał czytać, ale gdy kilka lat później

dostał się do szkoły w Analalava, pojętność jego nie uszła uwagi. Wysłano go do Ta-nanariwy, kształcono na skromnego belfra. Potem Tsiranana wbijał wiejskim gamoniom abecadło w swych rodzinnych stronach na północy, ale nie dał się zaszyć w głuszy: odbył w czasie wojny wyższy kurs nauczycielski i został wykładowcą w centralnej szkole im. Le Myre de Vilers w Tananariwie. Inteligentny, chłonny, ruchliwy, oczywiście z lekka lewicujący i w miarę buntowniczy, chciał iść naprzód: przykro odczuwał przywileje białych kosztem Malgaszów, a w stosunkach międzyszczepowych przywileje Me-rinów kosztem reszty Malgaszów, tych z peryferii wyspy, tak zwanych „nadbrzeżnych”. Chwycił za pióro, ostrzył je sobie na łamach lokalnych czasopism, marzył o dalekiej Francji, nie lubił bliskich Francuzów kolonialnych, a jeszcze bardziej nie lubił, z tradycyjnej niechęci, Merinów. *Zaczął* myśleć politycznymi kategoriami.

Wypadki wojenne, jak można było przewidzieć, ożywiły sny niepodległościowe na Madagaskarze, szczególnie wśród Merinów. Wkrótce po wojnie, jako wyraz tych dążeń, powstało w Tananariwie stronnictwo pod nazwą Ruchu Demokratycznego Odrodzenia Malgaskiego, we francuskim skrócie: MDRM. Zaniepokojonym władzom kolonialnym przyszedł z pomocą jak zawołany — a może w istocie zawołany? — Tsiranana, stwarzając coś w rodzaju kontr-stronnictwa, Partię Wydziedziczonych Madagaskaru, PADESM, wydziedziczonych, to znaczy wszystkich Malgaszów z wyjątkiem Merinów.

W nagrodę za sukces władze kolonialne wysłały pod koniec 1946 roku Tsirananę do Francji, do Seminarium Pedagogicznego w Montpellier, ale gdy po czterech latach wrócił on na Madagaskar z tytułem profesora, wrócił do szkoły już tylko na krótki czas. Szersze wody były mu pisane.

Podczas jego nieobecności działa się na wyspie krwawa tragedia: rok 1947. Zbrodniczo tępe władze kolonii, nie widzące ducha nowych czasów, uparły się, by trzymać tubylców za mordę więcej niż kiedykolwiek. Zamieszki, ponoć świadomie prowokowane, zamieniły się w rzeź ludności i ginęły tysiące ofiar. Malgaszowie byli w zasadzie bezbronni i nie przygotowani do akcji zbrojnej ani do obrony. Łowiono zatem winnych i niewinnych i zabijano na oślep, kogo popadło. Zabijano nie tylko Merinów, lecz jeszcze liczniej ludzi innych szczepów, na przykład górskich Ta-nalów, prostaków dalekich od wszelkiej polityki. Gdy po miesiącach ustała maniacka mordownia i zwycięskie władze kolonialne wyszumiały się ze złości, przyszedł na nie katzenjammer: nie wiedziały, co począć z politycznym zamętem na wyspie.

Wtedy Tsiranana wrócił z Francji. Wrócił bojowy, dojrzały i zasobniejszy w widnokreśli i dążenia, przejęty chęcią odegrania na wyspie wielkiej roli. Francuzi nie mieli co do niego zastrzeżeń, ale Malgaszowie? Czy on do Francuzów nie przewracał zbyt pochopnie oczami? Więc by pokazać, że nie przewracał, Tsiranana upominał się teraz publicznie w płomiennych artykułach o sprawiedliwość dla Malgaszów, ba, w utworzonym przez siebie czasopiśmie niebawem wyraźnie żądał niezależności dla Madagaskaru — czynił rzecz, za którą w 1947 albo przedtem dostałby kulę w łeb. Teraz nie dostał. Zmieniło się na świecie, nawet zacierzeni kolonizatorzy zaczęli to rozumieć. A Tsiranana, chytrus i dyplomata coraz zręczniejszy, wołał coraz głośniejszym swym piśmie „Ny Antsi-ha”: Zapraszamy Francję, by nam pomogła!

Więc gorliwy patriota i szermierz niezawisłości, a przy tym przyjaciel Francji, robił świetną karierę. W 1952 zajmował już czołowe stanowisko w zgromadzeniu prowincjonalnym w Madzun-dze, prowincji swych rodaków Tsimihetów; w cztery lata później Madagaskar wysłał go jako swego przedstawiciela do senatu francuskiego w Paryżu. W 1957 wybrano go premierem tymczasowego rządu madagaskarskiego, w 1958 prezesem Rady Rządu, a 1 maja 1959 prezydentem Republiki Malgaskiej, i już od tego czasu nic bez niego nie działo się na wyspie Malgaszów. Trawestując słowa Ludwika XIV mógł Tsiranana o sobie powiedzieć: *Le Madagascar c'est moi!*

Rzecz prosta, że PADESM, owa partia wydziedziczonych, dawno już poszedł we wstydlive zapomnienie, ale w roku 1960 trzeba było odgrzebać w pamięci dawne dzieje z roku 1947. Sprawiała to opozycja polityczna, szczególnie silna, rzecz

zrozumiała, w samej Tananariwie.

W roku 1947 na czele wyzwolenczego Ruchu Demokratycznego Odrodzenia Malgaskiego stało trzech wybitnych Malgaszów, Ra-voahangy, Raseta i Rabemananjara, bohaterów narodowych, z których dwóch zostało skazanych w 1948 roku przez trybunał kolonialny na śmierć, trzeci na dożywotnie więzienie. Lecz wobec burzliwych protestów w Paryżu, zwłaszcza kół lewicowych, zamieniono karę śmierci i dożywotniego więzienia na karę wygnania do Francji. I oto minęło już trzysta lat. Madagaskar odzyskał niezależność, o co trzej skazańcy walczyli i za co zostali zasądzeni — a oni wciąż odbywali karę wygnania z dala od ojczyzny.

Więc opozycja korzystając z tej gratki, rzuciła się na Tsiranana z całą pasją, ale z tej próby sił prezydent, przy pomocy Francuzów, wyszedł obronną ręką: w lipcu 1960 roku przewyciężono na Madagaskarze i we Francji wszelkie absurdy biurokracji (i może złej woli) i anulowano przestarzałe wyroki sądowe, a trzej męczennicy-bohaterowie — dwóch lekarzy Merinów i jeden poeta ze szczepu Betsimisaraka, Rabemananjara — wrócili uroczyście do Tananariwy. Tsiranana, nadrabiając miną, poecie i jednemu z lekarzy, księciu Ravoahangy, dał stanowiska w rządzie, natomiast trzeci, dr Raseta, komunista, widocznie nie zyskał łaski u prezydenta, bo słuch o nim zaginął...

Na najwyższej w Tananariwie górze, tuż obok Pałacu Królowej, tylko nieco poniżej w stronę dzielnicy Andohalo, piętrzy się inny olbrzymi gmach, wzniesiony w drugiej połowie XIX wieku w barokowym splendorze. To pałac Andafiavaratra. Tu ongiś rezydował właściwy władca królestwa Madagaskaru, osławiony małżonek trzech kolejnych królowych, premier Rainilaiarivony, mąż wielkiej przebiegłości: przez kilkadziesiąt lat trzymał w szachu intrygujące mocarstwa europejskie.

Tu do pałacu Andafiavaratra, jedynie godnego miejsca, wprowadził się, rzecz prosta, dzisiejszy władca Madagaskaru, prezydent Philibert Tsiranana. Jakże usposobieniem on krańcowo odmienny od tamtego: tamten zarozumiały, ponury, dostoyny, zabo-bonny, od samego zarania staczający beznadziejną walkę i chyba świadomy klęski, natomiast Tsiranana silny, ruchliwy, nowoczesny, buchający śmiechem i stanowczością, świadomy zwycięstw, rubaszenie jowialny, chlubiący się swym chłopskim pochodzeniem tudzież chłopskim rozumem i już prawie nie zabobonny; raz tylko w czasie mego pobytu w Tananariwie gazety podały, że wziął udział w obrzędowym ofiarowaniu wołu przy jakiejś publicznej uroczystości na prowincji. Więc Tsiranana był w zasadzie inny, chociaż lis tak samo szczwany jak tamten z XIX wieku. Z pałacu Andafiavaratra podziwiał się, patrząc w dół, sporą część stolicy, a z innych komnat wzrok wypływał na daleki, upajająco rozległy krajobraz ryżowisk Imeriny. Ongiś chłonąc ów bezmierny widok, premier Rainilaiarivony czuł się zuchwały i wszechmocny, napawał się pychą, tu miewał sny i pomysły, układał rozpaczliwe intrygi. Tsiranana znał jego trudności i nieobce mu były jego przywary, ale nie będąc Meriną, nie chciał być ani hardy, ani zarozumiały. Jednak legendarność tamtego męża stanu urzekła go.

Więc Tsiranana, dumając z okien pałacu Andafiavaratra, był mimo wszystko z krwi i z kości, i z marzeń Malgaszem: podobnie jak jego mistrz i poprzednik z XIX wieku, Tsiranana od nowa śnił o potędze i chciał być przebiegły.

Cadeaux, cadeaux!

Pewnego poranku postanowiłem jechać taksówką do Instytutu Kartograficznego przy route Circulaire. Niedaleko hotelu Mellisa był postój taksówek, więc zagadnąłem pierwszego z brzegu taksówkarza i wyjaśniłem mu, dokąd miał mnie zawieźć. Zgodnie z rytuałem zapytałem, ile będzie kosztowało. Taksówkarz, młody Merina, nie był jeszcze kuty na cztery nogi, bo nie umiał ukryć oceniającego mnie wzroku i przez sekundę, dwie zastanawiał się, ile ma zażądać.

Znałem obowiązującą taryfę.

— Oczywiście zapłacę pięćdziesiąt franków! — oświadczyłem stanowczym głosem,

rozbawiony jego namyślaniami się.

— Dobrze! — zaraz się zgodził. — Siadaj pan!

Rozmowę naszą słyszał sąsiedni taksówkarz, także Merina, i przyskoczył do nas, jeszcze zanim wsiadłem do samochodu.

— Ja zawiozę pana za sto franków! — zawołał do mnie ochoczo z miną, jak gdyby polecał mi coś korzystnego, jakiś pomyślniejszy dla mnie interes.

Jego samochód był taki sam jak ów pierwszy.

— To mam porzucić tę taksówkę za pięćdziesiąt franków? — spytałem drwiąco.

— Tak, panie! Ja pojedę za sto franków! — wpraszał się z przejęciem.

— Za sto franków!? — nie dowierzałem uszom.

— Tak jest, za sto franków! — zapewniał natarczywie.

Przyglądałem mu się. On nie kpil ze mnie, był całkiem poważny, był obraźliwie poważny: uważał mnie za skończonego durnia.

— Tu est fou! Zwariowałaś! — fuknąłem rozgniewany i wsiadłem do pięćdziesięciofrankowej taksówki.

To nie był wariat. Uważał — jak niebawem sobie uprzytomniłem — że ja, Europejczyk, powinienem zapłacić sto franków, bo płacenie to przecież obowiązek białych vazahów, rzucanie pieniędzmi to jakaś wymyślna ich przyjemność, mistyczny nakaz: muszą płacić, bo inaczej nie mogą.

Nałóg wyciągania ręki po dar, po jałmużnę w przeróżnej formie wszedł u wielu Malgaszów w tak powszechny zwyczaj, że przybysz z za morza był gotów upatrywać w tym znamiennej cechy wyspy. Na jego widok w malgaskich mózgowicach automatycznie otwierała się komórka naiwnej łapczywości. W pierwszych dniach pobytu raziała obcego taka nachalność, ale wkrótce przybysz przyzwyczajał się do tego, że był on (a raczej jego kieszeń) tropioną nieustannie zwierzyną.

Tsara, co po prostu znaczyło ładna, dziewczuszka, przygodnie poznana przy zakupach na zomie, kilka razy wpraszała się do mnie.

Nic nas nie łączyło, ani sentymenty, ani rozmowy. Ale przychodziła do mego pokoju, otwarcie świdrowała na wsze strony pożądlivym wzrokiem, węszyła po kątach i w puszkach i nigdy nie mogła odejść bez cadeau. Była filuterna, śmieszna i szatańsko łąsa. Miła szelma do żadnej wdzięczności się nie poczuwając, żądała cadeau, a ja spełniałem mój obowiązek dawania, dopóki trzpiota nie przegoniłem.

Gdy w dawnych czasach ktoś zbliżał się do królowej, musiał zawsze jej ofiarować hasinę, jakkolwiek dar wiernopoddańczy, a gdy królowa czy królowna dopuszczała gościa do swego łoża, cadeau, chociażby nikłe, było jego kawalersko-kurtuazyjnym obowiązkiem. Oczywiście takie cadeau nie oznaczało wulgarnej zapłaty: gość tylko jej kobiecości składał hołd i dokumentował, że sam doznał przyjemności i łaski.

Francuzi od dawna znali malgaską chrapkę na podarki i niewątpliwie jeden z nich, Le Myre de Vilers, spowodował, że w umysłowości Malgaszów przyjął się zwyczaj kojarzenia białego człowieka z szastaniem pieniędzmi.

Ówże Le Myre de Vilers przybył do Tananariwy w roku 1886 jako oficjalny przedstawiciel protektoratu Francji nad Madagaskarem. Chcąc pozyskać sobie ludność stolicy, zaraz po przybyciu zaczął publicznie, na ulicach, sypać gawiedzi na prawo i lewo piastrami, setkami piastrów. Zamierzał — jak się wtedy wyraził — zapalić wyobraźnię Malgaszów i podnieść prestiż Francji. Chyba jakoś dopiął swego, ale rozpalona wyobraźnia Malgaszów przegalopowała się i splątała Francuzom psikusą. Tubylcy doszli do przekonania, że Francuzi łatwo wytwarzali pieniądze, że mieli ich za wiele, tyle ile piasku w morzu, i zatem mogli nimi ciskać dokoła siebie, i nawet musieli ciskać, by się pozbyć nadmiaru — i tak powstał na Madagaskarze jeden z mitów dokoła vazahów.

Przełomowe lata czterdzieste naszego wieku — druga wojna światowa, trzyletnia okupacja Brytyjczyków, krwawe zajęcia 1947 roku — mitu bynajmniej nie umniejszyły. Następny okres stopniowego wypłatywania się Madagaskaru z więzów kolonialnych i obdarzania Malgaszów niezależnością — bez żadnych niemal ofiar i wysiłków ze strony Malgaszów — tylko potęgował w szerokich masach mętną wiarę, że biały człowiek był na to, by dawał, a Mal-gasz, żeby brał.

Przypominam sobie klasyczny przykład młodego żebraka, który nagabywał towarzystwo Francuzów, siedzących obok mnie w kawiarni pod arkadami przy Avenue de l'Independance. Dwaj Francuzi i jedna Francuzka żywo tam ze sobą rozprawiali. Żebrak był około trzydziestoletnim, zdrowo wyglądającym mężczyzną, nieźle ubranym, ale z małym dzieckiem na plecach — atrapą rażąco sztuczną: zazwyczaj mężczyźni Malgasze nie nosili dzieci, to była sprawa kobiet. Żebrak przerywając bezceremonialnie rozmowę Francuzów, zwrócił się do Francuzki o jałmużnę. Gdy ta, zdumiona, zwlekała ze spełnieniem jego życzenia, natręt szybko stał się arogancki. W potoku słów władając nieźle po francusku, już nie prosił, lecz domagał się wsparcia. Opanowany, żądał datku hardo i bezczelnie jak czegoś, co mu się słusznie należało. Naprzykrzał się długo, ale Francuzi nic nie dali. Żebrak przegrał, bo był zbyt impertynencki i do tego naiwny: dziecko na jego plecach budziło zastrzeżenia. A poza tym był to piąty czy szósty żebrak w ciągu ostatniej godziny.

W tananariwskiej Bibliotheque Nationale natknąłem się na książkę sympatycznego Szwajcara, Edmonda Pidoux, napisaną w wyniku niedawnej podróży na Madagaskar, a wydaną w 1962 w Lozannie pod tytułem *Madagascar, maitre d son bord!* Autor zjeździł wyspę jako scenarzysta i członek szwajcarskiej ekipy filmowej i był także na południu Madagaskaru. Perypetie, jakich doznał u Antandrojów, pogrążyły mnie w melancholijnej zadumie.

Na południu wyspy filmowcy napotykali wyjątkowo brutalną chciwość na grosz. Szczep Antandrojów słynął do niedawna z malowniczych tańców i wesołego usposobienia. Liczne zespoły tancerzy i bębniaków wędrowały po drogach kolczastego kraju i w półpustynne rozłogi wносиły radosny ruch i rozśpiewane poryki. Tancerze byli nadzy, dzicy, szczęśliwi i dumni ze swego szczęścia. Gdy w 1938 roku przez pewien czas mieszkalem w schronisku w Amboasary, przeciągające grupy antandrojskich tancerzy chętnie zatrzymywały się w pobliżu mej gite d'etape, tańczyły, pozwalały się fotografować i rade z niewielkiego cadeau, jakie im dawałem, wędrowały dalej.

W sąsiednim osiedlu Ambovombe kilkudziesięciu młodych tancerzy urządziło mi w owym czasie wielkie widowisko, wszyscy byli szczęśliwi, że mogli się wytańczyć przed obcym gościem, a otrzymana za to skromna zapłata, chętnie przyjęta, była raczej dodatkiem do ogólnej uciechy, bagatelą nieistotną. Dziewczyny nie chciały być gorsze niż chłopcy i równie ochoczo się uwijały, a już największy raj miały dzieci. Cały szczep wyżywał się w tańcu. Przy głębokich studniach, z których Ambovombe słynęło (Ambo-vombe — Piękne Studnie), podziwiała się długonogich Antandrojów czerpiących wodę i można było fotografować kształtne dziewczyny — bez odszkodowania.

Po dwudziestu dwóch latach jaka smutna zmiana, jaka łapczywość na pieniądź! W tym samym Ambovombe żyli ci sami Antan-droje (tylko dzieci moich znajomych sprzed wojny), ale nie było już uniesień ani tańców. Szwajcarskich filmowców witały tu ponure miny i tępe spojrzenia. Z książki Edmonda Pidoux dowiadywałem się o kłopotach, jakie filmowcy mieli z obecną ludnością Pięknych Studzien. Nie tylko dawny zapał do tańca gdzieś przepadł, ale trudno było zebrać grupę tancerzy. Gdy ich wreszcie zgromadzono, Antandroje nie umieli tańczyć, była to karykatura, nieporadność, ale mimo to żądali za swą fatygę tak horrendalnej ceny, że między nimi a Szwajcarami wynikły awantury. Także długonodzy młodzieńcy, czerpiący wodę ze studni zupełnie tak samo jak przed laty, chcieli forsy za każde zdjęcie, a do kształtnych dziewczyn, ongiś tak skorych do uśmiechu, należało przybliżyć się nie inaczej jak tylko z szeleszczącym glejtem w ręce.

A w Tulearze, mieście na południowo-wschodnim wybrzeżu Madagaskaru, doszło już po prostu do groteski. W tym porcie żyli rybacy Vezo ze szczepu Sakalawów, którzy codziennie rano wypływali na morze na połów ryb. Szwajcarzy zaczęli ich filmować po wyruszeniu z portu, ale ponieważ poprzednio nie zapłacili za to rybakom, ci, rozeźleni, woleli odstąpić od połowów i na złość Vazahom natychmiast zawrócili do portu. Tego dnia nie było ryb w całym Tulearze.

Spełniające się sny Tsiranany

Współpraca prezydenta Tsiranany z Francją — jak już wspomniałem — i jego przyjazna więź z Francuzami sięgała 1946 roku, kiedy francuskie władze kolonialne ułatwiły ruchliwemu nauczycielowi ze szczepu Tsimihetów utworzenie Partii Wydziedziczonych Madagaskaru. Ów PADESM, jak partię nazywano w skrócie, miał szachować centralnych Merinów i osłabiać ich zakusy narodowyzwolencze i chyba w jakiejś mierze spełnił zadanie: był klinem, wbitym między szczepy Madagaskaru. Francuzi z powodzeniem wygrywali chłopską roztropność i energię Tsiranany przeciw potędze, jaką stanowiła niemała warstwa oświeconych Merinów, namiętne antyfrancuskich, choć kształconych na uniwersytetach Francji.

Tsiranana miał wyjątkowe szczęście: w czasie krwawych zająć roku 1947 był nieobecny, przebywał we Francji, więc nikomu się nie naraził. Gdy wrócił na wyspę, żadna ze stron nie żywiła do niego specjalnego żalu, ani władze kolonii, ani Malgasze. Przeciwnie, w rozpanoszonym wówczas na Madagaskarze galimatiasie francuski gubernator generalny zwrócił na niego życzliwe oko, pełne nadziei, i Tsiranana tych nadziei nie zawiódł. Tak zaczęła się jego polityczna kariera, wiodąca do najwyższej godności, jaką Republika Malgaska mogła kogoś obdarzyć: do godności prezydenta.

Tsiranana, zręczny polityk, wygadany mówca, rubaszny dowcipniś dawał sobie radę z opozycją, bynajmniej nie uśpioną i nieźle trzymał w rękę nici łączące go ze wszystkimi szczepami wyspy. Nici, produit de France. Francja, jak gdyby chcąc naprawić dawne zaniedbania, niosła teraz Madagaskarowi czynną pomoc, budowała mu ministerstwa, łożyła na rozwój gospodarczy, a szczególnie zależało jej na zacieśnianiu węzłów kulturalnych: wspaniała uniwersytet, wznoszony w Tananariwie, zapowiadał się jako prężne ogniwo kultury francuskiej, przeznaczone dla wszystkich ludów franko-języcznych w Afryce.

Tsiranana, niezawodny Malgasz, okazał się przy tym niezrównanym mistrzem wyciągania z francuskiej kieszeni zapomóg, pożyczek i podobnego grosiwa. Francji nie szczędził słów uznania i przysięgał jej wieczny sentyment. Solange Thierry, wytrawna dziennikarka, w książce wydanej w 1961 roku po swej podróży na Madagaskarze tęgo Tsirananą chwaliła również i za to, że z taką wdzięcznością umiał Francji mówić: Merci.

Ale diabeł nie spał. Tsiranana dostał palec, a chciał ręki, chciał jeszcze więcej. Szybko rosły jego apetyty i ambicje. Z okien pałacu Andafiavaratra, z których zesłowieczny premier Rainilairivo-ny roił malgaskie sny o wielkości, teraz tak samo i prezydent Madagaskaru puszczał wodze rojeniom, z okien pałacu urzekały go już nie tylko ryżowiska Imeriny, ale i zuchwalsze widoki, dalej sięgał myślami: na Ocean Indyjski, na Filipiny i Wyspy Hawajskie, do Waszyngtonów i nad Reny. Były pastuszek miał czujne uszy i coraz lepiej słyszał, co na świecie w kularach piszczało, kto był tam głodny i mocny, a kto głodny i słabszy, a komu się przewracało w głowie. Także i w pałacu Andafiavaratra przewracało się w głowie, ale przewracało w sposób malgaski: Madagaskar okrutnie potrzebował pieniędzy, a jego prezydent sławy.

W sześćdziesiątych latach dwudziestego wieku, w świecie pozornie tak racjonalnym, powstawała rzecz śmieszna i paradoksalna, a przejmująca: odrodzenie mitu o Madagaskarze, o jego doniosłości. Niepoprawny czarownik Oceanu Indyjskiego przebudził się i znowu nęcił dalekich ludzi jak ongiś, za czasów bajdurzeń Marka Pola. Dziś oczywiście już nie oczekiwano tu wielbłądów ani lwów, ani cudownych gajów cynamonu i imbiru; nie spodziewano się rajy, ongiś tak zachwalanego na „najbogatszej i najowocniejszej wyspie świata”, ani nie marzono o glorii, za którą musiało ginąć pod koniec XIX wieku kilka tysięcy żołnierzy francuskich — ale jednak stary wyga czarodziej zaczął znowu uwodzić. W ciągu wieków uparcie dobijali tu się, haratając sobie łby, Portugalczycy, Holendrzy, Anglicy i Francuzi — teraz przyszła kolej na Amerykanów i Niemców: także oni nie oparli się i w końcu zapłonęli gorąco do bałamuta.

Czego maniacy tu szukali!

No cóż, nastąpiła koniunktura na trzeci świat. Wśród nowych władców nowych państw Tsiranana wybijał się na pierwsze miejsce ambicją i przedsiębiorczością. Na przykładzie premiera Raini-Iaiarivony sprzed blisko wieku uczył się zawilego kunsztu lawirowania i wyważania jednych przeciw drugim. USA wdzierają się dość bezceremonialnie na podwórka francuskich wpływów w różnych częściach świata, wchodząc Francji w paradę, więc czemu im, Malgaszom, nie uśmiechać się do Amerykanów? Czemu nie korzystać z pomocy bogatej Ameryki? Francja Francją, a przecież Tsiranana czuł się wielce zaszczycony, gdy go w lecie 1964 roku prezydent Johnson zaprosił do siebie do Waszyngtonu. Johnson traktując go jak równego sobie, podniósł znaczenie Malgasza na świecie i poza tym zapewnił mu dolarową pomoc.

Odtąd Tsiranana, coraz bardziej antykomunistyczny, stawał się coraz gorliwszym zwolennikiem polityki amerykańskiej na świecie, a szczególnie w Afryce i Azji. Po prostu wyrósł na strażnika Wuja Sama w rejonie Oceanu Indyjskiego. Waszyngton, by pochlebiać jego miłości własnej, a światu wciąż uprzytamniać wagę swego pupila, zaszczycał go zapraszaniem na konferencje swego obozu, to do Manili, to do Honolulu; a we wrześniu 1965 prezydent Johnson sprawił Tsirananie wyjątkową przyjemność: swym osobistym boeingiem przysłał do Tananariwy amerykańskich bohaterów dnia, astronautów Coopera i Conrada, by przekazali prezydentowi Republiki Malgaskiej serdeczne pozdrowienia prezydenta USA. Wszystko pod boki Francuzów.

Jeszcze gorliwiej wchodzili na Madagaskar Niemcy z Niemieckiej Republiki Federalnej.

NRF sypała szczerą ręką markami na prawo i lewo, stawiała gmachy, budowała drogi i wznosiła szkoły, instalowała urządzenia, nawet kanonierki śliczne i hukliwe prezentowała Malgaszom, a ci — pomni lekcji przeszłości, a zgodnie z narodowym zwyczajem — wyciągali skorą rękę do wszystkich trzech rywali: do starego, tradycyjnego patrona francuskiego i do dwóch podrywaczy. Fakt pozostanie faktem, że ambasada NRF rzucała tu darami jak z rogu obfitości i że Niemcy zjednali tu sobie największą popularność: uchodzili za najsympatyczniejszy naród europejski.

Ale skarbów nie było. Madagaskar, niepoprawny czarodziej, od wieków mydlący ludziom oczy, nie przestał czarować i w drugiej połowie dwudziestego wieku. Okrutny bajarz Marko Polo urzekająco zawrócił światu w głowie bogactwami wyspy — i to wciąż trwało.

Madagaskar był piękny i rozśpiewany zielenią na wybrzeżach, natomiast potężny, ponury i szary w głębi kraju. Wysepka na jego północno-zachodnim wybrzeżu, Nosi-Be, l'Ile Parfumees, uchodziła za tutejsze Tahiti i ziemski raj: zgoda. Ale już droga z Madzungi do Tananariwy wiodła przez jałowizny i pustkowia Tampoketsy i podobna pustka ziała dalej na południu Madagaskaru.

Czterystokilometrowa droga z Tananariwy na południe do Fianarantsoy co prawda przecinała miłe dla oka ryżowe doliny centralnego masywu. Tu mieszkało w pewnym zagęszczeniu najwięcej ludzi na Madagaskarze, Merinów i Betsileo, i kilkanaście ożywionych miasteczek rozkładało się przy gościńcu. Ich ryżowiska były głównym spichrzem wyspy, ale gdy z drogi spojrzeć nieco dalej w bok, poza pas uprawnych pól — kłapa: tam wszędzie bezludne wertepy, nieurodzajne wzgórza, dzikie skały; tam nieprzyjazna szarość na dziesiątki, miejscami na setki kilometrów.

Jeszcze nieurodzajniej wyglądał krajobraz dalej na południu od Fianarantsoy. Wnet kończyły się ryżowiska, ludzkie siedziby były coraz rzadsze, nastawały stepy przetykane tu i ówdzie cherlawymi drzewami. Potem, w krainie hodowców Bara, także i drzewa zanikały, tylko wszędzie dokoła pozostawało wzburzenie ziemi: potężne bloki gnejsowe, do tysiąca metrów wzbijające się ponad płaszczyznę, nadawały tym stronom posępnego majestatu. Niemiecki pisarz i miłośnik motyli, Fryderyk Schnack, przejeżdżając przez te pustelnie był wstrząśnięty: pustynna ziemia — pisał — jątrzyła tu się od ran, jakby dotknięta trądem.

Nie tylko mało było tu ludzi, ale nie widziało się ptaków, brakowało ssaków: rozciągała się nieprzyjazna martwota, okropna tym, że taka bez końca. Autobus walił całymi godzinami na południe, a letarg krainy trwał i trwał. Nędzna trawa i rzadki, opu-

szczyony szalas ludzki, przycupnięty do ziemi, jeden na kilka czy kilkanaście kilometrów, tylko potęgowały wrażenie bezludzia. Mimo woli podróżny sięgał osłupiałą myślą do tych tysięcy opętańców, tragicznych marzycieli, od kilku wieków spodziewających się tu bogactw i tyle razy zawiedzionych. Czego wariaci tu szukali, co ich tu wabiło?

Skarby? Każda encyklopedia czy statystyka pouczała, że Madagaskar był krajem biednym, o nikłych zasobach mineralnych, a pod względem rolniczym słabo rozwiniętym. Zaledwie dwa procent powierzchni, pięćdziesiąta część wyspy była pod uprawą i więcej żyznych gruntów nie dało się wyskubać, bo reszta to były jałowe lateryty, stepowe pastwiska i pasy puszczy mało wykorzystanej. Na tych dwóch procentach ornych ziem panowało ogromne przeludnienie, natomiast pustka olbrzymich stepów powodowała, że tysiące kilometrów kwadratowych pozostawały prawie bezludne.

Owe dwa procent powierzchni, to jest trochę ponad milion dwieście tysięcy hektarów, musiało nie tylko wyżywić sześć milionów ludności, ale ponadto wyprodukować płody dla całego niemal eksportu. Wywożono przede wszystkim kawę (około 30% wartości całego eksportu), następnie wanilię, ryż, cukier, sizal, tytoń, banany — przeważnie produkty plantacji, będących najczęściej własnością nie-Malgaszów. Eksport wynosił w 1960 r. 73 miliony dolarów, niezwykle mało na przykład w porównaniu z sąsiednią wyspą Reunion, o powierzchni 240 razy mniejszej, o ludności 19 razy mniej licznej, a przecież o eksporcie sięgającym prawie połowy eksportu Madagaskaru.

Fakty z drugiej połowy XX wieku: trzy piąte Malgaszów pozostawało wciąż jeszcze w kręgu prymitywnych wierzeń animistycznych; prawie połowa Malgaszów nie umiała pisać ani czytać, a trzy czwarte ludności cierpiało na niedokarmienie. Ryż i cukier należały tu do produktów eksportowych, ale przeciętny Malgasz — jak podawały francuskie źródła — spożywał cukru dziesięć razy mniej niż przeciętny mieszkaniec Europy, a ryżu o połowę mniej niż Indochińczycy w okresie kolonialnym.

Wobec nikłych możliwości powiększenia obszarów rolnych — jak przedstawiały się widoki przemysłu i sprawa minerałów? Słabo, bardzo słabo. Przemysł, osesek w powijkach, do dziś prawie nie istniał. Płody rolne, z wyjątkiem cukru, wciąż szły za granicę w stanie surowym; wiadomo: gospodarka kolonialna. A kopaliny? Ubóstwo Madagaskaru w tej dziedzinie dosadnie odzwierciedlała pozycja grafitu i miki, dwóch minerałów doznających od pół wieku chwały i wielkiej propagandy. Otóż w roku 1960 wywieziono grafitu o wartości zaledwie dwóch procent globalnej sumy całego eksportu, a miki o wartości półtora procent. Więc była to bagatela, mysz zrodzona z góry, a innych kopalin, kamieni półszlachetnych czy złota, dobywano w minimalnych ilościach.

„Co do węgla — pisał szumnie H. Deschamps w swej *Historii Madagaskaru*, wydanej w 1961 roku — to bogate złoża odkryto w roku 1909 w Sakoa, niedaleko rzeki Onilahy, na południu wyspy; dokładniej zbadano je w 1927 i zamierzano pod koniec drugiej wojny światowej rozpocząć eksploatację w okresie ogólnego braku węgla”. Nie rozpoczęto i tak pozostało; użytkowanie bogatych złóż w Sakoa odłożono na później. Gdy polska delegacja gospodarcza przybyła w 1965 na Madagaskar, bogate złoża w Sakoa wciąż leżały jeszcze nie ruszone. Pokazywano je delegacji z należąca pom-pą i adoracją dla ukrytych tam skarbów, licząc pewnie na olśnienie Polaków — ale zapomniano dodać, że ów węgiel miał zasadniczy feler: był zanieczyszczony siarką, a ta psia jucha niszczyła wszystkie piece. Więc eksploatację wciąż „odkładano na później”, natomiast przyczynę tego nieróbstwa skrupulatnie tajono przed światem.

Przy tak szczupłych zasobach naturalnych i przy ogólnym wśród mas ubóstwie czyż dziwić się, że Malgaszowie od pokoleń przyzwyczaili się wyciągać do obcych łasą rękę? Że dziś, kiedy zaczęli budować własną państwowość, a nie unikali przy tym rozrzutności, że szczególnie dziś musieli wyciągać rękę na wszystkie strony? Ale jak to możliwe, że Madagaskar, paradny magik, znajdował wciąż naiwnych chytrków w Europie i w USA, rojących sny o bogactwach, o doniosłych podbojach, o nimbach sławy?

Madagaskar nie był ani urodzajną Ukrainą, ani nie miał bogactw mineralnych Zambii

czy Ugandy, więc kto wkładał w niego kapitał, nie mógł liczyć na zyski. Zatem na co, do diaska, liczono?

Czyżby stary wykpisz, Madagaskar, jeszcze nie wyczerpał swych groźnych figli i rzucał kolejny czar na Europę i już nawet na Amerykę Północną?

CZEŚĆ TRZECIA

MORONDAWA: O Sakalawach Południa

Papilio antenor i Sakalawka

Po przelotnym pobycie na wschodnim wybrzeżu wyspy, gdzie wchłaniałem dziwaczne piękno drzew ravenala, zawitałem któregoś dnia do Morondawy, starego miasteczka i portu na zachodnim wybrzeżu Madagaskaru. Od morza, od Kanału Mozambickiego, szedł błogi wiatr, który w południe przeradzał się w wichurę, a przy tym słońce przyjemnie oblewało domy, palmy kokosowe i natarczywy piasek. Było to przyjazne powitanie i nie miałem żalu do miasteczka. Za nic w świecie nie nazwałbym go smutną dziurą, bo ledwo znalazłem się na głównej ulicy, gdy motyl antenor wzbił się z krzewów i ucieszył oko.

W pierwszych latach dwudziestego wieku Hauptgraf zu Papenheim, rodem z Austrii, wywoził stąd bydło na pobliski kontynent, gdzie angielscy żołnierze właśnie dopiekali Burom i tego karmili się befsztykami. Zarabiał nieźle, ale rasowy bufon miał w pogardzie wszystko i wszystkich na Madagaskarze, Francuzów, Malgaszów, Hindusów — wszystko z wyjątkiem bydła. Uwiecznił swe uczucia w książce, wydanej w Berlinie w 1906 roku, i oczywiście srodze zrabował także Morondawę: ein trauriges Nest, ein langweiliges Loch; smutne gniazdo, nudna dziura — było jego werdyktem.

Tego smutku nie doznawałem. Nie doznawałem po prostu dlatego, że już od dawna czułem do Morondawy feblik. Toż to dzięki temu portowi tutejsi Sakalawowie nabywali w XIX wieku strzelby od hinduskich handlarzy i mogli skutecznie odgryzać się Merinom. Nigdy nie popadli w niewolę. Sławny wojak Radama I, król Merinów, malgaski Napoleon, mocno się starał i kilkakrotnie napastował królestwo Menabe, ale za każdym razem obrywał guza. Anglicy hojnie wyposażali go w broń przez port w Tamatawie na wschodzie wyspy, ale tu, na zachodzie wyspy, Sakalawowie mieli swoją Morondawę.

A do tych dziewiętnastowiecznych wydarzeń doszedł teraz motyl antenor. Ujrzałem go w środku miasta, lecącego nad ulicą, gdy zaraz po ulokowaniu się w hotelu wyprysnąłem na pierwszą przechadzkę. Jeszcze nie dochodziło południe; wiatr gwałtowny dął od morza, a z tym wiatrem zmagął się motyl.

Widok antenora to zawsze radosna rzecz. Jak motyl kometa wśród nocnych gatunków, tak antenor wśród dziennych był największym na Madagaskarze lotnikiem, powietrznym rycerzem. Rozpięty na blisko piętnaście centymetrów, zawsze sprawiał w pierwszej chwili wrażenie ptaka. Ludziom, czy chcieli, czy nie chcieli, rzucał się w oczy, bo latał powoli nigdy się nie spiesząc, miękko uderzał skrzydłami jakby od niechcenia, a był niezwykle malowniczy: wesoło nakrapiany białymi cętkami na ciemnym tle, na tylnych skrzydłach przechodził w metaliczny szafir, upstrzony czerwienią, i kończył się jaskółczym ogonem. Wywodził się oczywiście ze szlachetnego klanu Papilio, a areną jego uroczych igraszek był zachód i południe Madagaskaru.

Antenor, którego zobaczyłem, był uparty. Lecił niewysoko nad główną ulicą i chciał koniecznie dostać się nad brzeg morza, więc musiał borykać się pod wiatr. Targany podmuchami w tę i tamtą stronę, to wznosił się mozolnie, to się zniżał i cofał, ale wciąż od nowa natężał siły i dążył w górę, przeciw wiatrowi. Skrzydła, same w sobie wspaniałe, miał zbyt wielkie i cienkie, zbyt słabe na tak brutalny powiew, ale motyl miał też i upór nie ładu. Nie popuszczał: mocował się z wiatrem i mocował. Ileż w tym wiotkim ciele tkwiło wytrwałości, jaka czupurna nieugiętość!

Przystanąłem na ulicy i spozierając na motyla, nie mogłem wyjść z podziwu. Antenor podsuwał cudaczne skojarzenia: przypominała mi się uporczywość łososi, każąca im

przewycięzać wodospady w ich pędzie ku źródłom rzek i życia. Łososie to mocne i gwałtowne ryby, ale jakie kapryśne powaby upatrzył sobie kruchy antenor, że tak niestrudzenie zmagał się z wiatrem? Jeszcze inna, kapryśniejsza wizja stanęła mi przed oczami: ujrzałem obraz Gauguina, przedstawiający Jakuba w walce z aniołem.

Wariackie wspomnienia wywołały moją wesołość: gdzie Gau-guin, gdzie Morondawa, gdzie łososie, gdzie motyl — i zaśmiałem się sam do siebie. Przechodziła właśnie obok mnie dziewczyna; widziała moją niezwykłą uciechę, więc i ona do mnie się uśmiechnęła. Był to serdeczny u niej odruch.

— Salama, ramatu tsara! — zaczępiłem ją ochoczo, widocznie starym nawykiem niezdolny pominąć sposobności.

Dziewczyna, wcale niezła, przystanęła i swobodnie podała mi rękę.

- Salama, monsieur! Pewnie niedawno tu przyjechałeś? — za-szczebiotała.

Mówiła do mnie „ty”, bo taki był tu zwyczaj od niepamiętnych czasów, zwyczaj równie zakorzeniony jak w naszej telewizji, gdy w filmach, tłumaczonych z angielskiego, pan do pana bezceremonialnie walił „ty”.

— Niedawno przyjechałem! — potwierdziłem z figlarnym grymasem. — Przed godziną. Była to Sakalawka, mówiąca poprawnie po francusku, a przy tym jakaś ogromnie naturalna i miła. Przyjemnie patrzyło jej z oczu.

— A jak ci się podoba Morondawa? — podjęła grzecznie.

— Bajecznie! — wybuchnąłem rozbawiony. — Bajecznie, od kiedy ciebie poznałem...

— To mnie cieszy, żeś przyjechał...

Stwierdziwszy to podała mi znowu rękę, tym razem na pożegnanie, i odeszła. Jak inne młode morondawianki, była mocno ściśnięta w pasie, ażeby uwypuklić piersi i pośladek: szczególna moda w Morondawie. Więc chciałem ją zatrzymać, jeszcze o czymś pomówić, o coś zapytać, wyznaczyć spotkanie, nic z tego; po prostu odeszła.

A gdy spojrzałem do góry, nad ulicę — drugi zawód. Znikł także mój antenor. Pewnie zniechęcił się do roli Jakuba i zawrócił w głąb łądu.

I jeszcze jedno przypomnienie: Antenor. Czy to nie był ów Trojańczyk, namawiający swych rodaków, by Grekom oddali porwaną Helenę i nie pakowali się w babskie historie i kłopoty wojenne? Więc może to nomen omen i może dobrze się stało, że młoda Sakalawka sobie poszła? Może dobrze — mówił do siebie stary obłudnik, a wiedział, że pozostanie w niewielkiej mieścinie kilka dobrych dni i że góra z górą nigdy się nie zejdzie, ale człowiek z ramatą — czasem tak...

Tak czy owak, jedno pozostało pewne: świeciło tu bardzo białe słońce i huczało blisko morze, i chłodził miły wiatr, były szeleszczące palmy i Sakalawki chętnie podające rękę. Więc rasistę sprzed sześćdziesięciu laty, pyszałka Papenheima, niech gęś kopnie za austriackie gadanie. Ein trauriges Nest?

Nienudna Morondawa

Morondawa przed rokiem 1955 liczyła blisko sześć i pół tysiąca mieszkańców, w tym aż 500 Hindusów i 450 Francuzów, więc jak na stosunki madagaskarskie była wcale niczego sobie miasteczkiem. Do portu zawijały mniejsze statki i szedł dość ożywiony eksport — można powiedzieć: kwitł — bydłem, orzeszkami ziemnymi, tytoniem, a w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej skórami krokodylowymi. W osiemnastym wieku lubiły zachodzić tu angielskie i arabskie żaglowce po niewolników i bydło, przywożąc Sakalawom strzelby. Do dziś statki pod banderą Union Jacka nie zaniechały tej tradycji, z tym tylko że już z listy ładunków skreśliły niewolników i na pewno też — oficjalnie — strzelby.

Obecnie, w wyniku przeobrażeń w Republice Malgaskiej, większość Francuzów zniknęła z Morondawy i wątpię, czy pozostało ich tu pięćdziesięciu. U władzy zastąpili ich Malgasze z centralnych prowincji, podczas gdy Hindusi wyszli tutaj bez szwanku, zachowując status quo ante. Jako właściciele sklepów nadawali wciąż ton głównej ulicy miasteczka, wyglądającej jak gdyby to był skrawek samych Indii. Poza nimi istnieli tu także Chińczycy i nieliczni Arabowie, ale ci, mniej zamożni, tonęli w nawale

hinduskiego kupiectwa. Na szarym końcu tej handlowej rzeszy gnieździły się kramy Komoryjczyków na miejskim targowisku — no i rzemieślnicza biedota, przybyła tu z różnych stron świata.

A gdzie podziwiali się Sakalawowie, gospodarze krainy? Ich tu nie było, nie należeli do wybrańców, nie zarabiali na handlu ani rzemiośle. Wypchnięci na krańce miasteczka, w kurne chaty i szałas, trudnili się rybołówstwem albo przygodną posługą albo najchętniej próżnowali, robili petrakę. Przeważna część szczepu żyła w głębi kraju, wiodła tam żywot pasterski, posiadała bydło i uprawiała trochę ziemi. Sakalawowie przybywali chętnie do miasta i kupowali fatalaszki u Hindusów za pieniądze uzyskane ze sprzedaży bydła. Byli biedni w przeciwieństwie do kupców, którzy ich obsługiwali.

W Morondawie owładnęła Sakalawami osobliwa namiętność: taksówki. Za jazdę taksówką gotowi byli oddać duszę, a Sakalawki rzecz realniejszą: cnotę. Nie było tu przemysłu ani silnego zaplecza rolniczego, nic szczególnego się nie działo, ale taksówki harowały od rana do wieczora bez przerwy, sunęły zdumiewającym strumieniem i w niezwykłej jak na taką mieścinę obfitości. Taksówek — oprócz odpowiedniej ilości autobusów — było tu chyba dwieście albo trzysta, a Sakalawowie, jak obłąkane diabły, jak opętani, taksówkami przyjeżdżali ze wsi do miasta i z miasta wyjeżdżali na wieś. Gęby mieli rozanielone, skrzydła u duszy. Oczywiście właścicielami tudzież kierowcami pojazdów byli wyłącznie Hindusi i oni zgarniali śmietanę. Brygadą taksówek cywilizacja przypuszczała na Morondawę klaksonowy szturm i upajała Sakalawów.

Miasteczko szczyciło się główną ulicą, jej jezdnia bowiem miała asfalt dla samochodów. Ale chodniki dla pieszych już tonęły w miążskim piasku, chyba że ambitny Hindus przed swym sklepem замуrował piasek cementem. Były jeszcze inne „ale”: brak kawiarni i restauracji (jadało się tylko w hotelu), absolutny brak książek, bo nikt tu takich bzdur nie sprzedawał, nawet komiksów, i także jakoś nie widziało się gazet; kino było, ale nieczynne w czasie mego pobytu. Żadnych świetlic, ośrodków towarzyskich; jeśli były kościoły czy inne świątynie, to przyczajały się z dala od handlowej ulicy. Rzekłbyś: zupełny brak rozrywki kulturalnej; ale nie, byłaby to nieprawda. Istniały przecież podniety duchowe, mocne, dosadne, nieodparte: amerykańskie ciuchy u Hindusów, szal taksówek, rozmowna uprzejmość mężczyzn, łatwość dziewczęcego uśmiechu i oczywiście wódzia pod postacią betsy-betsy czy toaki, wódzia o podobnym posłannictwie jak u nas w Garwolinie.

Co dzień rano dziwnie wiele ludzi przybywało do Morondawy brousse-autobusami, taksówkami i także pieszo. Ci piesi byli przyjemnie ożywieni, jak gdyby się cieszyli na to, co ich czekało. Nic ich nie czekało.

Przeważały kobiety, a wszystkie młodsze miały na sobie barwne sukienki, chyba łaszki amerykańskie, i ponętnie wyglądały. Jeśli Merinki z Tananariwy słynęły z urody twarzy, to Sakalawki przeważnie były przystojne, miały świetnie zbudowane ciała. Gdy przechodziły obok hotelu, w którym mieszkałem, przyjemnie było patrzeć na ich wyniosłe sylwetki, na lekki chód i czystość kolorowego przyodziewku. Były znacznie lepiej ubrane niż mężczyźni.

— Czy pana nie dziwi, że one wszystkie takie wystrojone? — z zagadkowym uśmiechem zadał mi pytanie plantator tytoniu.

Stary Francuz stał ze mną na werandzie hotelu i jak ja spoglądał na ulicę.

— Chyba zwykłą wrodzoną kokieteria płci pięknej? — odrzekłem.

— Ale czy nie widzi pan, że one mają na sobie znacznie droższe kiecki niż chłopci?

— Widzę. Ale co z tego?

— To z tego — twarz plantatora pokryła się zmarszczkami ze złośliwego zadowolenia — że w młodym wieku mają dziewczuchy tu ogromną przewagę nad łobuzami. Forsa im się sypie.

— Czyżby? Czyżby?

— Nie rozumie pan? Każda z tych córeczek Ewy wie, jaka jest najstarsza profesja świata i, parbleu, każda z nich, jeśli to ramatu niezupełnie koślawa, z bożego daru umie tu sownie korzystać. I widzi pan, jak ładnie ubrane...

Był to cynik, nierzadki w tych stronach.

Ponieważ pokrewne wypadki rzekomo seryjnie następowały w życiu jedne po drugich, w kwadrans później po cyniku-planta-torze zjawił się cynik-wij, skolopendra. Była odrażająca, jadowita, budziła grozę. Przecież nocny to zbój, ale widocznie czymś przebudzony, wypadł spod werandy hotelu na ulicę i tu wpadł w panikę. Tak samo i my, Francuz i ja, przerażiliśmy się, i także przechodzący Malgasze.

Piętnastocentymetrowa bestia była diabło ruchliwa i niesamowicie przebierała rzędami dwudziestu kilku par nóżek. Jadowite stwory, gdy wylęknione, skłaniały się (jak tyle ludzi) ku awantur-niczości. Skolopendra zgłupiała, pomieszało jej się w płaskiej łepetynie. Chciała atakować ludzi. Zaczepnie wznosiła szczękonożki zawierające jad i wygrażała nimi ludziom z jakiejś wyimaginowanej pozycji siły. Z dobrym wynikiem: ludzie się bali.

Doskoczyłem, ale podobnie jak inni, i ja byłem bezradny. Chciałem złapać skolopendrę żywcem, nie dała się. Zabić, zdeptać można ją było łatwo, rozbroić i schwytać — trudniej. Miałem tylko gołe ręce, a skolopendra zwinnie się rzucała to tu, to tam. Wreszcie przyszedł na nią rozum i furiatka wybawiła nas z ambarasu; uciekła pod werandę hotelu do kryjówki, z której przedtem wyprysła, i znikła nam z oczu.

Podniecenie ustało, ludzie się rozeszli. Na werandzie pozostaliśmy sami, cynik-plantator i ja. Ja też stałem się cynikiem i wymownie spojrzałem na towarzysza.

— Okropny hotel! — stwierdziłem. — Dziwne typy tu mieszkają!

— Kogo masz pan na myśli? — spytał wyzywająco.

— Skolopendrę oczywiście!...

Ale wciąż zapomnieć nie mogłem wątrobianego Hauptgrafa zu Pappenheima i jego „langweiliges Loch”. Nudno tu nie było.

Plantatorzy tytoniu

U wejścia do Morondawy, na samym początku głównej ulicy, stał „Grand Hotel”. Był zbudowany na długo przed drugą wojną światową przez Francuza o szerokiej wizji przyszłości — chyba zbyt szerokiej wizji — i miał kilkanaście pokoi. Dzieliły się na lepsze w przedniej części budynku i na gorsze, tańsze, mieszczące się w oficynie. Jak zwykle wybrałem tańszy pokój, ale, nie jak zwykle, właściciel hotelu tym razem nie wziął mi tego za złe: wszystkie lepsze pokoje bowiem były zajęte przez francuskich plantatorów, przybyłych tu z północy, znad rzeki Tsiribihina. Przybyli na kilkudniowy zjazd i wspólne omówienie plantatorskich bolączek.

Było ich kilkunastu, a trzech czy czterech miało ze sobą żony i nawet dzieci. Na pewno poruszali palące zagadnienia, bo gdy z przedpołudniowej narady wracali do hotelu na obiad, byli rozgrzani, gwarni i świeciły im się oczy. Przypuszczalnie władze malgaskie dawały im się we znaki i dusiły ich, a oni widocznie obradowali, jak się obronić i ratować interesy.

To byli długoletni *coloniaux*, kolonialni plantatorzy, mocno tu zasiedziali, głośni, pewni siebie, a gdy pociągnęli na werandzie przedobiedni aperitif, stali się jeszcze pewniejsi siebie. Buchali humorem i bonmotami, a częste słowa jak: tytoń, miliony, kredyty, podatki, wystrzeliwały z ich gromkich dowcipów. Wydawali się czasem zbyt szumni, tak samo jak zbyt przestronny był hotel. Chśron, właściciel hotelu, cennym gościom przystroił w pośrodku jadalnej sali obszerny, wspólny stół i nie szczędził im dobrej woli ani kwiatów. Stół, pokryty śnieżnym obrusem, przypominał dawne, kolonialne czasy i uginał się od licznych sztuczków. Dania, przeważnie pochodzenia morskiego, obfitowały w smaczne lan-gusty, krewetki, kraby, ośmiornice, i były suto zakrapiane winami na pewno nie podłymi. Czterech kelnerów, specjalnie na ten cel ściągniętych Komoryj czyków, biegało dokoła stołu jak na olimpiadzie, czyniąc za plecami biesiadników przyjemny dla gości szum.

Owi plantatorzy tytoniu, produktu wytwarzanego na eksport, byli zasobni. Wciąż jeszcze zasobni, chociaż minęły czasy ich przywilejów jako panów kolonii. Byli zażywni, niektórzy spasieni, żadnych wśród nich chudzielców.

We Francji, zanim przybyli na Madagaskar, należeli najprawdopodobniej do drobnomieszczaństwa z prowincjonalnych miasteczek. Przywileje kolonialne — czytaj: zapomogi, kredyty, zwolnienia podatkowe, a przede wszystkim śmiesznie tania, półniewolnicza robocizna tubylców — szybko pozwoliły im się dorobić, lecz umysłu nie wzbogaciły. Z ich zachowania się i z rodzaju żartów wynikało, że to wciąż jakaś kołtuneria z francuskiego zaścianka, wzbogacona i z okropnym poczuciem wyższości. Zwłaszcza te trzy czy cztery żony rozpraszały wszelkie wątpliwości. Stanowiły typ zwierzątek luksusowych, wyśniony ideał małomiasteczkowego łyka. Miały cery bielusieńkie jak lalki, były tłuściutkie, nadmiernie uszmkowane, wygalowane. Stosunkowo jeszcze młode, obfitowały w rozlane już ciała, widocznie życie spędzały w wielkopańskim bezruchu. I one, podobnie jak mężowie, uważały się za królowe tych wertepów.

Patrzałem na te kolonialne przeżytki niemal z rozczuleniem. Siedziałem obok przy stoliku pod ścianą sam jeden i całą kompanię miałem przed sobą jak na dłoni. W trakcie ucztowania dostrzegłem u nich pewne przemiany. Z początku, kiedy jeszcze działał wypity przed chwilą aperitif, byli dobrej myśli i, rozochoceni jak młode bogi, sypali żartami. Potem jedli, jedli, dary boże wpychali, nie czynili Cheronowi dyshonoru. Lecz opychając się poważnieli, tracili werwę i milkli. Kończyły się rozkosze podniebienia, więc smutnieli. Jakby to byli naraz inni ludzie, jakby nie pili wina — smutnieli. Smakowite langusty obciążały im żołądki i humor. Napływały trapiące myśli, jakiś kociokwik: może żal za tym, co było, może lęk przed tym, co będzie?

Ale w trzeciej fazie obiadu, jak we francuskich sztukach teatralnych w trzecim akcie, dobrze się kończyło, lica znowu pogodniały. Podano kawę i koniak, po czym plantatorski stół przyszedł szybko do siebie. Nie żałowano sobie koniaku i słusznie robiono. Francuzi powinni pić koniak. Więc pili i na nowo wzbierały ich głosy. Melodyjne, roześmiane, coraz tubalniejsze. Całe zachowanie się biesiadników, ich spojrzenia, serdeczne wykrzyki, ich ruchliwe twarze, wesołe słówka, były znowu ogromnie francuskie i przyjemne, coraz bardziej przypominały gwar w bistro paryskim.

Wtedy nie ich, lecz siebie samego zacząłem obserwować ze zdumieniem. Ogarnęło mnie nieoczekiwane uczucie. Byłem wyraźnie wzruszony. Plantatorzy tytoniu sami w sobie nie budzili przesadnego afektu, nie przyciągali niczym zachęcającym, ale przecież mówili po francusku. Wysławiali się tym samym dźwięcznym językiem, w jakim pisał Moliere i tylu innych, w jakim wykladał Louis Pasteur, a śpiewała pieśni Edith Piaf. Językiem dźwięcznym i nam, ludziom znad Wisły i Warty, jakże bliskim. Szczególnie nam.

Przecież istniały ważkie ogniwa tej magii przyjaznej, istniały więzy, które weszły nam w krew i w serce i nie dały już się wyrugować. Oto gdzieś przed laty była Marysieńka Janowa, oto Maria Leszczyńska szła do króla Ludwika, oto była epopeja napoleońska i była Hańska-Balzacowa i były mazurki Chopina, i największy epos polski o „Litwie, Ojczyźnie mojej”, tworzony wśród aury paryskiej, i była Skłodowska-Curie, i choćby nasz Boy-Żeleński. Jakieś rzewne przesyłanie sobie serdecznych życzeń, nieustanne obdarzanie się hojnymi darami.

Jak bardzo ludzie znad Sekwany byli nam pokrewni, szczególnie przejmująco doznałem po sobie w czasie owego obiadu. Psotny los zagnał mnie na ten sakalawski koniec świata, bym znalazł się samotny wśród malgasko-hindusko-arabsko-chińsko-komoryjskiej obcości, a oto dźwięk przyjaznego języka sprawił zabawne cuda, wywołał słoneczne wspomnienia. Salę monsieur Cherona zaludnił tylu miłymi duchami, że całkiem serce mi zmiękło: nawet nie razila już plantatorska bufonada, ba, żony także zyskały i wydały się mniej oblane kołtuńskim sadłem...

W hotelu istniała plaga mrówek, rzecz na porządku dziennym w tropikach. Krzątały się wszędzie, na stołach, na ścianach, w pokojach i także w łóżkach w nocy. Były czerwonawe i niewielkie, ale zaczepne i boleśnie kąsały.

Po obiedzie powróciwszy do swego pokoju, nieco zdębiałem na widok katastrofy, jaka

spotkała mrówki w ciągu ostatniej godziny. Kilkaset ich trupów pokrywało stół, a kilkadziesiąt właśnie konało, jeszcze trochę się ruszając. Zagadkowy pomór.

Przed obiadem piłem tu kawę z mego termosu i nieco płynu rozlało się na stole. Postawiłem termos i zszedłem do jadalni. A oto po powrocie zastałem stół w powodzi mrówczych trupów i dogorywających ciał, szczególnie gęsto usłanych dokoła termosu i rozlanej kawy. Nieżywe leżały kurczowo skręcone, jak gdyby ginęły w bólu. Całkiem żywych i zdrowych mrówek nie było już wcale na stole.

Co tu się stało? Co je przywabило w takiej ilości i dlaczego tak masowo padły trupem? Zatrucie? Kawę sam piłem przed obiadem i nic złego mi się nie stało. Deska stołu była z czystego drewna, nie malowana, więc chyba nie zatrula rozlanej kawy. A może mrówki, dorwawszy się do rarytasu, wpadły w zagadkowy szal morderczy i wygubiły się wzajemnie jakimś fluidem zabójczym, nie znanym nam ludziom? Dziwna tajemnica wisiała nad kataklizmem mrówek.

Drzwi do mego pokoju zostawiłem otwarte i zajrzał do środka mój znajomy z werandy, ów plantator-cynik. Przywołałem go, żeby obejrzał pobojuwisko mrówek.

— Olała! — zaśpiewał zdziwiony. — Ładne jatki! Zatrwały się!

— Ale czym?

— No, kawą oczywiście!

— Sam piłem tę kawę i nic mi!

— No, to Bozia je zabiła! — zaśmiał się.

Zerknąłem na niego spode łba.

— Ma pan rację! — przyznałem. — Spotkała je kara boska, na którą sobie zasłużyły...

— Kara boska?

— Nie inaczej! Każdego dobierającego się do cudzej własności czeka taka kara...

Wypowiedziałem to poważnie, patrząc znacząco na Francuza, podobnym spojrzeniem jak poprzednio na werandzie.

— To uważa pan nas za takich złodziei? — warknął, jakby czapka na nim gorzała, chociaż żartem przyjął moje słowa. — My, plantatorzy tytoniu, przynosimy grube zyski Madagaskarowi!...

— Któż by w to wątpił?! — zapewniłem go. — Nikt nie wątpi!

Widać było z jego oczu, że wpadł mu złośliwy pomysł.

— Kawa! — zawołał. — Jeśli to była tutejsza kawa, to nie dziwota, że zatrula mrówki! Malgasze plantują niemożliwą kawę!...

— To była nescafe! — zapewniłem go.

— W takim razie — zadyszał z przesadną stanowczością — pozostaje tylko jedno logiczne wytłumaczenie...

— No?...

— To były francuskie mrówki, a kawę trzyma pan, jak widzę, w angielskim termosie, więc mrówki zdechły!...

O krukach i krabach

Od hotelu Cherona do brzegu morza był kilometr z nadwyżką, ale w połowie drogi, z lewej strony, przed przechodniem otwierała się między domami Hindusów ponętna przerwa: widok na rozległe piaszczyste rozłogi. Nęciły, bo stało tam kilka namiotów sakalawskich rybaków, ludzi klanu Vezo.

Gdy do nich po raz pierwszy doczłapałem brodząc w piasku powyżej kostek, rybacy patrzeli z politowaniem na wariata zadającego sobie taki trud. Wstrętnym poborcą podatkowym nie byłem, bo wyglądałem zbyt egzotycznie (zresztą na Madagaskarze podatków nie ściągali już biali ludzie), ale jeśli ja turysta, to tym gorzej dla pomyleńca, pogardy godnego: w oczach tubylców nic tu nie było ciekawego do oglądania. Toteż gdy ja do rybaków z życzliwym bonjourem i salamą, oni odpowiadali mi mrukliwie, z urągliwą wrogością. Odwracali się, a jakaś starsza para, którą chciałem z daleka sfotografować, zaczęła histerycznie wykrzykiwać ostre sprzeciwy. Więc jak zmyty brnąłem dalej, brzegiem jakiejś rzecznej odnogi.

Stały tu w wodzie lub leżały na łodzi rybackie łódki i na jedną z nich przyleciał kruk dwubarwny, zwany przez Malgaszów goaka. Był to kruk dumny ze stroju, bo czarny z białą plamą dokoła szyi i na piersi, więc jakby z uwiązaną serwetą. W istocie był to dużej miary żarłok, ale nie tej kategorii co nasz sławny Fiszer sprzed pół wieku. Goaka sprzątał wszelkie jadalne odpadki i nieczystości w osiedlach ludzkich, za co cieszył się ogólną sympatią. Dość pospolity, należał, tak samo jak w pobliskiej Afryce, do ptaków najbardziej rzucających się w oczy. Szczególnie chętnie wałęsał się po plażach morskich, bo miał kruczy łakomiec wspólną z plantatorami Cherona cechę: lubił krewetki.

Goaka, który siadł niedaleko mnie na łodzi, dziwnie się zachowywał. Skrzeczał żałośnie, inaczej niż zwykle, i uporczywie co chwila stroszył pióra na głowie i szyi, jak gdyby mu coś dolegało. Był chory. Niech diabli brali tutejszą przyrodę: nienaturalne postępowanie kruka stanowiło nową zagadkę, obok nie wyjaśnionej śmierci mrówek.

Ów goaka był w niektórych szczepach fadi czyli święty, nietykalny, i różni ludzie różnie się do niego odnosili. Według Ray-monda Decary, uroczego znawcy obyczajów malgaskich, w szczepie Betsileo nie lubili pojawiania się kruka w chwili wymarszu w podróż: stanowiło to złą wróżbę i powodowało odroczenie podróży. A że krucze paskudy były nader pospolite w kramie Betsileo, domatorstwo weszło tam ludziom w krew; woleli w domu parcieć ciałem i duchem, niż objać się po świecie.

Merinowie, północni sąsiedzi Betsileo, przeciwnie, sprzyjali krukowi, bo dobrze wróżyły o zamierzonym wojażu. Więc Merinowie wiele podróżowali, marzyli o dalekich horyzontach, o państwie od morza do morza i z całej duszy kochali swe goaki. A kochali, bo zawdzięczali im to samo, co Rzymianie swym gęsiom na Kapitolu.

W początkach dziewiętnastego wieku ich król o niewysłowionym imieniu, Andrianampoinimerina, twórca malgaskiej wielkości, pewnego razu znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie: wiele nie brakło, a jego wrogowie ze szczepu Marovatana wdarliby się zniecka do Ambohimangi, ówczesnej stolicy Merinów. Ale skradających się napastników zdradziły niezwykłym krakaniem kruki goaki i ostrzeżeni w czas wojacy niewymawialnego króla zgotowali wrogom należyte przyjęcie.

Odtąd krukowi dobrze powodziło się u Merinów, a szczególnie na dworze królewskim. Przez pół wieku, aż do panowania Ranava-lony I, codziennie karmiono je w Ambohimanga hojnie ryżem i mięsem. Goaki ceniły sobie wysoko ludzką wdzięczność i Ambohimanga stała się ptasią Mekką: ponoć do czterystu pieczeniarzy dziennie przylatywało do bogatego stołu i na pewno panował tam radosny nastrój jak wśród rezydentów słynnej powieści Sel-my Lagerlöff.

Czy znaki, jakie mi dawał goaka swym niezrozumiałym zachowaniem się, miały tajemne znaczenie? W kraju tysiąca zabobonów i przywidzeń magicznych można było prawie tak sądzić, bo gdy ponownie odwiedziłem namioty Vezów, zastałem ich w lepszych humorach. Już się na mnie nie boczyli, a później nawet przyjaźnie witali. Byli to pogodni, dobrzy ludzie. Chętnie garnęli się do wesołych pogaduszek, ale kiepsko było z językiem. I już nie stronili od aparatu fotograficznego ani od mych chesterfieldów, natomiast z dumą pokazywali mi połowy, jakie przywozili. Ba, jeden z nich zapraszał mnie, bym koniecznie zjadł z nim ryby, jakie właśnie gotował. A pewien młodzian pragnął mnie koniecznie uszczęśliwić grą na nieznanym instrumencie muzycznym. Ów przyrząd, podobny z grubsza do harfy, lecz zbudowany na solidnej skrzyni z drzewa, wydawał miękkie, tęskne, wcale nie drewniane dźwięki.

Rybaczy pochodzili z Belo-sur-mer, miejsciny o pięćdziesiąt kilometrów na południu od Morondawy, gdzie mieli swe rodziny, a namioty zabierali zawsze na swe kilkudniowe wędrówki przybrzeżne. Wobec ich życzliwości przypomniła mi się książka Ed-monda Pidoux i nieprzyjemne perypetie jego ekipy filmowej z rybakami Vezo, żyjącymi dalej na południu, w mieście Tulear: tamci, zawzięci, nie pozwolili się filmować bez uprzedniej zapłaty. Jakże inni, serdeczniejsi, byli ci tutaj w Morondawie.

Któregoś dnia pomyślałem na tej plaży o Poznaniu. Malgaski rybak przywiózł kilkanaście wielkich krabów i już sam prosił, żebym go sfotografował razem ze zdobyczą. Kraby były oczywiście żywe i okazałe, niektóre ważyły przeszło dwa

kilogramy i miały kleszcze budzące szacunek. Palec wsadzony w te szczypce miałby się z pyszna. Więc na widok imponujących okazów przypomniałem sobie miłego przyrodnika z Poznania, Zygmunta Pniewskiego, zapaleńca krabowego, i żałowałem, że go tu nie było.

Widok potężnych kleszczy budził jeszcze inne wspomnienia. O sakalawskiej królowej Binao, która żyła w drugiej połowie XIX wieku na północno-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru, w okolicach rajskiej wyspy Nosi Be. Niewiasta zdobyła swego czasu wielki rozgłos. Była nad wyraz urodziwa, słynęła z wyjątkowo pięknej twarzy, ale także z siarczystego temperamentu i piekielnej zazdrości. W późniejszym wieku okropnie utyłła i ponoć miała chód pełen gracji młodego hipopotama (jak dr Edouard Hocąard kąśliwie pisał w 1897 roku), ale wciąż jeszcze oczy jej, usta i włosy były nieprawdopodobnie piękne.

Ognistą królową wprost ubóstwiali jej poddani i przepadali za nią tym bardziej, im więcej brykała. W swych porywach była nieobliczalna i gdy kiedyś w młodszych latach jej kochanek zdradził ją z inną ramatą, Binao nie mogła znieść zniewagi: podłą dziewczkę kazała złapać, skrępować i żywą porzucić na plaży gdzie roilo się od wielkich krabów. Skorupiaki zrobiły swoje i następnego dnia z rywalki pozostały tylko rozrzucone kości.

Po tym wybuchu zazdrości popularność i kult dla Binao jeszcze wzrosły, albowiem Małgasje uświadomili sobie, jak kochliwą, jak prawdziwie królewską była Binao.

Więc fotografując rybaka z krabem w ręce, patrzałem pełen respektu na potężne stworzenie. Wymachiwało w powietrzu kleszczami, które groźnie, choć daremnie wciąż otwierały się i zamykały szukając ofiary. Tadeusz Różewicz zrobiłby z tego niezły symbol.

Sakalawowie niezwyccięzeni, Sakalawki zwycięskie

Czarująca Solange Thierry w swej książce w roku 1961 dowcipnie scharakteryzowała Madagaskar jako: raj botanika, marzenie entomologa, eden łowcy motyli i storczyków, rozpacz konserwatora gleby, jako ziemię obiecaną (i pobożne życzenie, przypisek A. F.) dla inżyniera mineraloga, ból głowy dla antropologa, a zagadkę dla historyka.

Zagadkę, bo od początków XIX wieku Merinowie, a także pier-wotniejsi Sakalawowie, Betsileo czy Betsimisaraka — nie znali pisma, wszystko załatwiali na gębę, powierzali się pamięci, a pamięć, wiadomo, im dawniejsze ogarniała czasy, tym nieprzyzwoicie j fikała.

Wiek XIX trzymał się już w trzeźwiej szych ryzach i lepiej wiemy o tym, co się wówczas działo na Madagaskarze. Rozgrywał się przede wszystkim zacięty, stuletni konflikt między szczepem Me-rinów a szczepem Sakalawów, naturalnym porządkiem rzeczy zakończony dopiero przybyciem Francuzów. Merinowie (jak już przedtem wspomniałem) trawieni dziejową obsesją stworzenia królestwa od morza do morza, byli stroną silniejszą, więc atakowali i włązili na stepy Sakalawów, a ci tylko się odgryzali. Ale odgryzali się tak skutecznie, że Merinom pomimo przewagi udawało się utrzymać tylko w niektórych odosobnionych punktach; nigdy nie zdobyli całego kraju przeciwnika. Niedościęgli partyzanci sakalawscy doprowadzili wojnę podjazdową do takiego kunsztu, że nie starczyło kilkudziesięciu lat nieustannych wysiłków wroga, by ich ujarzmić, jak sto lat później Amerykanie nie zdołali ujarzmić Wietnamu.

Szczególnie bohatersko broniło się południowe królestwo Sakalawów, Menabe, kraina dokoła Morondawy, i tutejsi mieszkańcy, z którymi w tych dniach obcowałem, budzili we mnie odruchowe uczucia przyjaźni i podziwu. Mieli górnych, chmurnych i jurnych przodków.

Już Andrianampoinimerina chciał zacharapć Menabe i dał Mikali, królowi Sakalawów, swą bliską krewną, bodaj siostrzenicę, za żonę, a była to wyderka równie gładka jak zadziorna. Pokłóciwszy się z mężem przywołała Merinów na pomoc, a ci oczywiście ochoczo hurmem rzucili się jak wilki na Menabe. Ale niewiele im z tego przyszło. Sakalawowie zjeżyli się i zaczęli kąsać, królowej zaś wnet odechciało się

kosztownej pomocy. Chryja zakończyła się tym, że jedni i drudzy poszli sobie do domu. Wuj dostał od siostrzenicy jako odczepne wielkie stado bydła i nastał na chwilę pokój.

Następny król w Tananariwie, Radama I, ponownie wziął się, by zdobyć Menabe, i jak opętany dobijał się kilkakrotnie do jego pastwisk. Więc wpadał na czele coraz liczniejszych wojsk, wygrywał bitwy, ale przegrywał wszystkie wojny, bo Sakalawowie byli coraz mniej uchwytli, a klimat, choroby, trudności żywnościowe dziesiątkowały szeregi Merinów i zmuszały ich do niechlubnych odwrotów. Sakalawowie obrali paskudną taktykę: Radama uderzał w próżnię; wroga nigdzie nie było i wróg był wszędzie.

Tak to dumny władca Merinów poznał zjadliwości partyzantki i do tego doznał upokorzenia: król Sakalawów, Ranitra, zmęczony najściami, zgodził się oddać mu za żonę swą córkę, Rasalimę, ale Radama daremnie wypatrywał jej przybycia w Mandrivazo, co znaczy: Czekam na Moją Miłą. Dopiero następnego roku ją dostał, gdy od nowa wtargnął zbrojną ręką do Menabe i gdy doszło do zawieszenia broni.

Kulawy pokój nie oddał Merinom władzy nad krajem, jak się tego spodziewał Radama, ale zrodził całkiem inną, niespodzianą rzecz, srodze romantyczną: miłość. Na przekór wszystkim okropnościom wojny, zgliszczom, łzom, tysiącckiej śmierci: miłość. Na metaforycznej sławy błocie zrodził się kwiat. Ciemnoskóra Ra-salima stała się nie tylko najukochańszą z żon Radamy, ale i jego zaufaną powierniczką spraw państwowych i mądrą doradczynią. Przekonana o potędze Merinów, uważała opór Sakalawów za bezcelowy i samobójczy, toteż chętnie zgodziła się na rolę pośredniczki między mężem a ojcem. Wyruszyła do Menabe, by nakłonić ojca do poddania się Merinom, ale kosa trafiła na kamień: dumny Ranitra nie chciał nawet przyjąć córki i odesłał ją tam, skąd przybyła, na dwór w Tananariwie.

Czy Rasalima miała słuszość, chcąc namówić Sakalawów do uległości? Nad losem dwóch madagaskarskich szczepów skłębiały się chmury iście szekspirowskiej tragedii. Merinowie docierali do szczytu swej potęgi, wszędzie indziej odnosili zwycięstwa, wbijali się w dumę, więc opór Sakalawów rozwścieczał ich pychę do tego stopnia, że gotowi byli wytepić rogaty szczep do nogi. Wiedziała o tym Rasalima i dlatego chciała wyprosić u ojca pokój, ale wiedzieli o tym także Sakalawowie i postanowili się nie dać. Zniewagą wyrządzoną Rasalimie czuł się najbardziej dotknięty króla Radama. Nowe wojska nasłane na hardych pasterzy niemal dopięły swego i gotowały całkowitą klęskę obrońcom. Wtem jak deus ex machina przyszła śmierć Radamy. Był rok 1828. Całą przewagę Merinów w Menabe diabli wzięli i nowy zryw Sakalawów wymiółł napastników z kraju.

Jeszcze raz historia przyznała słuszość zaciekłym obrońcom, dlatego że zdecydowani byli na wszystko. Sakalawowie tych południowych stron mogli o sobie powiedzieć, że nigdy nie zostali ujarzmieni. A Merinowie wciąż próbowali, a jakże. Gdy umarł bohaterski król Ranitra, Ranavalona I, owa Okrutna, chciała wyzyskać dogodną sposobność. Nie udało się. Jej wojska znowu natrafiły w Menabe na te same co dawniej trudności i zdziesiątkowane, musiały wyrzec się podboju. Jeszcze przeszło pół wieku później Tananariwie nie odszedł apetyt i trzykrotnie w kilka lat przed upadkiem swego królestwa Merinowie podejmowali zbrojne najazdy — wszystkie daremne, uderzające w próżnię. Nawet Francuzom nie poszło łatwo okiełzać czupurnych wojaków sa-kalawskich i dopiero w 1900 roku najeźdźcy wymogli na nich drogą rokowań uznanie władz kolonialnych.

Więc Sakalawowie obronili w XIX wieku swą niezależność — tylko dwa, trzy garnizony, niby wyspy odcięte od świata, zdołali Merinowie utrzymać w Menabe — ale za to szczep Sakalawów stracił na innym polu. Wieczna partyzantka i upływ krwi, koczowniczy tryb pasterskiego życia, rozbicie na małe księstwa wzajemnie się gryzące, rosnąca żyłka do rozbójnictwa i coraz wyraźniej sze skłonności ku anarchii — wyczerpały szczep do tego stopnia, że zatracił swą dawną żywotność, odciął się od postępu, zgubił po prostu sens życia. Ponoć liczbowo nawet się cofał.

Gdy teraz przybyłem do Morondawy, zastałem Sakalawów wypchniętych na krawędzie

życia: inni, mocniejsi, zajęli ich miejsca. Jak pobratymcy na północy dokoła Madzungi, tak i ci tutaj na południu stracili wiarę w siebie. Jedni, Vezowie, szukali ukojeń na brzegach morza, inni, zaszyci w głębi kraju, biernie powierzali swój los stadom bydła. Jedni i drudzy zapatrzeni wyłącznie w przeszłość, w groby swych walecznych wodzów z bohaterskich czasów. Ci wodzowie mieli ongiś zwycięskie włócznie-sagaje i potrafili gromić wroga. Ich córki miały urodę i potrafiły podbijać obcych królów. Dzisiejszym Sakalawom odebrano ambicje i sagaje, lecz Sa-kalawkom nie potrafiiono odebrać urody. Okazała się silniejsza niż los. Dlatego przychodzące do miasta ramatu były barwne jak kwiaty i grzech, a cynik-plantator zrywał się na ich zalotność.

Ceregiele dokoła grobów

Już dawniej, przed wojną słyszałem o tych niezwykłych grobach dawnych Sakalawów. Francuzi, którzy do nich dotarli, opowiadali stłumionym głosem pieprzne historie, a przy drugim, trzecim aperitifie wyciągali ukradkiem fotografie i kazali podziwiać je podnieconym towarzyszom. Były to fotografie drewnianych rzeźb na grobach. Podobne rzeźby — ale nie pod Morondawą, lecz dalej na południu — budziły wstydlive ciągoty Angielki O. M. Chapman, podróżującej po Madagaskarze tuż przed drugą wojną światową. Ale czcigodna pani, zgorszona tym, co jej opowiadał francuski hotelarz w Ampanihy, zatrzęsła się z oburzenia i wołała nie plamić oczu bezceństwem. Rzeźby były tak drastyczne — pisała o nich — że ujęcie ich w aparacie fotograficznym okazałoby się niemożliwe.

Francuz Myriam Harry nie bał się ujrzeć grobów pod Morondawą i dostał się do nich, ale po tak sensacyjnych trudnościach, że w jego książce, wydanej w 1947 roku, czytało się o tym jak o najtrudniejszej wyprawie po złote runo:

„Tego poranku — pisał na stronie 79 swej książki *Sous le signe du taureau* — urządziłem ekspedycję tajemniczą, niemal nielegalną do świętych grobów ukrytych gdzieś w broussie. Nawet administrator kolonialny tej prowincji ich nie znał. A ponieważ wszystko, co dotyczy grobów i duchów przodków, wywołuje tu religijny lęk, nikt nie chciał nas tam zaprowadzić.

„Po wielu pertraktacjach i wysiłkach ze strony burmistrza Morondawy — sakalawski gubernator, potomek rodziny dawnych królów w Mahabo, pozwolił mi zwiedzić groby, ale pod warunkiem, że dam pieniądze na złożenie ofiary z wołu i na libację bets-betsy celem ułagodzenia przodków. I że to nie potrwa do zachodu słońca, bo duchy lul i lulube wychodzą wtedy ze swych czeluści...

„Spotkanie moje z Sakalawami odbywa się między Morondawą a Mahabo w świętym lesie, u stóp obrzędowego baobabu. Z mej strony przybywa kilku kolonialnych żołnierzy oraz howaski tłumacz, z tamtej strony sakalawski mistrz ceremonii w żółtej lambie, niby bonza buddyjski, w towarzystwie kilku wojowników i czarownika. Tenże człapie za nimi, podczas gdy jego uczeń niesie rytualny koszyk-subikę.

„Z oczu mistrza obrzędu bije dostojeństwo władcy i lekka pogarda w stosunku do mnie, a usta jego ledwo ukrywają uśmiech o niewymownie dyskretnej ironii.

„Idziemy. Żadnej ścieżki. Gęstwina, kolczaste gałęzie, rozsuwane przed nami przez żołnierzy baczących, by nie złamać żadnej gałązki i nie rozdrażnić Mów i lulube. Długo kroczymy pod ognistym niebem. Sakalawowie krążą tam, sami szukają w gąszczu, kołują. Szepcą: »Groby oddalają się, gdy vazahowie chcą je widzieć«. W pewnej chwili żółta lambda zatrzymuje mnie.

„Czarownik wyciąga z rytualnego koszyka sakralne ziarna i układa je na ziemi, następnie pali balsamiczny korzeń, po czym wokół tego wszystkiego zakreśla krąg końcem magicznej laski, ażeby powietrznym obwodem zamknąć w grobach wszystkie duże i małe duchy. Mistrz ceremonii w żółtej lambie przemawia do grobów: »O czcigodni zmarli! O, wielcy przodkowie!... Vazahowie chcą wszystko widzieć i wszystkiego dotknąć, a nic nie rozumieją! Składam Warn dary w ofierze! Przyjdźcie! «

„Potem mistrz ceremonii wskazuje mi ustami stronę, w której leżą groby, ażebym swej ciekawości zadośćuczynił. Z ust jego nie schodzi drwiący uśmieszek wyższości...

„Nagrobne rzeźby z drzewa przedstawiają mężczyzn i kobiety osobno, mężczyzn i kobiety razem, tudzież woły i ptaki. Mężczyźni i kobiety są zupełnie nadszy, oni w całej męskości donzuana, nadzwyczajnie uwypuklonej, one ofiarujące prawą ręką obfitą pierś, a lewą wskazujące czy zakrywające trójkąt swej kobiecości.

„I tak w nieskończoność na wszystkich grobach. I chociaż rzeźby są tak realistycznie dosadne, wyczuwa się, że żadna rozpusta ich nie natchnęła. Naiwnie wyrażają triumf życia nad śmiercią, śpiewają odwieczny hymn na chwałę rozrodczości, sławią twórczą jurność praojców.

„Wyciągam aparat fotograficzny, by sfotografować. »Fady, fa-dy!« wołają przerażeni Sakalawowie i pilnują, żebym schował aparat...”

Myriam Harry pisał wspomnianą książkę już po drugiej wojnie światowej i prawdopodobnie po 1945 roku odbył swą podróż do grobów pod Morondawą. A więc według jego relacji jeszcze wtedy groby te były jakąś szczególną świętością, do której z trudem białych dopuszczano, i to z mnóstwem magicznych ceregieli, i po ofiarowaniu wołu i wódki.

Ku tajemniczym grobom

— Eh bien, monsieur Cheron! — zwróciłem się do hotelarza z głupekowatym uśmiechem pozornej obojętności. — Podobno macie tu gdzieś te groby sakalawskie?...

— Są! — odparł. — I chce je pan widzieć!

— Zgadł pan!

— Łatwo zgadnąć, że chodzi o sprośne rzeźby, bo inaczej po co by pan tu przyjeżdżał?

— Słusznie! Czy trudno się do nich dostać?

— Nic łatwiejszego: taksówką. Kilometr 7 i kilometr 9 w kierunku Mahabo, przy autostradzie do Ambositra-Tananariwy...

— Ale przedtem trzeba skoczyć do Mahabo...

Mahabo, dawna stolica królestwa Menabe, było o 45 kilometrów na tej samej autostradzie.

— Po jakiego diabła tam? — spytał Cheron.

— Po pozwolenie od potomka rodziny królewskiej...

— Pierwsze słyszę! — buchnął z trywialną wesołością.

— To wołu ofiarować także nie potrzeba? — poszedłem o krok dalej w kpinie i hotelarz mi zawtórował.

Na ulicy zatrzymałem taksówkarza, oczywiście Hindusa, i zapytałem go, czy zna drogę do grobów.

— Do jakich? — zrobił minę z głupia frant. — Do hinduskich?

— Nie. Do sakalawskich.

— Ach, do sakalawskich — zachichotał cicho z obleśną poufałością. — To pewnie chodzi o te rzeźby? Owszem, znam. W połowie drogi do Mahabo...

— A bliżej? Na kilometrze 7 albo 9?

— Bliżej znam też. Pod wsią Marovoay...

Okazało się, że była tu wieś o tej samej nazwie co sławne miasteczko w zapleczu Madzungi.

Taksówkarz okazał się chętny, ugodziliśmy cenę 400 franków, ale gdy oświadczyłem, że chcę groby fotografować i taksówkarz ma mnie do nich tylko zawieźć, zostawić mnie tam samego na godzinę i następnie wrócić po mnie — on wlepił we mnie zaniepokojony wzrok. — Tego się chyba nie da zrobić! — warknął.

— Czy nie wolno fotografować? — zatrwożyłem się, a ofiarny wół stanął mi w oczach.

— Non, monsieur! Fotografować wolno... Tylko nie powinien pan zostać sam przy grobach!

— Ach, duchy! — ucieszyłem się.

Zatrzepotał ręką, że nie duchy. Po prostu bał się, że biały mógłby okraść groby lub jaki inny wyrządzić kawał i on, taksówkarz, miałby kłopoty z policją. Więc postanowił przydzielić mi towarzysza ze wsi po drodze — i ruszyliśmy.

Autostrada — cudo. I w Kanadzie nie byłaby lepsza. Dobra, francuska robota rzetelnych inżynierów, doskonałych maszyn, przedniego (nie oszukanego) asfaltu: cacko nowoczesności. Natomiast wioska Bemanonga na ósmym kilometrze tejże autostrady, przylegająca chatkami do asfaltu, ziała biedą i zacofaniem jak za króla Ranitry. Taksówkarz wywołał tu osobnika, którego nazywał Lakiu — i w trójkę sunęliśmy dalej.

Za dziewiątym kilometrem wjechaliśmy w boczną, piaszczystą drożynę, wiodącą w głąb rzadkiej broussy, i nasz renault zaczął ciężko dychać i rzezić, ale nie ustał. Tu zabrnęliśmy daleko od nowoczesnej autostrady, bo w święty las. Knieja, niezbyt gęsta i niezbyt wysoka, podobno ogromnie roiła się od duchów i na pewno było ich więcej niż drzew. Wiele kolczastych krzewów utrudniałoby przedzieranie się pieszo, natomiast wzrok sięgał tu dość daleko: teraz, pod koniec pory suchej, część zarośli była bez liści. Lakiu siedział za nami. Gdy się odwróciłem, wyglądał jak półtora nieszczęścia. Bał się. Był to Sakalawa nie stary, nie młody i miał niezłą twarz o rozumnych oczach, ale w tej chwili postawionych w słup i odrętwiałych ze strachu. Chwycił go kompleks Myriama Harry — pomyślałem sobie — i zapytałem Hindusa, czy Lakiu rzeczywiście tak się lękał duchów przodków, czy tylko udawał?

148

149

Hindus porozmawiał z Lakiu, który zbywał go mrukiwymi odpowiedziami — i potwierdził moje przypuszczenia:

— Lakiu boi się duchów, ale nie bardzo, więcej boi się...

Taksówkarz urwał, spojrzał na mnie, zawahał się.

— Czego boi się więcej? — zaintrygowało mnie.

— Pana!

Po chwili prychnąłem:

— To czego narailście mi takiego strachaję, hej!

— On się oswoi! — pocieszył Hindus.

Dróżka kręciła się w przedziwnych meandrach, taksówkarz niemożliwie kołował i wiadomo było, że bez niego sam nigdy bym tu nie trafił. Był to istny labirynt. Ale w kwadrans po opuszczeniu autostrady Hindus zatrzymał samochód i oświadczył, że tu, z boku, o sto kroków, są groby. Lakiu i ja ruszyliśmy tam pieszo, podczas gdy Hindus zakręcił i odjechał.

Gdy odgłos samochodu ucichł w dali, kazałem towarzyszowi przystanąć. Spojrzał na mnie z ukosa, podejrzliwie. Byliśmy teraz sami w świętym lesie, a dokoła nas wielka niewiadoma, może duchy — więc Lakiu miał naprawdę pietra. Ale zaraz się uspokoił, gdy spostrzegł, że chodziło mi tylko o przewieszenie mu na ramię mej torby z rolleiflexami.

Odtąd on ją nosił i odtąd stało się w nim coś ważnego: Lakiu poczuł w sobie siłę. Torba, ciężąca mu na ramieniu, nabrała mistycznej potęgi amuletu, działała jak malgaskie ody. Zapewniała mu bezpieczeństwo. Zgoda, Lakiu! Czuj się bezpieczny. A poza tym jakiś ty szczęśliwy, miły draniu! Zwyczajna torba, a ubezpieczała cię przed wszystkimi zasadzkami świata widzialnego i niewidzialnego. Żeby takie zaklęcie narodom świata mogła dać Rada Bezpieczeństwa ONZ!

Pornografia? Nie!

Groby niewiele różniły się od tych, jakie widziałem dalej na południu, gdy przed laty zwiedzałem krainę Antandrojów — i także nie różniły się od grobów w innych stronach Madagaskaru: ułożone z tysięcy niewielkich kamieni, tworzyły kwadratowe bloki, wysokie na niespełna półtora metra, o bokach kilkunastokrokowych. Gdzieś w środku, pod tą kamienną warstwą, leżały zwłoki zmarłego, któremu dokładano na wieczystą drogę broń i różne kosztowności, a często i zwłoki kilku niewolników i niewolnic uśmierconych na pogrzebie, ażeby władcy się nie nudziło tam daleko.

Tu tak samo jak na południu kilka rzeźbionych pali obramowywało boki każdego z

grobow, których było pięć czy sześć leżących w niewielkiej od siebie odległości. Pale wznosiły się na dobre półtora metra ponad grobem i tworzyły w górnej części owe słynne rzeźby, które miały ponad połowę wielkości naturalnej, gdy przedstawiały ludzi.

Były tam także rzeźbione ptaki i woły, ale pierwsze rzuty oka na grób najbliższy i następny, widoczny między krzakami, przekonały mnie, że nie dostałem się na właściwe cmentarzysko: nie było tu erotyków. Natomiast panowała pogodna melancholia, tak znamienne dla starych cmentarzy, gdzie smutek śmierci dawno się rozwiął i przepadł, a pozostały żywe drzewa, ptaki, owady i słońce. Tu już dawno śmierć wypłowiwała, burze ludzkie minęły i panowała przyjemnie kojąca cisza. Uroczyستی spokój podzielał i na mnie. Gdy pojawił się czarno-żółty motyl Papilio, wyczyniający niewinne igraszki wysoko nad pierwszym grobem, wydawał się w tym miejscu całkiem naturalnym, był jakimś koniecznym uzupełnieniem. Zresztą Malgasze zawsze kojarzyli motyle z duchami swych przodków.

Groby te istniały ponoć przeszło sto lat i czas nadgryzł drewno rzeźb, ale nie uszczuplił ich symbolicznej wyrazistości: więc umarłemu towarzyszyły w zaświaty rzeźbione woły, święte zwierzęta i bogactwo sakalawskich pasterzy, dalej ptaki, przedstawiające zapewne szlachetniejsze uczucia, i ludzie, niewątpliwie bliscy sercu zmarłego. Rzeźby, ujęte w dosadnych skrótach syntetycznych, poddawały ciała niemal abstrakcyjnej stylizacji, zwłaszcza ludzkie twarze, ale były mimo to tak lapidarnie wymowne i tak treściwe w wyrażaniu tego, co rzeźbiarz chciał pokazać, że musiał to być wielkiej klasy artysta czy artyści.

Rzeźby te Malgasze nazywali alo-alo, co znaczy: pośrednicy, jako że pośredniczyły między światem żywych a światem umarłych. Niewątpliwie była to pozostałość wielkiej tradycji artystycznej, sięgającej zamierzchłych czasów indooceanicznych. Z tych dalekich wysp na wschodzie Sakalawowie, na równi z południowymi szczepami Antandrojów i Mahafalów, szczęśliwie przewieźli artystyczne zdolności i twórcze wizje, czego nie potrafili Merinowie.

Zabrałem się gorliwie do fotografowania co ciekawszych rzeźb, w czym pomagał mi Lakiu. Przy czwartym z kolei grobie sensacja: w miejscu jednego z alo-alów wznosił się murowany krzyż. Chrześcijański krzyż. Wdarł się między to pogańskie towarzystwo jak wrogi gość, niezawodnie ażeby rozbroić wpływ alo-alów. Zapewne za poduszczeniem księdza lub pastora z Morondawy jakiś sakalawski neofita wystawił krzyż i nietrudno było domyślić się, dlaczego akurat w tym miejscu: obok stała rzeźba nagiej kobiety o groteskowo dużych, wyzywających piersiach: widocznie masywny krzyż miał osłabić pogański symbol rozrodczości.

Na następnym, ostatnim grobie widniała jedyna na tym cmentarzu rzeźba erotyczna. Przedstawiała mężczyznę obejmującego od tyłu kobietę. Zatem nie był to cmentarz, o którym Myriam Harry takie cuda wypisywał, i gdy po godzinie wrócił Hindus taksówkarz, nie ukrywałem przed nim swego rozczarowania. Hindus schował się za maską obojętności i oświadczył, że nie zna nic lepszego. Ale nie liczył się z rosnącym zapalem Lakiu, który nagle nabrał smaku do zwiedzania grobów i rozumiał naszą rozmowę, chociaż tylko piąte przez dziesiąte. Lakiu wyskoczył z zapewnieniem, że w pobliżu są inne groby, łatwo dostępne i że je zna. Więc było nie było, tam pojechaliliśmy na tych samych co poprzednio warunkach: taksówkarz zostawił nas samych na godzinę.

To były groby tak zwane na 7 kilometrze i chyba o nich pisał Myriam Harry. Rzeczywiście świadczyły o kapitalnym rozpasa-niu sakalawskich rzeźbiarzy. Na pięciu czy sześciu groba.cn sterczało blisko trzydzieści rzeźb, z których tylko kilka nielicznych objawiało zwykłą skromność przedstawiając ptaka czy ubranego mężczyznę z kaskiem na głowie, reszta zaś buchała frenetycznym erotyzmem. Rzeźby demonstrowały różne pozycje aktu płciowego, dokonywanego zawsze na stojąco przez dwoje nagich, przy czym cechy płci, mianowicie piersi u kobiet, a członek u mężczyzn, były groteskowo wyolbrzymione. Pierwsze oszałamiające wrażenie: pornografia.

W ten sposób, o ile mi wiadomo, czuła większość Europejczyków, którzy dotarli do

tych grobów i sprawę przesądzał na krótkim toporzysku: sprośność. Inni wywodzili, że to jakaś zemsta rzeźbiarzy na nieboszczyku, który im się naraził za życia i któremu po śmierci przypinali łatkę rozpustnika. To także nie przekonywało i było błędnym przykładaniem europejskiej miary do mal-gaskiej mentalności. Madagaskar zawsze darzył szacunkiem swych rozpustników, którzy dla niego nigdy nie byli plugawi.

Natomiast nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Myriam Harry miał słuszność. Rzeźby, chociaż tak dobitnie erotyczne, nie miały nic wspólnego z rozwiązłością, natomiast niedwuznacznie wyrażały triumf życia nad śmiercią. To był jakiś żywiołowy, okrutnie malgaski przejaw rozrodczości. Przyjął formę rubaszną, owszem, brutalną, zwłaszcza dla umysłowości europejskiej odrażającą i nieprzyzwoitą, bo tak naturalistyczną, ale była to forma do głębi malgaska. Rzeźbiarzom na pewno nie chodziło o wywoływanie dreszczyków pikanterii, natomiast przedstawiali doniosły akt poczynania życia w sposób dla nich najwyrazistszy. Drewniane rzeźby Sakalawów przywodziły mi na pamięć znamienne strofy tutejszych wybitnych poetów, jak J. Rabemananjara czy Flavien Ranaivo, którzy, choć z innych szczepów się wywodząc, podobnie zmysłowe sprawy opiewali w swych poematach, z tym tylko że za pośrednictwem subtelного słowa.

Groby z podobnymi rzeźbami istniały w tych stronach również na innych cmentarzach sakalawskich, mianowicie w pobliżu dawnej stolicy Mahabo i także niedaleko na północy, nad rzeką Tsi-rihina. A była to macierzysta kraina państwa Menabe, jego istotny matecznik, który, jak wiadomo, tak zaciekle opór stawiał zaborczym Merinom i nigdy zupełnie się nie poddał. Niezawodnie groźba, wisząca stale nad Sakalawami do końca XIX wieku, odbiła się w sztuce alo-alów i właśnie taki, jurny i drwiąco-żartobliwy, nadała im kierunek. Z figur wyzierała wyraźnie buńczuczność szczepu, który uparcie walczył, choć był słabszy, a gdy zaczął w końcu podupadać i tracić dawną krzepę, w takich rzeźbach niewątpliwie upatrywał symbol, podtrzymujący go na duchu.

Dziwne to, lecz dość zrozumiałe: akty płciowe na grobach przybierały w tych stronach wagę polityczną. A poza tym nie brakło i oznak wojaczki religijnej: także i tutaj między stare rzeźby z drewna wdarło już się kilka świeżych krzyży z cementu.

W tym gąszczu na siódmym kilometrze wciąż przypominał mi się zaferowany Myriam Harry i okropne tarapaty rytualne, jakie musiał przezwyciężyć w drodze do sakalawskich cmentarzy. A teraz? W kilku miejscach między grobami leżały bezceremonialnie wyrzucone opakowania filmów francuskich, amerykańskich i zachodniemieckich na dowód, że pilnie pstrykali tu goście hotelisty Cherona. O, tempora!

Najdziwniejszy Malgasz, jakiego spotkałem

Hindus taksówkarz na chybił trafił wybrał z wioski Bemanonga mego cerbera i wybór padł na Bogu ducha winnego Lakiu: miał on mnie pilnować, żebym nie okradł grobów. Był to raczej młody jeszcze, nieśmiały, okrutnie zafukany człeczyna, jakiś mało otrząskany i znękany, a siedząc za nami w aucie sprawiał wrażenie ostatniego cierpiętnika i ofiary losu. Taksówkarz twierdził, że Lakiu, sakalawski niedorajda, bał się mnie, białego człowieka, i pewnie tak było, bo dopiero gdy dostał do dzwigania moją torbę z aparatami fotograficznymi, wyraz przerażonego zakłopotania nieco *zelżał* mu na twarzy.

Gdy zostaliśmy sami przy grobach, cudaczne zmiany dokonywały się w Lakiu. Nie wiem, czego bał się przedtem. Ale teraz widząc, że nic groźnego nie robili mu ani duchy, ani ja, przychodził do siebie i zaczął pozbywać się nieporadności. Przestał być zdeptanym robaczkiem.

Przy fotografowaniu grobów było wiele krzątania, więc musiał mi żywo pomagać, już nie tylko dzwigać torbę, ale wykonywać to i owo, podawać aparaty, sięgać po filmy, nastawiać. W toku tych czynności Lakiu osobliwie się rozkręcał. Znał zaledwie kilka słów francuskich, ale to nie przeszkadzało, by rozumiał moje polecenia. Spełniał je z

coraz większą ochotą, rosły mu jakieś skrzydła, zapal jego przechodził w zachwyty, stawał się żarliwością. Z rosnącym zdumieniem śledziłem przejawy pasji mego towarzysza i starałem się je zrozumieć.

W swej ubogiej wiosce Lakiu z pewnością był niczym, zahukanym bideuszem, popychadłem wśród sąsiadów, i na pewno nie miał własnego życia. A oto przypadkiem — kaprysem Hindusa taksówkarza — dostał się w tryb białego vazahy i musiał mu pomagać. Stał się potrzebny! Może pierwszy raz w życiu uświadomił sobie, że jest kimś i że jest pożyteczny. Poczł się człowiekiem, osobistością, może walecznym zwierzem fossą albo jastrzębiem papangiem, patrzącym z góry na kurczaki i na ludzi?

Tajemniczość czcigodnych grobów i krążące tu w powietrzu dusze zmarłych niezawodnie działały na jego umysł, ale to, że mógł tak znacznie się przydać białemu vazasze, było ważniejsze i napełniło go nieznaną dumą. Upajało go, budziło w nim frapujące siły. Znikł poprzedni gamajda nawet zewnętrznie, ruchy jego nabrały sprężystości, głos głębszego brzmienia, a gdy się uśmiechał, był męski i ujmujący.

— Czy jesteś żonaty? — spytałem go mimochodem.

Nie rozumiał słowa „marie”, ale wyraz „ramatu” naprowadził go na właściwą drogę.

— Oui, oui, oui! — zaśmiał się od ucha do ucha. — Tsara rama tu! Ładna dziewczyna, tsara, tsara!...

Podszedł do rzeźby przedstawiającej nagą kobietę z drastycznie wyolbrzymionymi piersiami i wskazując na nie, dał do zrozumienia, że jego ramatu ma takie same kształty. Oczy świeciły mu przy tym zuchwałym blaskiem. To działo się przy grobie na kilometrze dziewiątym.

Nie, to już nie był ślamazara Lakiu i gdy taksówkarz chciał mnie spławić nieznajomością innych cmentarzy, Lakiu odważnie stanął okoniem, przeprowadził swoje i pojechaliśmy do grobów na siódmym kilometrze. Ale zanim tam dotarliśmy, taksówkarz po drodze odwiedził wieś Marovoay, leżącą w broussie.

Tu Lakiu przeszedł samego siebie i stał się bohaterem w moich oczach, a w oczach mieszkańców wsi czymś więcej: natchnionym ombiasy. Ombiasy to wieszcz nawiedzony przez potęgę niewidzialne.

Lakiu wiedział, że chciałem fotografować mieszkańców przy pracy, więc pełen bezapelacyjnego natchnienia polecił im wszystkim pracować, jeśli chcą zarobić sobie cadeau. Ludzie go znali, ale nie poznawali jego ferworu. Kroczył jak paw, ogniście rozbrykany, rozkazywał jak król, wyżywał się w boskim upojeniu.

Na pierwszy ogień sfotografowałem dziewczynę pielącą kukurydzę, a że miała twarz obłożoną gliną dla celów rzekomo kosmetycznych, dostała niezłe cadeau. Następnie chłop, sztywno pozujący z dzieckiem, był mniej ciekawym obiektem i dostał małe cadeau, więc wszczął ostry sprzeciw.

— Czego wrzeszczysz? — zapytał go Lakiu głosem sędziego.

— Ona przedtem dostała większe cadeau! Mnie się też tyle należy! — wołał pokrzywdzony.

— A czyś ty ramatu tak jak ona? — zapytał szyderczo Lakiu i całkowicie go pograżył, gdy wszyscy obecni mieszkańcy Maro-voay skwitowali gromkim śmiechem złośliwy docinek.

Gdy po chwili opuszczaliśmy Marovoay, Lakiu unosił ze sobą rozgłos chwata nad chwaty. Był wulkaniczny i takim też pozostał, gdy zwiedzaliśmy cmentarz na siódmym kilometrze. Uwijał się żwawo między grobami, pomagając mi fotografować rzeźby, i chociaż powoli, w sposób naturalny, poprzednie podniecenie w Ma-rovoay przycichało, erotyka rzeźb rodziła w nim nowe wzruszenia: jemu, Lakiu, udzielała się jurność wodzów sprzed stu laty.

Toteż gdy w godzinę później zawieźliśmy go do domu w Bema-nonga, Lakiu krzyknął na młodą żonę, by zaraz mu wody przyniosła na kąpiel. Przyniosła i obydwójce weszli do maleńkiej łazienki w czworokątnych opłotkach z chrustu, sięgających im do piersi. Gdy żona lała na niego wodę, on prychał jak koń i śmiał się do nas sponad płotu.

To był najdziwniejszy Malgasz, jakiego spotkałem, ów Saka-lawa Lakiu: nie chciał

cadeau, odmówił przyjęcia, a był przy zdrowych zmysłach i biedny. Wcisnąłem jego żonie sto franków, ale zastanawiałem się, czy LaMu nie zasłużył sobie na pięćset franków albo na tysiąc...

Czarowna wieś rybaków Vezo

Morze dokoła Morondawy było owego dnia wzburzone i fale wdzierały się tęgo na piasek przybrzeżny. Gdy odpływały, dwóch chłopaczków, może dwunasto-, trzynastoletnich, łowiąc ryby, rzucało z całych sił do cofającej się wody długie sznury z wędkami. Niezbyt wierzyłem, by na skotłowaną mieliznę zabłąkały się jakieś ryby, ale chłopacy wierzyli, i to na przekór doświadczeniu: przyglądałem im się dobry kwadrans, chyba sto razy rzucali sznurem do wody — i nic, ani śladu ryby.

Wtedy uświadomiłem sobie u malców potęgę ich entuzjazmu, a równocześnie zupełną jałowość ich opętania. Gdyby im przyszło zdobyć się dla kogoś obcego na wysiłek znacznie mniejszy, jęczeliby pod przymusem i narzekali na los, ile wlezie — teraz przeciwnie, wisusy nie szczędzili trudu, okrutnie się męczyli, ale nie czuli zmęczenia. Byli szczęśliwi i zawzięci; wymyślili sobie własną rozkosz, zapłonęli własnym ogniem i własną nadzieją — i własny, choć mało zdatny, wymarzyli sobie ideał. Zazdrościłem im.

Pochodzili z rybackiej wsi Vezów, przylegającej od północy do Morondawy. Wieś była ludna, składała się z co najmniej stu chat zbudowanych na piaskach, przeważnie z trzciny i liści palmowych, a to wszystko razem skłębiało się jak gdyby w uroczy gaj, nabity gęstą roślinnością; było tu wiele palm kokosowych, okazałych tamaryndowców i wszelkich krzewów. Gdy wkroczyłem do wsi, zdumiałem się. Przyjemnie uderzyła mnie niezwykła schludność chat, moc małych ogródków między chatami i czyste, piaszczyste uliczki.

Od razu powstała między mną a wsią sympatia. Ludzie byli tu jacyś miłsi niż w kupieckiej Morondawie, twarze mieli otwarte, spojrzenia przychylne, a gdy witałem ich malgaskim „salama”, serdecznie odpowiadali. Prawdopodobnie dawno nie zapędził się tu biały człowiek, byłem dla nich niespodzianką. Dziesiątki oczu śledziły mnie, gdy powoli brnąłem przez uliczne piaski, ale śledziły życzliwie. W pewnej chwili wydałem się sobie opiekuńczym duchem zwiedzającym to ustronie i trochę to było śmieszne i niesamowite, bo mieszkańcy jak gdyby tak samo na mnie patrzeli.

Wieś kusila wielu malowniczymi zaułkami, więc po drodze fotografowałem chaty, kwiaty, dzieci i ładne dziewczyny, których tu nie brakło. Nikt nie zakazywał, przeciwnie, ludzie uśmiechali się zachęcająco. Czasem nie chciało mi się wierzyć w to, co przeżywałem i raz w raz miałem ochotę przetrzeć sobie oczy.

Gdzieś kilkoro dzieci bawiło się w piasku trzema pustymi butelkami.

— Qu'est-ce que c'est que ca? Co to jest? — pytałem wskazując na butelki.

Oczywiście bachory czmychnęły wśród chichotów i nic nie odpowiedziały. Ale gdy oddaliłem się o kilkadziesiąt kroków, wyszły z ukrycia i zaczęły wesoło powtarzać: „Qu' est-ce que c'est que ca”, jak gdyby chciały odczynić zakłęcie. Dałem im nową zabawę.

Gdzie indziej kobiecina (niestety brzydkawa) naprawiała płot. Zapytałem ją grzecznie, czy mógłbym ją sfotografować. Ona bez słowa wyszła przed płot i stanęła wyprostowana i z napiętą twarzą pozując sztywno do zdjęcia.

— Nie! Nie tak! — poprosiłem przyjaźnie. — Chciałbym sfotografować przy naprawianiu płotu, przy pracy!...

Bardzo się spieszyła i zmarkotniała, ale spełniła moją prośbę, chociaż ze wstydem.

Mimo woli dotknąłem palącego problemu Malgaszów, ich pogardliwego stosunku do ręcznej pracy. Owa pogarda dla fizycznej roboty była i zapewne długo jeszcze pozostanie główną zaporą na drodze postępu i rozwoju na Madagaskarze. W wyniku ustroju niewolniczego, panującego w pełni do drugiej połowy XIX wieku, wszelka fizyczna robota — domowa, na roli czy w rzemiośle — spadała wyłącznie na barki niewolników i niewolnic, natomiast wolny człowiek nie śmiał tykać się żadnej pracy,

która by go hańbiła. Tego urazu Malgasze do dziś jeszcze należycie nie przewyciężyli i wciąż stronili od techniki i przemysłu. Jeszcze teraz każda szanująca się Malgaszka, czyniąca zakupy na zomie w Tananariwie, musiała mieć sługę, który dźwigał za nią towary: wstyd dla pani, gdyby sama nosiła.

Więc chociaż Sakalawka Vezo pozwoliła się sfotografować przy naprawianiu płotu, to jednak z odruchową niechęcią.

Nieco dalej zapytałem kilku rozbawionych młokosów o nazwę wsi. Oni, zmieszani, w śmiech, wreszcie wyjawili: „Waraszów” czy jakoś podobnie.

Gdy przed murowanym domem z przytulną werandą — jednym z nielicznych tu murowanych domów — ujrzałem uśmiechniętego mężczyznę, powtórzyłem pytanie o nazwę wsi i znowu trudno rozumiałem, a chciałem sobie zapisać nazwę. Więc on poprosił o notes i ołówek i sam — widać, Sakalawa rozległej wiedzy — zaczął wpisywać mi nazwę wsi. Czynił to długo, opornie i z przejęciem, a w tym czasie z domu zaczęły wychodzić miłe kobiety i wypełniać werandę wesolą kwiecistością. Były dwie młode dziewczyny bardzo ładne i przyjemne, córki tego, który mozolił się pisaniem, i była nieco starsza niewiasta w czerwonej sukni ze złotymi naszyjnikami i bransoletami, i jeszcze sędziwsza kobiecina, a wszystkie wezbrane radością i swobodnie, jak gdybyśmy byli dobrymi od dawna przyjaciółmi.

Zanim gospodarz skończył wpisywać do notesu, przybył do nas sąsiad, mówiący niezłe po francusku, rybak jak oni tu wszyscy. Tłumaczył, że wypłynię na morze dopiero następnego dnia rano, gdy wiatr zelżeje, a jeśli chcę, mogę z nim się zabrać na połów.

— Macie zaufanie do mnie! — zaśmiałem się.

— Mamy! — odrzekł poważnie.

— Dlaczego? Przecież ja obcy! Nie znacie mnie!

— My cię znamy! — zapewnił mnie. — Chodziłeś do naszych rybaków z Belo-sur-mer i z nimi rozmawiałeś, prawda?

Prawda. Zanim jeździłem do grobów, odwiedzałem kilka razy rybaków z Belo-sur-mer, którzy rozbili namioty w Morondawie, i zapewne dlatego wieś — Avarachova, jak wyczytałem z notesu — tak przyjaźnie witała mnie jako swego.

Z tyłu murowanego domu spostrzegłem osobliwość przyrody wielce mnie zaciekawiającą. Na przestrzeni od dachu domu do pobliskiego pnia palmy kokosowej kilka, może sześć, siedem, wielkich pajaków Nephila zaciągnęło swe pajęczyny w ten sposób, że połączyły się w jedną wielką wspólną sieć, a pająki zaczały się na niej w tych miejscach, które uważały za rejony swych łowisk. Poszczególne rejony niepostrzeżenie przechodziły jedne w drugie, nie było między nimi wyraźnych granic, więc powstawało pytanie, jak Nephile, przecież zapalczywe drapieżniki, regulowały swe spory graniczne, gdy mucha wpadała akurat na pogranicze?

I nasuwało się jeszcze drugie pytanie: obok tych kilku wyrosniętych pajaków zauważyłem dwa małe Nephile, widocznie niedawne potomstwo tamtych. Były, rzecz prosta, słabsze, ale już tak samo czatowały na zdobycz, z tym tylko że trzymały się przezornie z boku, tuż przy palmie, w szarym kącie wspólnej pajęczyny. Więc pytanie: jeśli w rejonie tych mniejszych pajaków wpadł do sieci jakiś tłusty smakołyk, jak postępowały wielkie, sąsiednie pająki? Czy rzucały się na małe i wyrwały im łup naturalnym w tej kompanii prawem dzungli? A może panował tu jaki utopijny gentleman agreement albo Family Pact?

Ażeby to zbadać, należałoby obserwować pajęczynę Nephilów przez kilka z rzędu dni.

Gdy pożegnałem się z mieszkańcami murowanego domu, pomyślałem sobie, że żyli tuż obok ruchliwego i bezwzględnej miasteczka, a sami byli zupełnie inni: skromni, pogodni, serdeczni, żyjący połowem ryb.

Zaledwie o pół kilometra od głównej ulicy Morondawy leżała owa wieś Avarachova, ale po wyjściu z niej na autostradę znalazłem się zaraz w innym świecie: jakaś Europejka brutalnie szurnęła autem tuż obok mnie, potem minąłem butny gmach celny, Bureau des Douanes, potem przyspieszyłem kroku obok zabudowań Zandarmerija Nasionaly z więzieniem, wysokim murem i napisami, że nie wolno wchodzić — i jeszcze nie dotarłem do głównej ulicy Morondawy, a już tęskniłem za uśmiechem ludzi poże-

gnanych w Avarachovie.

Zatem co robić? Gdyby wprowadzić się na tydzień do murowanego domu z werandą i z kobiecym szczebiotem, i z cieniem palm kokosowych — to chyba byłoby jakieś Tahiti, a alibi i pretekst do tego znalazłby się najlepszy: badanie życia pajaków.

Nie doszło do tego; nie wprowadziłem się. Głupstwo zrobiłem.

CZĘŚĆ CZWARTA

AMPAN1HY: U Mahafalów

Hotel Tropical

Południe Madagaskaru to zapewne najdziwaczniejszy skrawek świata na naszym padole. Według niektórych speców przyroda dostała tam ongiś chysia, przestała się rozwijać i o kilka milionów lat pozostała w tyle za innymi częściami globu. Może to niezbyt dokładne wyjaśnienie, natomiast niezaprzeczalnym faktem był surrealizm roślinności na południu. Bo naprawdę drzewa jego zbzikowały. Kto na nie patrzył, doznawał oszołomienia i mógł przyrównywać je do ośmiornic, koralu, brzuchów wydętych, polipów czy do skamielin z dawnych epok. Tak widział je każdy przybysz, nawet niezłomny syn Marsa, generał Lyautey, który na początku stulecia uganiał się tu za tubylcami. Pejzaże południa zakrawały na obrazy Picassa z okresu, gdy mistrz sadził się na epatowanie burżujów. W tych także stronach żył jeszcze przed niewielu wiekami epiornis, ptak-monstrum, a do dziś buszowały szczepy ludzkie do niedawna okrutnie dzikie, chyba najdziksze na ziemi, ale i one dziwne jak ta roślinność, bo jednocześnie owładnięte poczuciem zwariowanej rycerskości.

Stolicą tych południowych kresów było słoneczne miasto Tulear, „Brama Południa”, do której zaleciałem po niespełna półtoragodzinnym locie z Morondawy. Po wylądowaniu poczułem się obywatelem świata, na lotnisku bowiem przywitał mnie pyszny drogowskaz z tablicami w kierunku wszystkich stolic świata i z podaniem imponujących odległości. Więc chciwie czytałem, że z Tule-aru do Honolulu było 17 768 kilometrów, do Paryża 9012, do Tokio 11 968, do Pekinu 9810 kilometrów i tak dalej.

Ale jak to często zdarza się bujającemu w obłokach, tak i mnie: nie było sposobu dostania się do bliskiego Tulearu. Na szczęście spostrzegł moje tarapaty pewien Francuz z siwą bródką i uprzejmie zabrał mnie do swej półciężarówki. Na przekór szumnemu drogowskazowi świat był mały: miły Francuz okazał się geologiem Domergue, który przed kilkoma miesiącami obwoził polską delegację handlową po Madagaskarze — i tym samym stał się jeszcze miłszy dla mnie.

Tulear słoneczny jak słoneczny, ale tego dnia był ponadto piekielnie wietrzny: wicher dał od Kanału Mozambickiego tak gwałtowny, że wzniecał straszne tumany kurzu, i nie wiedziałem, jak od nich bronić swych aparatów fotograficznych. O tym kurzu nie było mowy w barwnych reklamach turystycznych.

Samoobrona okazała się konieczna także i w innych sprawach. Oto morskie muszle, olbrzymie, groteskowe w kształcie, kolorowe jak papugi i niedrogie, więc okrutnie kuszące. Kilka kobiet Vezo rozłożyło ich kilkaset na ziemi na Boulevard Gallieni i tymi cudami zachęcało do kupienia. Ale miałem się na bacności jak Ody-seusz przed syrenami. Cóż, że zapłaciłbym tu niedrogo: przecież w Gdyni w naszym urzędzie celnym, zawsze tak wyrozumiałym i uprzejmym dla podróżnych, musiałbym wybulić cło kilkakrotnie większe niż sama wartość muszli — nie! nie znęca mnie tulearskie dziwy.

A te inne? W Tulearze były dwa hotele. „Hotel du Sud” dla snobów, ekskluzywny, nieprzytulny, zbudowany przez kogoś niespełna rozumu na kształt kamiennej warowni, na domiar otoczonej wysokim murem, hotel drogi, oziębły i zięjący pustką — oraz „Hotel Tropical”, wesoły, przystępny na równi dla vazahów i Mal-gaszów, rojny, rozbrzmiewający do późna w noc radosną muzyką z grającej szafy i dziewczęcym śmiechem z ulicy.

Rzecz prosta, wprowadziłem się do przyjemnego „Tropical” i nie żałowałem tego. Dziwy, a jakże, srodze kusiły, ale od czego wyrobiony charakter i chwalebna nieugiętość woli? Więc nie uległem.

Francuzi mają wielką wadę: zbyt późno jadają kolację. Od blisko dwóch godzin ciemności zalegały miasto, zanim ją podano w hotelu. Na szczęście jadłem przy jednym stole z sympatycznym Domergue'em, który miał dziś pechowy dzień. Mianowicie dał mu się we znaki pewien Amerykanin, pracownik Organizacji Narodów Zjednoczonych tak samo jak Domergue. Gdy tenże wrócił dziś po kilkutygodniowej nieobecności do Tulearu, zastał swe mieszkanie okupowane prawem kaduka przez Amerykanina, swój samochód przez niego przywłaszczony, swe ubrania gdzieś wyrzucone.

— Czy może pan pojąć taką czelność? — oburzał się Francuz.

— Mogę! — odrzekłem ku jego zaskoczeniu, więc szybko wyjaśniłem: — Mogę, bo czytam prasę o tym, co się dzieje w Wietnamie...

Ów Amerykanin, jak się zdaje, nie był dobrą propagandą dla USA.

W czasie kolacji dolatywał nas coraz żywszy gwar z sąsiedniej sali, będącej barem hotelu „Tropical”. Muzyka rozbrzmiewała tam coraz weselsza, mężczyźni wybuchali beztrudnym śmiechem, dziewczęce głosy im wtórowały. Gdy później pożegnałem się z Domergue'em i wyszedłem na dwór, zastałem tarło ludzkie w pełnym ruchu. Falowały dziewczyny, niektóre z nich już lekko podchmielone, wdzięczyły się przed oświetlonym hotelem lub tworzyły grupy stojących śmieszek. Inne wchodziły śmiało do baru, gdzie zachowywały się swobodnie jak u siebie w chacie. A między nimi kręciły się samce, przeważnie młode, przeważnie Malgasze, łowcy jeszcze należycie nie podnieceni, ale już głuszcze, już gachy in spe.

„Prostytucja, nierząd? — rozwodził się wspomniany już Myriam Harry w swej książce *Pod znakiem byka*. — Nie! Na Madagaskarze nie ma nierządnic, są tylko dziewczyny płonące cielesną miłością. To naiwna, animalna szczerłość wszechwładnych zmysłów...”

Przypomniała mi się inna książka, bystrego Amerykanina Arthura Strattona, pod tytułem *Wielka czerwona wyspa*, przed rokiem wydana, w której autor opisywał bardzo podobną scenę — widać znamioną dla portów madagaskarskich — w hotelu „Universal” w Diego-Suarez, na północnym cyplu wyspy. Autora szczególnie uderzały serdeczność i uczciwość tej giełdy, jak ją nazwał. Wśród dziewczyn wybijała się młoda kokietka szermująca paryskim akcentem. Ciągłe zapewniała adoratorów z żartobliwą dumą, że jest stuprocentową, najczystszej krwi Sakalawką, co stanowiło widocznie walor nad walory w północnym porcie.

Tu, w Tulearze, też panowała taka królowa, a była nią, o nieba! czystej krwi Hinduska. Śniada ślicznota czuła się władczynią, robiła furorę, łaskawie przyjmowała zaproszenia na kieliszek koniaku, piła duszkiem, ale nikomu nic nie przyrzekała, z nikim się nie wiązała. Niektóre Malgaszki patrzyły na nią jak w obraz, inne z wrogą zazdrością, wszyscy wielbiciele — jak na bóstwo.

Ruchliwa Hinduska niewątpliwie miała swoisty styl, a budząc zmysłowe napięcie, władała nad całym otoczeniem. W tym małym świątku, ograniczonym do baru i kilkudziesięciu kroków oświetlonej ulicy przed hotelem — w świątku małym pod każdym względem stwarzała groteskową wizję tajemniczej królowy.

Męski ród, urzeczony, wodził za nią oczami, z wyjątkiem jednego młodziana. Ów miał ciemnobrązową cerę, ale bokobrody przystrzyżone z cudzoziemską na wzór beatników: był pół-Mal-gaszem. Stał oparty o mur hotelu w pełnym świetle lampy i wszyscy widzieli jego romantyczność, gdy wpatrywał się w ciemną dal nieruchomym wzrokiem, pełnym natchnienia. Był ładnym chłopakiem, ale to zapewne wydało mu się za mało, więc odwałął marzyciela. Przyglądałem mu się z rozbawionym współczuciem: tu Byronowe nastroje pasowały jak pięść do nosa. A może się myliłem?

Potem zrobiłem przechadzkę po mieście. Było ciemnawe, oszczędzano światło. Jedyne jaśniejącą pokusą okazał się „Hotel Tro-pical”. Reszta miasta tonęła w mrocznej martwocie, z rzadka przerywanej słabymi lampami. Pod jedną z nich minąłem się z

parą krocących Chińczyków. Obydwoje niscy, przysadziści, grubawi, on zapewne był jednym z tularskich kupców. Z twarzy przypominał Mao-tse-tunga. Krocząc rozstawiał na zewnątrz nogi jak legendarni bohaterowie, malowani na chińskich zwojach. Obydwoje szli oczywiście w milczeniu, nie mając sobie nic do powiedzenia, zatopieni w swych własnych małych myślach.

Byłem jeszcze pełen wrzawy, wesołości i pożądań wyniesionych z hotelu, więc tym mocniej doznałem milczącej obcości chińskiej pary. Przyszło mi na myśl, że z tyłu ludźmi tyłu różnych narodów i szczepów rozmawiałem i zawsze mniej lub więcej nawiązywałem z nimi nić ludzkiego uczucia - z Chińczykami jakoś nigdy się nie udawało. Łatwo było mi wczuć się w pragnienia tych wszystkich w hotelu „Tropical”, Domergue'a, Hinduski, bajroni-cznego nastrojowca, całej tej czeredy z kręgu tarła — ale tych dwoje Chińczyków było przeraźliwie cudzych. Dzielili nas jak gdyby przepaść istot z dwóch różnych planet.

Feralna Zatoka Św. Augustyna

Słoneczne, lecz nocą źle oświetlone miasto Tulear leżało na pół-nocym skraju osławionej Zatoki Św. Augustyna, osławionej, bo Europejczycy — przypominam — pchali się tu na wariata, by straszne dostawać cięgi. Pchali się różni, więcej piratów i innych przestępców tudzież handlarzy niewolników niż ludzi zacnych. To niewątpliwie wyjątkowa ironia losu, że z imieniem dobrego świętego kojarzyły się tak szkaradne dzieje, ociekające krwią, łotróstwem i chciwością.

Gdy w pierwszej połowie XVII wieku pewne narody zachodniej Europy, wiadomo: Holendrzy, Anglicy, Francuzi, dostali szału na punkcie Madagaskaru i gdy każdy dla siebie chciał zagarnąć „raj na ziemi” ubiegając drugiego, szczególnym eldoradem wydawała się Zatoka Św. Augustyna u ujścia rzeki Onilahy. Eldoradem, bo w zapleczu zatoki grasował wojowniczy szczep Mahafalów, rozsmakowanych w napadach na sąsiadów. Owi gorliwi rozbójnicy pędzili porwane bydło i złapanych ludzi do Zatoki Św. Augustyna, a to był cymes dla europejskich statków: czekały na popłatny ładunek i kupowały go za bezcen, za stare strzelby. Niestety często gęsto tym dobrym chrześcijanom urywało się ucho garnka i spotykała ich krzywda ze strony dzikich: ci, istoty kapryśnego animuszu, lubili wpadać w gniew, a rozgniewani, rzucali się na białych za łada błahostkę i niejedna załoga statku traciła marynarzy pod ich sagajami. Przez Zatokę Św. Augustyna zdumiewająco wiele, tysiące mal-gaskich niewolników dostawało się na statki europejskich nacji, a najbardziej Anglicy upodobali sobie lukratywną zatokę. Oni też, zwabieni nadzieją koszmarnego edenu, zjechali tu w roku 1644 liczną gromadą, nawet z kobietami i misjonarzami, by założyć — jak już kiedyś wspomniałem — stałą kolonię w pięknie nazywanym się zakątku. Zaraz po przybyciu zapewniali tubylców o swej szczerzej przyjaźni, więc łatwowierne dzikusy, biorąc nowych przyjaciół za słowo, zaprosili ich do wzięcia udziału w wyprawie na złych sąsiadów po jeńca i bydło. Gdy Anglicy odmówili {choć sami chętnie od wojaków kupowaliby niewolników}, srogo zrazili sobie Malgaszów i, zbojktowani, zostali odcięci od dostaw żywności. Po upływie roku ze stu czterdziestu kolonistów pozostało przy życiu zaledwie dziewięciu niedobitków, którzy zdołali uciec z niewdzięcznego raj.

Nad tą zatoką działy się dziwne rzeczy. Kapitanowie statków wiedzieli, że Mahafalom nie można było ufać, bo to wcielone diabły z piekła, ale ponęta tanich niewolników i licznego bydła była nieprzewyciężona. Więc pomimo niebezpieczeństwa przyplýwali, ómy do ognia, by handlować z rozbójniczym szczepem i raz po raz z rąk tegoż szczepu ponosić za to karę.

W XIX wieku południowo-zachodnim wybrzeżem Madagaskaru z kolei zainteresowali się Francuzi. W roku 1842 zawitał tu major Guillain, który dość łatwo dogadał się z królem okolicznych Ma-hafalów. Ówże, imieniem Herontany, miał dziwnie jasną cerę i niezwykle rysy twarzy i okazało się, że matką jego była rodowita Holenderka. Dostała się do Malgaszów klasycznym w tych stronach trybem: holenderski statek, przybyły do Zatoki Św. Augustyna po dobry interes, naraził się czymś tubylcom, więc ci wybili

załogę, a przy życiu pozostawili jedną kobietę jako brankę dla króla.

W siedemnaście lat później między królem Fiahy, synem Me-tysa Herontany, a wicehrabią Fleuriot doszło do zawarcia uroczystego traktatu przyjaźni i sojuszu, wszakże przysięgi nie zapobiegły temu, że w roku 1888 Mahafalowicze napadli na francuskie faktorie na wyspie Nosi Ve, leżącej w Zatoce Sw. Augustyna. Ale zdrażliwi napastnicy dostali w skórę i od tego czasu pech prześladował ich króla Lahintafika: krótko potem ciężko raniony podczas kłótni z innym królikiem, dokonał żywota. Jednak ażeby osłodzić sobie psi los, umierając grymaśny smakosz kazał zabić dla siebie pięć młodych żon na drogę w zaświaty. Ucieszne były to czasy niesamowitego heroizmu i panowania wtedy ekscentrycznych zwyczajów makabrą podlanych.

Mahafalowicze byli na Madagaskarze jednym z ostatnich szczepów, jakie poddały się władzy Francuzów, a nastąpiło to dopiero w wiele lat po upadku państwa Howów. Dokonał tego głównie urok osobisty pułkownika Lyautey obok, rzecz prosta, wymowy oręża: Francuz oczarował króla Tsiampodny, najsilniejszego wśród Mahafalów wodza, i zdobył jego przychyłość. Dopiero przy jego pomocy Lyautey zmusił innych królików, bardziej dzikich i hardych, do poddania się — i wejścia na drogę spokojniejszych obyczajów...

Autobus Sud-Poste, zabierający mnie do Ampanihy, głównego osiedla Mahafalów, wyruszył z Tulearu około szóstej rano, gdy świtało. Autostrada, niezłe cementowana, według mapy wiodła zrazu wzdłuż Zatoki Sw. Augustyna, ale morza za wydmami nie ujrzałem, a potem skręciliśmy w głąb kraju.

Autobus był nabit ludźmi i smrodem zjełczałego tłuszczu, do którego jednak nos przyzwyczał się po kwadransie. Trudniej było przywyknąć do krajobrazu, jego smutku i szarości: krzaki przeważnie kolczaste i obnażone z liści, drzewa rzadkie i rachityczne, nieduże; mało baobabów. To jeszcze nie kraina południowych cu-dactw, chociaż już zmora posuchy i jałowizny. Biedni koloniści z 1644 roku, marzący o zakładaniu tu rajskich plantacji!

Na siedemdziesiątym pierwszym kilometrze autostrady zboczyliśmy w Andranovory na południe, ale zanim dotarliśmy do tego miejsca, autobus przystanął w pobliżu kilku lichych szałasów. Kierowca, nie wyłączając motoru, wyskoczył jak narwany z auta i z niezwykłym pośpiechem popędził do chat. Tam coś kupował targując się, zapłacił i duchem rwał z powrotem: w ręce trzymał kupiony półtorametrowy kij.

Gdy to zauważyli inni Malgasze w autobusie, ogarnęło ich podniecenie, a niektórzy, rozgorączkowani, co tchu wyskoczyli i tak samo sadzili do szałasów. I oni kupowali kije, ale tylko pierwsi je dostali, inni wracali z próżnymi rękami, wyraźnie rozczarowani.

— Co to za kije? — spytałem mego sąsiada, Malgasza o inteligentnych oczach.

Malgasz nie chciał odpowiedzieć, zataił się i dopiero gdy dwa, trzy razy nalegałem, odmruknął:

— Święte drzewo...

Więcej z niego nie wydostałem.

Później pewien Grek opowiadał mi nieprawdopodobne cuda o magicznych mocach świętego drzewa. Większość Malgaszów, a wszyscy na południu wyspy, gdzie rosło cudowne drzewo, wierzyli w jego nadprzyrodzoną potęgę, dzięki której można było z całą pewnością uchronić się od groźnych demonów i osiągnąć wszystko, czego się pragnęło: zdrowie, majątek, szczęście, kobietę, a także pozbyć się ludzkich wrogów i nawet spowodować ich śmierć.

— Jaka szkoda, że nie nabyłem świętego drzewa! — krzyknąłem wtedy w spóźnionym zachwycie.

— Święte drzewo działa tylko u Malgaszów! — Grek ostudził mnie i pocieszył.

Ale zaraz wróciłem myślami do autostrady pod Andranovory. Przeżycie miało posmak urzekającego koszmaru: autostrada, będąca szczytem techniki i motor, pykający na luźnych obrotach, niby puls wielkiej cywilizacji, a tuż obok ludzie pędzący jak szaleni po magiczne drzewo.

Cudaczne losy ptaków i ludzi

Około dziewiątej przed południem dotarliśmy do znacznej rzeki Onilahy i solidnym mostem przejechali na lewy brzeg, a tu zaczęły się pielesze i pastwiska Mahafalów zajmujących na przestrzeni przeszło dwustu kilometrów cały południowo-zachodni skraj Madagaskaru. Nazwa Onilahy znaczyła tyle co „rzeka-samiec”, zatem brzmiało to zawadiacko, ale zawadiakami do niedawna byli także i sami mieszkańcy tych stron. Rzeka, ongiś granica między ludami północy i południa, roła się wtedy od wielkich krokodyli, stanowiących swą żarłocznością naturalną przegrodę. Teraz skończyły się te czasy, w ostatnich latach gady wytopiono tu jak w innych rzekach, ale ponoć w górnym biegu Onilahy jeszcze istniały i jak dawniej szerzyły postrach.

Nad rzeką na wilgotnych gruntach ciągnął się wcale bujny pas roślinności, tak zwany las galeriowy, gdzieniegdzie prężyły się tęgie drzewa, a zwłaszcza w leżącej tu miejscinie Tongobory były pod niebo gęste kopuły okazałych tamaryndowców: ostatni dobroczynny cień przed krainą Mahafalów.

Na południu od Onilahy wyraźna, choć powolna zmiana krajobrazu: wpadaliśmy coraz bardziej w domenę posuchy i kserofitów, roślin walczących ze suszą. Walczą przybierały osobliwe kształty, tak zdumiewające przyjezdnych.

Więc pojawiły się, początkowo z rzadka, baobaby, przez tubylców zwane ojcami buszu: rainala. Drzewa-potwory mysiego koloru czyniły wrażenie słońi, którym z głowy wyrastały pokraczne konary jak trąby słoniowe, a z tych trąb gałęzie, prawie zawsze bez liści: liście to rozrzutność wilgoci. Baobaby miały usposobienie dyrektorów banku, a duszę Harpagonów: w swych olbrzymich cielskach zazdrośnie broniły każdej kropli wody. Ich beczkowate pnie były kasami oszczędności, a gdyby je znał Ezop, nie mrówkom, lecz baobabom dostałaby się sława zapobiegliwości.

W miarę oddalania się od rzeki Onilahy wsiadali do autobusu Mahafalowie, szczerze opatuleni w białe togi wątpliwej czystości. Chociaż przybyszów nie było wielu, dotychczasowy tu zaduch zjełczanego tłuszczu uległ zasadniczej zmianie: ci nowi wnieśli jędrną woń baranów, kóz i bydła. Nie mieli nic groźnego w sobie, nawet już sagai nie nosili, tylko długie kije pasterskie, a wonieli, bo brak wody nie tylko roślinom dawał się we znaki.

W niespełną godzinę po opuszczeniu brzegów Onilahy zawitaliśmy do rześkiego miasteczka Betioky, wślawionego tym, że istniała tu znakomita stacja zwalczania szarańczy, że bawiła tu niedawno temu polska delegacja handlowa, mająca podziwiać pokłady mniej znakomitego węgla, i że ciągnęła się wzdłuż całego osiedla piękna aleja sześćdziesięcioletnich drzew. Posadzono je tu ongiś z rozkazu generała Gallieniego, a były to drzewa nie byle jakie, bo kauczukowe, goście z Ameryki Południowej, świadkowie wyolbrzymionych tu kiedyś nadziei i potem posępnej klapy.

Południowy Madagaskar miał także własną, krajową roślinę kauczukową z rodziny wilczomleczów, które w tych niesamowitych stronach rozrastały się przeważnie do wymiarów słusznych drzew. Intisy, jak ową odmianę nazywano, nie była drzewem, lecz lianą i dawała niezwykle przedni gatunek kauczuku. Antandroje znali jej właściwości od niepamiętnych czasów, ale pierwszym Europejczykiem, który podpatrzył ich tajemnicę i poznał lianę, był pewien młodzian nazwiskiem Marshal. Ów nieborak został porwany do niewoli przez wojowników dla ich króla, który dla buty i chwały chciał mieć białego niewolnika, a posiadłszy, dla zabawy zadawał mu bolesne tortury. Żeby uniemożliwić chłopakowi ucieczkę, dzikusy co pewien czas przypiekali na ogniu jego stopy. Trwało to szereg lat, dopóki biedaka nie wykupił z niewoli pewien Metys z Fortu Dauphin. Działo się to w osiemdziesiątych latach XIX wieku. Ponoć przez owego Marszala wieść o intisy przedostała się w świat.

Gdy władze francuskie zagospodarowały się na południu Madagaskaru, rzucono się z igraszką kolonialną drapieżnością — jakżeby *maczej!* — na ceną roślinę i wkrótce niemal doszczętnie ją wytrzebiono. Gdy przybył tu amerykański botanik C. F. Swingle na kilka

lat przed drugą wojną światową, był szczęśliwy, że po żmudnych poszukiwaniach znalazł jeden egzemplarz intisy. I tak pozostało do dnia dzisiejszego. Był okres, gdy kauczuk, „czarne złoto”, upajał tu ludzi wielką nadzieją i sromotnie zawiódł — jeszcze jedna błędna bańka, najpierw wyczarowana, następnie rozwiana przez zatwardziałego wykpisza, Madagaskar.

Autobus pozostał kilka minut w Betioky, a że paradowałem w kapeluszu zydwestera o szerokim rondzie, wzięto mnie za dola-rowicza i pewien hinduski kupiec przywołał mnie do siebie, ażeby sprzedać mi jaje epiornisa. Było pyszne, całe, nie uszkodzone, ale i cena pyszna: tysiąc pięćset dolarów.

Imponujące jaje miało chyba trzydzieści centymetrów długości i na innych podobnych okazach obliczono, że mogło pomieścić w sobie sześć strusich jaj, a sto czterdzieści osiem kurzych. Ptak epiornis, należący do strusiovatych, wyginał zapewne na początku okresu, gdy człowiek nastał na wyspie, a z kości licznie tu znajdujących stwierdzono, że sięgał wysokości trzech metrów.

Pokusa nastęczała się zbyt wielka, ażeby nie skorzystać z dogodnej sposobności. Nie wytrzymałem, musiałem się uwiecznić z jajem. Włożyłem je sobie na obojczyk i tak mnie sfotografował moim rolleiflexem przechodzący Merina, którego o to poprosiłem. Hinduski kupiec szybko obniżył cenę do tysiąca dolarów i dziwił się, że facet w takim kapeluszu pozostał nieczuły na jego hojność.

Epiornis prawdopodobnie stał się źródłem legendarnych podań, jakimi na temat ptaka roka karmiono Marka Pola podczas jego podróży na wschód. A wyginał epiornis na skutek nie tylko prześladowań przez człowieka, lecz raczej z powodu zmiany klimatu. Według przypuszczeń naukowców niegdyś całą wyspę, także i południe, zraszały silne opady deszczu i zarastały ją gęste lasy. Później z nie wyjaśnionych dotychczas przyczyn, zapewne na skutek odchyień w strukturze wiatrów lub prądów morskich, południe Madagaskaru zaczęło ulegać posusze, lasy rzednieć i jałowić, przeobrażając się częściowo w stepy, częściowo w rozległe bagniska. Żyły tu karłowate hipopotamy; wyginęły. Na brzegach moczarów najdłużej przetrwały epiornisy, ale gdy z biegiem czasu błota wyschły, a roślinność zubożała, przyszedł ostateczny kres także na strusie i ich tragedia dobiegła końca. Najwięcej szczątków po nich, kości i skorup jaj, znajdowali ludzie tam, gdzie dawniej istniały ostatnie ostoje ptaszysk — na brzegach domniemanych mokradeł.

Na południe od Betioky kolce roślin stopniowo nabierały tupetu, a kolczaste były już nie tylko krzewy, ale i niektóre drzewa. Częściej pojawiały się aloesy i kaktusy. Kolczastość złowrogiej przyrody niezawodnie wpływała na wojownicze usposobienie ludności, a równocześnie stanowiła nieprzenikniony labirynt kryjówek i ochrony przed pościgiem wroga. Na goliznach widziałem liczne kopce termitów, pojawiające się wszędzie tam, gdzie sucho i niegościnnie. Kopce wyglądały jak nieudane upiory z angielskich filmów o duchach.

Krajobraz i grzebanie się w doli epiornisów budziły niesamowite myśli i mimo woli zerkalem w gąszcze po prawej, zachodniej stronie drogi. Tu, w kierunku wybrzeża morskiego, oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów, znajdowały się gdzieś wśród buszu jeziora, nie mające odpływu, więc ze słoną wodą, jedyne w tych stronach płytkie zbiorniki wody.

Rzadko kto przebijał się w nędzne pustoszą i Francuzi dopiero w trzydzieści mniej więcej lat po zdobyciu Madagaskaru odkryli tu wioskę osobliwych ludzi. Nieboracy, jakiś zapomniany ród szczepu Mahafalów, używali wody z pobliskiego jeziora, zawierającego różne sole, co powodowało przedwczesne ich starzenie. W wieku lat dwudziestu chłopcy i dziewczęta wyglądali i czuli się już jak ludzie pięćdziesięcioletni: twarze mieli pełne zmarszczek, ogólne wyczerpanie i zwiędłe ciała były jak u starców. Śmierć doganiała ich przed trzydziestym rokiem życia.

Francuzi, chcąc im pomóc, postanowili przesiedlić ich do zdrowszych okolic, ale natrafili na opór: biedacy bali się świata i ludzi normalnych. Jednak w końcu udało się nakłonić wieś i przeniesiono ją.

Niestety na tym urwały się moje wiadomości o młodych starcach, i nie potrafiłem

dociec ich dalszych losów. Kolczasty busz, przez który jechaliśmy, gdzieś ich tu ukrywał.

Najdzikszy szczep Madagaskaru

Przed przeszło stu laty, 1865 roku, Auguste Vinson w swej książce tak zaszufłdował mieszkańców Madagaskaru: Malgasz wschodu to dobry człowiek, Malgasz centralny jest lepszy, natomiast zachodni i południowy jest łotrowski, zdradziecki, tchórzliwy, zły, okrutny: jego wojny to utarczki, kończące się porywaniem kobiet, dzieci i bydła i niewielu zabitymi(!?)...

Pół wieku później Alfred i Guillaume Grandidierowie określili różnice między szczepami rolniczymi a pasterskimi na wyspie następująco: rolnicy mają wyraz łagodny i spokojny, raczej nieśmiały, natomiast pasterze — dumny, zuchwały, dziki, spojrzenie pewne siebie i otwarte. Wszyscy wydają się rozgarnięci...

Pasterze Mahafalowie, od kiedy weszli do historii w XVI wieku, uchodzili za najdzikszy szczep Madagaskaru, nawet za pierwotniejszy niż notoryczni dzikusy Antandroje, ich sąsiedzi od wschodu. Nazwa szczepu oznaczała tyle co: Ludzie, u Których Nie Widać Wodza, a wzgardliwe to przezwisko nadali im wojacy rodu Maro-serana. Tenże ród podbił Mahafalów w owym XVI wieku i stanął na ich czele, a następnie dał początek dynastii Sakalawów i stworzył wielkie królestwa zachodniego wybrzeża wyspy.

Więc władcy Mahafalów byli kuzynami królów sakalawskich, ale to im nie przeszkadzało, że z zapalem przyswoili sobie wszystkie zbójceckie skłonności podwładnych i sami stali się arcyrabusiami.

Przyroda południa, złowroga i nieurodzajna, nie tworzyła miękkich istot, była szorstką macochą. Ludzi nie rozpieszczała, a zabijając słabych pozwalała żyć tylko tęgim, twardym i nieugiętym. Cały kraj, pokryty ciernistym gąszczem, stanowił jedną olbrzymią twierdzę o tysiącach kryjówek, co jeszcze więcej pobudzało zbójceckie instynkty. Nieustanne napaści jednych na drugich weszły tu ludziom w krew, stały się nawykiem codziennym i regulatorem życia, więcej: punktem honoru. Kto nie umiał kraść bydła, był fajtlapą i pośmiewiskiem kobiet: tylko wyborowy złodziej bydła mógł liczyć na względy bogdanek.

Rabunek bydła przysparzał nie tylko majątku, ale przede wszystkim sławy. Rabowano je dla sportu, dla zaszczytu, radości życia, na ludzi zaś polowano głównie dla pożytku i zarobku. Dla pożytku porywano przeważnie kobiety i dzieci, bo to była siła robocza, nadająca znaczenie i godność wojownikowi, natomiast dla zarobku łapano mężczyzn i chłopców, bo tych sprzedawano do niewoli białym ludziom na statkach w Zatoce św. Augustyna. W XVII i XVIII wieku statki, zwłaszcza holenderskie i angielskie, wywlekając tędy dziesiątki tysięcy niewolników, bez przerwy podsycaly gwałty i rozboje w głębi wyspy.

Kto na kogo napadał? W tej części Madagaskaru przebywały trzy grupy etniczne: Antandroje na wschód od rzeki Menarandra, Mahafalowie między tą rzeką a Onilahy i Sakalawowie na północ od Onilahy. Wszystkie trzy szczepy urządzały wzajemnie przeciw sobie ustawiczne zagony, nie szczędząc krwi przeciwnika. Lecz rody-klany, istniejące wewnątrz każdego z tych szczepów, także się zwalczały, łakome na cudze bydło i ludzi. Więcej, nawet poszczególne wsie sąsiedzkie, mające zawsze coś ze sobą na pieńku, często gęsto zniemacka uderzały nocą na siebie, by porwać bydło i ludzi.

Więc człowiek w tych stronach jak wilk nastawał na człowieka, nikt nie był pewny sąsiada, ani kuzyn kuzyna, ani brat brata. Panowała wieczna wojna wszystkich przeciw wszystkim, panowała anarchia nie kończących się porachunków.

Złoto miało wśród tych południowych ludów magiczne znaczenie i tylko członkom rodu Maroserana wolno było je nosić na sobie. Przed nadprzyrodzoną potęgą złota ustępowała nawet największa zaciekłość w czasie walki. Wystarczało na przykład, że słabsza strona, w obliczu grożącej zagłady, kazała starszej kobiecie wzniesć ponad głowy walczących kawałek złota przyczepiony do grotu sagai i krzyknąć: volamena, co znaczyło: złoto — a wszelki bój natychmiast ustawał pod karą okrutnej klątwy. Nie do-

wiedziałem się, jak długo wojacy szanowali takie zawieszenie broni, ale przypuszczam, że długo i rzetelnie.

Walki polegały przeważnie na zaskoczeniu wsi przeciwnika w nocy i wiodłyby do jego zupełnego wytepienia, gdyby nie kolczasta przyroda. Gęstwina przylegała do chat i umożliwiała ucieczkę niektórym napadniętym, a ci niebawem, kolejnym spraw biegiem, odpłacali się złym sąsiadom pięknym za nadobne. Podstęp i zasadzka były główną tych zuchów taktyką.

W owej chaotycznej społeczności grasował bezlik maleńkich watażków i królików, ale czasem wybijał się mocniejszy władca, przeważnie z rodu Maroserana, i brał innych za łeb, szczególnie gdy miał wielu synów i popleczników. Takim hersztem wśród Antandrojów był w początkach XVIII wieku król Andrian-Ki-rindra, człek szerokiego rozmachu, który za przeciwnika miał Andriana-Kosintany od Mahafalów, wojaka o nie niniejszym zacięciu.

Gdy zbyt częste najścia Antandrojów rozjuszyły do głębi Mahafalów, tychże król Kosintany wyruszył na czele trzech tysięcy wojowników przeciw Antandrojom, a wyruszywszy, zawiadomił z kurtuazyjną pychą ich króla Kirindrę o swym zamiarze: że jak pluskwę zgniecie go na polu chwały, a następnie obróci jego stolicę Fenoarivo w miazgę popiołu. Kirindra nie pozostał mu dłużny i oznajmił mu przez posłów, że synowie jego wyjdą mu naprzeciw i godnie powitają jego bohaterów, których następnie zaprowadzą do Zatoki Sw. Augustyna na statki niewolnicze.

Ale nie zaprowadzili. Przeciwnie, pobici Antandroje stracili połowę ludzi i uciekli w popłochu do swej stolicy. Mahafalowcy w pościgu za nimi dopadli osady, pomimo dzielnej obrony wzięli ją i spalili, jak król Kosintany zapowiedział. Kirindra i jego obrońcy dali drapakę ledwo uchodząc z życiem, natomiast zwycięzcom udało się pojmać żywcem główną żonę i dziecko Kirindry. Antandroje byli wściekli i wciąż silni, a Mahafalowcy pomimo zwycięstwa przytomni, więc gdy król Kirindra, ni to prosząc, ni grożąc, zażądał zwrotu żony i dziecka, Kosintany z wielką chęcią spełnił to życzenie. — Jak to? — przed starszyzną własną i Antandrojów wygłosił zwycięski król wspaniałomyślną tyradę. — Nie po to ja, Andrian--Kosintany, przybyłem tu w gościnę, ażeby krzywdzić rodzinę mego kuzyna i zalewać mu sadła za skórę, lecz tylko po to, by mu wytłumaczyć, że nie jest on najsilniejszym na naszej wyspie królem, za jakiego się uważa...

Po czym obydwaj padli sobie w objęcia i Kosintany wielkodusznie jeszcze zwrócił Antandrojom połowę zdobytego na nich bydła, zatrzymując tyłką drugą połowę i kilkuset jeńców przeznaczonych do Zatoki: Kirindra był mu za to szczerze wdzięczny, albowiem w tych ustroniach bydło większą miało wartość niż życie ludzi...

Więc oto autobusem Sud-Poste wjeżdżałem w krainę Mahafalów. W krainę kolczastych kserofitów, głodu, pragnienia, biedy i brudu, ale, co dziwne, ludzi krzepkich i bynajmniej nie chudziaków, nie łazarzy. Większość napotkanych Mahafalów wprost uderzała atletyczną budową ciała, pónagusy mieli świetnie wyrobione mięśnie, a dziewczyny, jeśli młode, miały pełne, okrągłe piersi, choć ukryte pod szmatkami. Filmowiec E. Pidoux pięć lat przede mną tak samo podziwiał jędrne ciała Mahafalów i nie ulegało wątpliwości, że był to skutek naturalnej selekcji, dokonywającej tu się od wielu pokoleń. W ciężkich warunkach bytu wszelka ludzka słabizna ginęła w młodym wieku, przeżywali tylko najzdrowsi i ci płodzili najodporniejszą potomność.

Przejście Mahafalów w nowy świat

Około godziny drugiej po południu przybyliśmy do Ampanihy, Miasta Nietoperzy, jak opiewała malgaska nazwa, uchodzącego za stolicę szczepu Mahafalów. I w istocie było to rzetelne, jak na owe cierniste wertepy, ludzkie zbiorowisko o przeszło dwóch tysiącach mieszkańców. Na kilometr przed miasteczkiem krajobraz nabrał wdzięku, pojawiło się więcej zieleni i drzew liściastych, czerpiących wilgoć z rzeczki Sakatovo. Im bliżej Ampanihy, tym potężniejsze stawały się drzewa tamaryndowe: w oczach

rosły.

Świat pamiętał o Ampanihy. Dobrzy ludzie w amerykańskich Wisconsinach, europejskich Andegaweniach i Telemarkach troszczyli się o zbawienie dusz Mahafalów, więc pobudowano tu kościoły, i katolicki, i protestancki, i gotycką katedrę, a kwatery założyli tu zbożni misjonarze tudzież działacze kongregacji amerykańskich i norweskich. Miejscowi znachorzy i czarownicy wciąż cieszyli się wzięciem, ale musieli iść na ustępstwa i rządem dusz podzielić się z przybyszami.

Hotel był niedaleko rynku, na którym stanął autobus Sud-Poste. Życzliwie powitany przez młodego hotelistę Hindusa, od razu doznałem przyjemnego odprężenia. Hindus był czarujący, hotel przystępnie tani, aura wraźnie przyjazna: odczułem to z rozkoszą po tych kilku godzinach osobliwego nastroju, jaki rozsiewała kolczasta niesamowitość buszu.

W podwórzu hotelu stało młode drzewo tamaryndowe, a na suchej gałęzi jego wierzchołka zagościło się kilka niefrasobliwych ptaków. Zielonkawę, wielkości gołębi, w pierwszej chwili sprawiała wrażenie papug, ale zaraz poznałem je po kwilącym głosie: to były madagaskarskie pustułki, kitsikitsi, ptaki dość pospolite i zawsze dobrej wróżby. Malgasje bardzo je lubili, bo polowały na myszy i szarańczę, a widok ich z całą pewnością zwiastował ludziom szczęśliwy los. Ich kostki, zbierane przez czarowników i wkładane w ody-amulety, zapewniały powodzenie.

Więc ucieszyłem się z tak miłego spotkania i spozierałem na pustułki uśmiechnięty. Było ich cztery, a może pięć i czasem gdzieś odlatywały, ale na krótko. Tu, pod okiem życzliwych ludzi czuły się najlepiej, na czubie tamaryndowca wypiszczywały swe kitsikitsi, wyprawiały ptasie baraszki, drgały skrzydłami, machały ogonem, i podniecone, oddawały się umizgom: koniec suchej pory oznaczał okres budzącej się przyrody, a w tym także ptasich godów.

Zatrudnione w kuchni Malgaszki radowały się, widząc, że podziwiam ich ptaki, ale trzeba było opłukać się z kurzu i wziąć natrysk. Hotel był piętrowy, na piętrze miał kilka pokoiów i wspólną łazienkę. Wpadłem do niej jak do rajku. Angielski etnograf Maybury-Lewis, pisząc o środkowej Brazylii, zastanawiał się, czy kąpiel w tropikach nie była najistotniejszą zmysłową rozkoszą (z ewentualnym wyjątkiem — dodał zaraz — rozkoszy seksualnej, będącej wszakże doznaniem przelotnym, porywczym i niepokojącym), i doszedł do przekonania, że prysznic był szczytem wszelkich rozkoszy. Więc puściłem na siebie chłodny strumień wody i pławilem się w owym szczyście rozkoszy. Wtedy usłyszałem kogoś zbliżającego się i krzyknąłem ostrzegawczo, ale ów ktoś nie przejął się moim wołaniem, drzwi się otworzyły i do łazienki weszła młoda dziewczyna. Przyniosła ręcznik.

— Bonjour, monsieur! — uśmiechając się powiedziała swobodnie, wcale nie speszona moją gością.

Chociaż łamagą nie byłem i chociaż uważałem się za człowieka postępowego, który wyzbył się fałszywych wstydów, to okazało się w tej niespodziewanej chwili, że jednak siedział we mnie gapa: mimowolnym ruchem ręki drgnąłem w kierunku przyrodzenia. Ramatu widząc to, szczerze rozbawiona wybuchła życzliwym śmiechem. Była nieszpeta i miała oczy błyszczące, jak u wielu młodych Malgasek. Ręcznik położyła na stoliku w kącie łazienki i wciąż oglądając mnie z pogodną natarczywością, ociągała się z wyjściem. Bawiła ją przygoda i moje chwilowe zmieszanie wprawiało ją w humor. W poczuciu swej przewagi nade mną zaczęła mnie z żartobliwą drwiną uspokajać, że nie potrzebuję się wstydzić, że ona nie taka zła i bynajmniej nie kasa. Tłumaczyła to uroczą mieszaniną francusko-malgaskich słów i pomagając sobie gestami podchodziła bliżej.

Była typową Malgazką, daleką od jakiegokolwiek rozwiązłości, chociaż pod wpływem naturalnego impulsu gotowa do wszystkiego. Tej wrodzonej bezpośredniości w sprawach seksualnych nie mogli wybaczyć Malgaszom pastorowie i im podobni, wychowywani od wieków w duchu ascezy: u Malgaszów akt płciowy po prostu nie urastał jeszcze do groźnej świętości, chociaż wielu było już na drodze ku naszym

wierzeniom i nieźle nasiąkało pruderią.

Co siedziało w miłym stworzeniu, które przyniosło mi ręcznik i tak powabnie szczebiotało, nie wiedziałem i nie byłem tego zbytnio ciekaw w danej chwili. Przekonany, że to ramatu przystojnego hotelisty, bliska jego łoża, wyprosiłem ją energicznie, acz wesoło z łazienki. Słowem: postąpiłem jak lojalny gość. Później dowiedziałem się, że Hindus miał wyjątkowo piękną żonę i był jej wierny. No tak, gapa!

Po kąpeli skoczyłem do łóżka, ale zasnąć nie mogłem, bo z dołu dochodził gwar młodych chłopców. Naszli hotel i rzucili się do różnych gier automatycznych, ustawionych w salce, a pełnych stuknięć i dzwonek. Najazd młodzieży przypomniał mi zajęcia sprzed ośmiu laty, które rozgrywały się wtedy w Ampanihy, a o których donosił w swej książce wspomniany już Amerykanin, A. Stratton, z racji swego pobytu wśród Mahafalów.

Krwawe rozruchy roku 1947, wiadomo, wstrząsnęły całą wyspą; echa ich dotarły nawet do odległej Antsezy, wsi Hieronima Obsta, i do wielu innych okolic. Jakkolwiek pacyfikację przeprowadzili kolonialiści z grubsza w przeciągu kilku miesięcy, zupełnego pokoju nie przywrócili. Podniecenie wśród Malgaszów trwało jeszcze całymi latami i tu tylko tlejące, tam groźniejsze, nurtowało wszystkie szczepy i prowincje Madagaskaru.

Nie ominęło również krainy Mahafalów i dawnych bydłokradów przejęto wrogością do wszystkich cudzoziemców, nie tylko do Europejczyków, ale i do Kreolów, Azjatów i nawet do Merinów, żyjących w tej części wyspy. Wrzenie to szczególnie ostro wystąpiło w samym Ampanihy, gdzie (jak pisał ów A. Stratton) powstały w latach 1957–8 wśród Mahafalów terrorystyczne szajki ni to patriotów, ni chuliganów.

Ciemnymi nocami zawadiacy dokonywali napadów na poszczególne domostwa i obrabowywali je z co wartościowszych przedmiotów. Chociaż ludziom osobiście na ogół dawali spokój, to jednak poturbowali szereg broniących się obywateli, nawet któregoś tam uśmiercili. Napastowali tylko bogatszych kupców, ale pomimo pozorów mieli w sobie mało z Robin Hoodów czy Janosików. Raczej wyglądało to na rozbijackie wyprawy małych rzezimieszków.

Władze po pewnym czasie opanowały wybryki i zaprowadziły w Ampanihy zwykły ład i bezpieczeństwo. Temperamenty wojaków ostygły, zuchowate ciągoty wyparowały, sprawy awantur z kociokwikiem rozpierschli się po buszu i tam wsiąkli, w tym samym buszu kolczastym, który od wieków osłaniał opieką zbójckie nawyki Mahafalów i Antandrojów.

Otóż wypadki z lat 1957–8 odruchowo budziły we mnie rzewne uczucie. Dawne wspomnienia? Rzykowne analogie? Przecież owe zamieszki w Ampanihy były ostatnim zrywem niesfornej czupur-ności Mahafalów i zamykały, chyba raz na zawsze, kilkowiekowy okres ich dziejów. Zatrząskiwała się jakaś furka starego świata, który zapadał się w mrok przeszłości, świata niepohamowanego siebiepaństwa i rozbrykanych wichrzycieli. Więc prawie chciałoby się przekornie parafrazować mówiąc o „ostatnim zajeździe w krainie Mahafalów” i o „historii mahafalskiej z lat 1957 i 1958”. Cóż, kiedy zabrakło proporcji i zabrakło wieszczka...

A chłystki na dole w salce hotelu wciąż namiętnie dzwoniły i stukwały. Okropnie głupia to gra: flipper. Przywędrowała z Ameryki Północnej. Puszczano się w ruch gałkę, która staczając się po pochylni, uderzała po drodze w różne dzwonki i stuknęła. A dzwoniąc i stukając wyświetlała za każdym dźwiękiem coraz zawrot-niejsze liczby: 10 000, 50 000, 80 000, wyskakujące cudownie na płycie, a grającemu prostaczkowi od dzwonek i rozszalałych liczb rosła dusza i rosła.

Gra amerykańska, okrutnie bezmyślna, ale porywająca i nowoczesna. Komu były te dzwonki, czuł się w nowym świecie. Maha-falskie młokosy wydzwaniały na flipperze swe przejście w nowy świat.

Miły Niemiec Menko Schomerus

Najwybitniejszą osobistością na południu Madagaskaru i najpopularniejszą był Niemiec, Menko Schomerus, rezydujący w Ampanihy. Gdy właścicielowi hotelu „Tropical” w Tulearze oznajmiłem, że zamierzam odwiedzić Schomerusa, hotelarz Francuz rozplątał się w zachwytach nad Niemcem i zapewnił, że to jego wielki przyjaciel — przyjaźń Schomerusa bowiem zaszczycała.

Na kilka dni przed wyjazdem z Tananariwy zawiadomiłem go listownie o moim planie podróży do Ampanihy i ewentualnej z nim rozmowy. Gdy przybyłem na miejsce, a on o tym się dowiedział, polecił mi zlikwidować pokój w hotelu i zaprosił w gościnę do siebie: czuł się reprezentantem tych południowych krańców i taki był jego gościnny zwyczaj podejmowania u siebie gości ze świata, obojętnie czy ambasadora Niemieckiej Republiki Federalnej z Tananariwy, czy Żyda Altmanna, towarzysza obozu internowanych z czasu wojny, czy dziennikarza ze Stanów Zjednoczonych, czy literata z Polski. Więc chętnie przyjąłem jego zaproszenie.

Schomerus wybudował tu sobie parterowy, przyjemny dom z pokojami gościnnymi i ponoć jedyną nowoczesną łazienką w całym Ampanihy, jak stwierdził Amerykanin. Natomiast na pewno miał jedyną w całej krainie Mahafalów bibliotekę ciekawych książek, jedyny plik świeżych czasopism literacko-artystycznych z Paryża, Londynu i Nowego Yorku i jedyny zapas klasycznej muzyki na płytach. A poza tym miał Gauguina w luksusowym angielskim wydaniu, ambrozja, do której dopadłem jak wygłodniały dzikus.

Schomerus zjednywał sobie wziętość u ludzi nie tyle kulturalnymi skłonnościami, ile kulturą serca. Uchodził za prostolinijnego, dobrego człowieka, chętnie pomagał innym, lubił Malgaszów, nade wszystko zaś Mahafalów. Żadnej nie omijał okazji, by im okazać swą przychylność, a szczególnie lubił dzieci: nigdy nie wychodził na miasteczko bez cukierków w kieszeniach i mnie zobowiązał, bym w naszych wycieczkach także nie odbiegał od tego zwyczaju.

Schomerus miał już chyba około sześćdziesiątki i był krzepkim kawalerem, a od pewnego czasu gościł u siebie młodą wiedeńkę, doktora filozofii i etnografa, zbierającą materiały do pracy o Ma-hafalach. Każde z nas trojga było żądne wiedzy o życiu i sprawach nas dotyczących, więc wiedliśmy rozmowy niezwykle żywe, w atmosferze zwłaszcza miłej podczas posiłków i po kolacji. W tych gawędach wylatywaliśmy daleko od Schomerusowej jadalni i rozpędzaliśmy się po różnych niwach, ale najwięcej oczywiście rozprawiając o Mahafalach, natomiast nigdy o polityce. Polityka była fadą między tymi Niemcami a Polakiem. Świat ludzkich napięć tam za progiem domu jak gdyby nie istniał; jak gdyby nie trzeszczał od wielkich gier i gróźb, od gwałtów i bomb spadających, i bomb zapowiadanych — u nas w Ampanihy o tym ani słówkiem, cicho sza! Podczas mej obecności w domu Schomerusa polityka była wyklęta, prawdopodobnie dlatego, by nikogo nie wprawiać w kłopot. Więc nie poruszano Mekongu ani Odry.

W okresie pierwszej wojny światowej często i z ochotą szermowano pojęciem pojedynku amerykańskiego. Pojedynek polegał na tym, że dwóch desperatów-zabijaków uzbrojonych w rewolwery zamykało się w zupełnie ciemnym pokoju i w ciemnościach polowało na siebie, strzelając na niewidzianego. Wydało mi się czasem, że w Ampanihy tak samo krążyliśmy w ciemnościach dokoła siebie, i to budziło we mnie ucieszny chichot.

Schomerus przybył na Madagaskar przed około czterdziestu laty, zatem na długo przed dojściem Hitlera do władzy. Przybył jako młody inżynier górnictwa, bezrobotny w ówczesnych Niemczech, i znalazł tu pracę w kopalni grafitu. Ale potem, zwiedzając inne strony wyspy, poznał południe i zakochał się w nim po uszy.

Schomerus był niewątpliwie epigonem niemieckich marzycieli, owych typowych Naturschwärmer, więc dziwaczna romantyka kraju Mahafalów urzekła go. Nie tylko ludzie, nie tylko groteskowa przyroda, ale — podkreślał — ogromna przestrzenność bezludnej prawie pustelni przypadła mu do serca. Więc pozostał na stałe w Ampanihy, gdy francuskie konsorcjum powierzyło mu kierownictwo kopalni granatów, kamieni półszlachetnych, występujących w dużej ilości tuż pod miasteczkiem.

Wojna, rzecz zrozumiała, wniosła w życie Niemca przykre powikłania. W 1939 roku internowany, dostał się do obozu w pobliżu Tananariwy, ale upadek Francji i kolaboracja kolonii z reżimem Petaina spowodowały jego uwolnienie i umożliwiły powrót do Ampanihy. Brytyjczycy, którzy w 1942 roku opanowali wyspę, dali mu spokój, ale nie przedstawiciele Wolnej Francji. Schomerus, ponownie internowany, został zesłany na północ i dopiero po latach wrócił do swych kolczastych stron. Dobrze świadczyło o uczciwości francuskich urzędników, że pomimo upływu lat zwrócono mu całe mienie skrupulatnie, do joty. Schomerus mógł podjąć na nowo pracę, nie przerywaną do dnia dzisiejszego.

Zatrudniał w powierzonej sobie kopalni kilkudziesięciu Mahafalów przy stosunkowo prostym trybie pracy: mężczyźni w terenie zgarniali wierzchnie warstwy łupku, w których znajdowały się kryształki granatów, po czym kobiety już pod dachem baraków oczyszczały kryształki z brudu i obcych naleciałości, sortując kamienie według rozmiarów i koloru.

Schomerus, człowiek o wrodzonym poczuciu gruntowności, przeżywał ze swoimi pracownikami niejedną krzyż Pański: przecież miał do czynienia z ludźmi chyba najniekarniejszymi pod słońcem, pasterzami o zbójceckich do niedawna zwyczajach. Jednak jakoś dawał sobie radę, bo był niezmiernie cierpliwy i lubił tych urwipołciów, a i oni jego lubili na swój sposób.

Schomerus, obyty i kulturalny, dawał sobie radę i w szerszych kręgach: zyskiwał tym uznanie, dostępował zaszczytów. Ambasador Niemieckiej Republiki Federalnej w Tananariwie uznał za nieodzowne, by rodaka udekorować jakimś orderem, po czym także rząd Tsiranany wyróżnił go odznaczeniem malgaskim. Więc Schomerus, gościnny gospodarz w Ampanihy, miał wszystko, o czym ludzie zazwyczaj marzyli: miał i względny dobrobyt, i uznanie, i zaszczyty. A jednak miewał chwile przygnębienia. Jednak czasem zaszywał się w szarym kącie swego domu ze zmarszczonym czołem i zadumany wzrokiem, by palić jednego papierosa po drugim. Dlaczego to czynił?

Już na drugi dzień pobytu u Schomerusa zacząłem zastanawiać się nad jego życiem i pod nadobnym płaszczkiem odkrywać pewne bolączki. Któryś z czołowych romantyków francuskich XIX wieku kiedyś śmiało krzyknął, że do szczęścia potrzebuje tylko trzech rzeczy: pustkowie, półki książek i metresy — ale to ponętne było chyba tylko na niedługi czas. Schomerus miał pierwsze i drugie, przypuszczalnie i trzecie — a jednak coś mu wyraźnie dolegało. Pustka.

Był jak rozbitek na małej wyspie, pomimo pozorów żył z dnia na dzień, i materialnie, i duchowo. Nie było idei, za którą stanąłby do walki, żaden szczytny cel go nie zagrzewał. Dąb wykorzeniony z niemieckiego lasu, Syzyf i Tantal w jednej osobie. Tych kilkudziesięciu malgaskich dzikusów, zależnych od niego, miało przed sobą jakąś możliwą przyszłość na wyspie; on, cudzoziemiec, obcy rasą i duchowym zapleczem, nie miał tu żadnych widoków. W znakomitym radzieckim filmie *Testament uczonego* ów naukowiec umierał szczęśliwie, gdyż pozostawił ludzkości swe dzieło — Schomerus nic po sobie nie pozostawi, nawet rodziny, i to na pewno boleśnie sobie uświadamiał.

Przypominał mi Hieronima Obsta z Antsezy, równie skazanego na samotność, i Niemiec, podobnie jak Polak na północy wyspy, chwycił się tej samej deski ratunku: wewnętrzną pustkę chciał wypełnić rozpaczliwą miłością do malgaskiego dziecka. Jego gosposia miała z jakimś Malgaszem dwuletnią córeczkę i w tego bobasa Schomerus wkładał całą swoją tkliwość. Uczucie desperackie, beznadziejne, niedosytne, gotujące mu prędzej czy później rozczarowanie.

Wyczuwałem to Schomerusowe szamotanie się w sieci, z której nie widziało się wyjścia, i często stawały mi w pamięci słowa jednego z dawnych jego rodaków, bodaj czy nie Lessinga, że nikt bezkarnie nie kroczył pod palmami.

Dom Schomerusa stał na wyniosłym nieco brzegu rzeczki Sakatova i z tylnych okien rozciągał się na dolinę widok daleki i pociągający. Obok Niemca jeszcze trzech czy czterech innych Europejczyków pobudowało swe siedziby nad brzegiem doliny i chwaliło sobie znakomite położenie. Malgasze — tłumaczył mi Schomerus z

uśmiechem — unikali dawniej tego miejsca jak ognia i bali się budować tu swe chaty, bo rzekomo tu na wzgórzu żyły pod kamieniami krasnoludki Kokolampy, które rozdrażnione najściem ludzi, gotowe były rzucić na nich złe czary.

— Usunąłem kamienie, Kokolampom zakłóciłem spokój, pewnie napsułem im krwi, ale jakoś nie rzuciły na mnie złych czarów — zakończył Schomerus z rozbawionym triumfem.

— Czy na pewno nie rzuciły? — wyraziłem wątpliwość, oczywiście żartobliwie.

W sierpniu 1967 roku otrzymałem od Schomerusa miłą wiadomość o jego ślubie z drem Lotte Gernbock, ową młodą wiedeńką etnografem, trzecią w naszym sympatycznym gronie wówczas w Ampanihy. A więc Schomerus założył rodzinę, on osobiście już nie będzie sam. Samotność rozciągnie się odtąd na dwie złączone osoby: ich dwoje będzie odosobnioną rafą w tym oceanie obcości, jaki ich otacza.

Krzaki, ptaki i drzewo

Najbliższe otoczenie Schomerusowego domu sprawiało ludziom przyjemność, roilo się radosnymi elementami. Było tu nad wyraz „gemutlich”.

U wejścia obok werandy rósł okazały krzew bougainvillei i rzucał się w oczy niezwykłą barwą swych kwiatów: były purpurowe, niemal amarantowe. Roślina, bardzo ulubiona przez zasiedziały w tropikach Europejczyków, plennie krzewiła się we wszystkich gorących krajach, zalewając tam mury will swą czerwienią, ale wszędzie była to chłodna czerwień karminowa lub wręcz fioletowa. Tu natomiast bougainvillea nie miała fioletowego odcienia: cała promieniała jasną, ciepłą rozkoszną purpurą.

Schomerus sam ją sobie wyhodował i wrażliwy ogrodnik, dumny ze swego dzieła, miał szczególną do niej słabość. Niewątpliwie stworzył tu sobie ożywcze ciepło, które odczuwał, patrząc na śliczny krzew i pokazując go gościom.

Inny, większych jeszcze rozmiarów krzew, nie znanego mi gatunku, a podobny do potężnej, gałęziastej kuli, wznosił się tuż przy wejściu do domu. Krzak — precyzyjny instrument hydrome-tryczny. Dotychczas, w okresie posuchy, spał kilkumiesięcznym snem, straciwszy wszystkie liście. Przed dwoma dniami zakropił w Ampanihy przelotny deszczyk, pierwsza skromna jaskółka pory deszczowej, i krzak zaraz wypuścił listki, ale tylko drobnutki.

— Lada dzień lunie pierwsza rześista ulewa — oznajmił mi Schomerus, ogarniając krzak przyjaznym spojrzeniem — i wtedy nie pozna pan krzaku: nastąpi istna eksplozja zieleni...

Tej nocy przeciągnęła nad nami gwałtowna burza z oberwaniem się chmury i w istocie rano na gałązkach krzaku wystrzeliły liście jak z procy, rosnąc niemal na oczach. Podziwiałem niesłychaną ich żywotność, która z taką furią zrywała tamy drętwy. Ale — krzak nie zaznał dobrego przebudzenia, bo inne furiaciątka zepsuły mu całą radość: cholerne ptaki. Tkacze.

Schomerus miał dla tych hultajów miękkie serce i pozwalał im co rok, pod koniec suchej pory, zadomawiać się pod swym dachem. W tym roku już się zjawily, a że była ruchliwej gawiedzi zacna kompania, dobre kilkadziesiąt, harmider ich pisków, kłótni i srogiemu podniecenia zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Kłótnie dziobaski równocześnie wybuchaly radością i gniewem i w tym ferworze były przedziwne podobne do tłumu neapolitańczyków z włoskich filmów. Szare samce, trochę większe niż nasze wróble, miały żółte główki i rozwiązyły temperament, natomiast samiczki, całe szare, wyróżniały się skromnością szaty tudzież dobrym obyczajem.

Wzdłuż frontu domu, tuż pod dachem, tkwiło z dawnych czasów w zwartym szeregu około czterdzieści gniazd, o które samce teraz się ujadały. Rozprawom towarzyszyły nieustanne wrzaski, obelgi i dzioboczyzny, a gdy który tkacz wywalczył sobie siedzibę, przystępował natychmiast do jej naprawy. Budulcem były wyrastające liście nieszczęsnego krzaka, który skwapliwie przez budowlanych obskubywany, przedstawiał pomimo słynnej eksplozji zieleni nieustannie smętny widok szkieletu nagich gałęzi. Złe budził się krzak do wiosny.

Spałem u Schomerusa w pokoju gościnnym tuż pod dachem i tkacze wybijały mnie ze snu o pierwszym świcie, a zgiełk ich zbudziłby tak samo i nieboszczyka. Sądziłem, że ptaszki wyklóca się o gniazda i będzie spokój. Guzik. Po uregulowaniu spraw mieszkaniowych zaczęło się nowe podniecenie, gorliwsze niż dotychczas. Czupurne samczyki popadły w szal miłosny i na całego rozgorzała walka o samiczki. Zawrzały ptasie zaloty, rozedrgały się skrzydełka, podnosiły ogony, piski naśladowały arie miłosne, do potęgi rozklebiły się amory. Po dwóch, trzech dniach matrymonialne namiętności dobiegły końca, Romeowie znaleźli swe Julie i przystąpiono do następnej miłej fazy: zapładniania.

Patrząc na te ptasie igraszki i pocieszne perypetie nie mogłem dość nadziwić się mądrymu instynktowi tkaczy. Jak mądrze i przewidująco zabierały się do spraw życiowych, filuty o ileż mędrze były niż wielu naszych młodocianych nowożeńców znad Wisły, Warty i Odry: oto chytrusy zawsze najpierw budowały sobie gniazda, a potem dopiero przystępowały do żeniaczki. Nigdy inaczej. Rozsądna kolejność godna była naśladowania.

Innym uderzającym elementem dokoła Schomerusowego domu były ganki. Wysypane grubą warstwą szlachetnych kamieni, granatów, odpadków z pobliskiej kopalni, ganki kapitalnie lśniły w słońcu czerwonymi blaskami. Chodziło się po nich, deptąc bogactwa i skarby, ale — jak tyle razy w życiu — deptąc bogactwa pozorne: owszem, były to prawdziwe granaty, ale tak małe, że bez wartości dla szerokiego świata. Więc kto miał fantazję, mógł wbić się tu w Krezusową pychę i doznać zawrotów głowy od rozrzutności. Wysypane skarbami ganki przywodziły na myśl wschodnie baśnie.

Równie bajeczne, ale zarazem i całkiem realne były dzieje rozwoju wielkiego drzewa cytrynowego, rosnącego niedaleko naszego domu. Drzewo, nad miarę i nad podziw urodziwe, wznosiło się nad samym brzegiem doliny rzeki Sakatova i swą rozległą kopułą doskonale osłaniało barak sortowni granatów od zbyt gorącego słońca. Schomerus sam je dawno temu zasadził jako maleńką roślinę, ale biedula przez długie lata nie chciała nabrać oddechu i okropnie niedomagała. Cherlawa, ubożuchna, zdawało się, że kipnie lada sezon, lada rok. Wszakże nie kipnęła, ale pędząc su-chotniczy żywot, nie mogła też przyjść do siebie. Miała trudne dzieciństwo.

Dopiero znacznie później, przed sześciu czy siedmiu laty, jej korzenie widocznie dotarły do życiodajnej wody i nastąpił osobliwy przełom. Drzewo odżyło, nagle wybijało potężnie i nabrało fenomenalnej siły. Rozrosło się gwałtowniej i zamasyście] niż inne cytrynowce, i do tego rozdziło więcej większych i soczystszych owoców. Okazało się, że drzewu — zresztą tak samo jak nieraz ludziom — bieda, znoszona za młodu, wcale nie przyniosła szkody, a przeciwnie, wyszła na dobre, wskrzesiła jakieś ukryte w nim siły. Więc oto Mahafalowie w Ampanihy, pamiętający dawnego mizeraka, ze zdziwieniem wznosili wzrok ku dorodnemu olbrzymowi i niby jakiemuś bóstwu oddawali mu hołd.

Robinsonada Roberta Drury'ego

Madagaskar miał szczęście do ludzi soczystego pióra i do końca osiemnastego wieku sześciu krewkich pamiętnikarzy przysporzyło wyspie niespożytej glorii.

Chronologicznie pierwszym był weneccjanin Marko Polo, wmawiający ludziom, że na Madagaskarze są wielbłądy, lwy i potężne skarby; następnie dwóch rozgorzałych Anglików, Hammond i Booth-by, trzema tomiskami doprowadziło Anglię do nielekkiego szału; potem Francuz Flacourt, jeden z komendantów nieszczęsnej grandy kolonizacyjnej w Fort Dauphin, podniecił Francję i inne kraje wcale dorzecznym, jak na owe czasy, opisem Madagaskaru. Nieco później, na początku osiemnastego wieku, angielski rozbitek, Robert Drury, przeżył niebywałą robinsonadę na południu wyspy i napisał potem bestseller, żywotny do naszych czasów, a w drugiej połowie tegoż osiemnastego wieku polski Węgier czy, jak kto woli, węgierski Polak, Maurycy Beniowski, chciał stworzyć małgaskie królestwo i to mu nie wyszło, za to powił ze swej wyprawy pamiętniki, które, tłumaczone na wiele języków, okryły sławą i autora, i —

ponownie — Madagaskar.

Z tych pięciu mężów (Marko Polo nie liczy się, bo, wiadomo, nigdy nie ujrzał wyspy) najdłużej tkłł się po Madagaskarze Drury, gdyż z górą szesnaście lat, i on chyba doznał, prócz romantycznego Beniowskiego, najciekawszych przeżyć, już z tej racji dla mnie zajmujących, że rozgrywały się w okolicach, w których obecnie przebywałem.

Drury, w Londynie rodzony, liźnął trochę nauki, ale chłystek i wietrznik, o marynarskich marzący przygodach, przeciw woli ojca szurnął do Indii, by wkrótce przekonać się, że w rodzicielskim domu było lepiej. W drodze powrotnej do Anglii spotkała go katastrofa. Statek jego, „Degrave” (kapitan Younge, 700 ton, 52 działa), pokiereszowany przez sztormy, zaczął na wysokości Madagaskaru tak przeciekać, że wyrzucanie balastu nie pomagało. Należało czym prędzej ratować się lądowaniem.

W Fort Dauphin nie było już Francuzów, ale okrutne szelmy pozostawili po sobie tak haniebną pamięć, że Anglicy woleli nie pokazywać się tutaj tubylcom. Więc pchali się dalej na zachód wzdłuż wybrzeża i gdzieś tam między ujściem rzek Mandrare a Manambovo wydostali się z tonącego statku na ląd, ledwo uchodząc z nagim życiem. Było ich przeszło stu sześćdziesięciu, bo statek wiozł wielu pasażerów, wśród których Robert Drury był najmłodszy: miał zaledwie 14 lat. Pisano rok 1701.

Wybrzeże, na którym Anglicy się rozbili, należało do wojowniczych dzikusów Antandrojów, dotkniętych w owe czasy niezwykłym upodobaniem: modą na niewolników europejskich. Każdy wódz i król chciał ich mieć jak najwięcej przy sobie, a kto mógł poszczycić się takim bogactwem, uchodził za pana nad pany i kąpał się w blasku barbarzyńskiej chwały. Biały niewolnik, ozdoba władcy, musiał służyć radą i walczyć u boku pana, bywał w hojności obsypywany darami lub w przystępie gniewu — szczyt wiel-kopańskiej rozrzutności — zabijany jak pies.

Rozbitkowie, wyszedłszy na ląd, żadnej broni nie mieli, więc gdy zjawili się ciemni wojownicy uzbrojeni po zęby, niektórzy nawet ze strzelbami, a wszyscy z radosnym uśmiechem na gębach, i kazali iść za sobą do króla — Anglicy bez sprzeciwu usłuchali. Wędrowali osiemdziesiąt kilometrów w głąb kraju, zanim doszli do stolicy (niewątpliwie do dzisiejszego Antanimora, ludnej wsi, poznanej przeze mnie przed laty). Eskorta Antandrojów nie tylko pilnowała samych rozbitków, ale baczyła przede wszystkim na to, by inni Antandroje cennego łupu po drodze jej nie zwędzili.

Król — a był to słynny wojak Andrian-Kirindra — uroczyście powitał Anglików hojną ucztą i uradował ich oświadczeniem, że Bóg mu ich zesłał. Dopiero w następnych dniach rozbitkowie dowiedzieli się, na czym polegała łaska boska: Kirindra miał na zachodzie szkaradnych wrogów Mahafalów, silniejszych niż on, ale teraz, kiedy tak cudowna spadła mu z nieba pomoc w postaci tylu Anglików, postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia i uderzyć na nieprzyjaciela wraz z nowymi sojusznikami.

Na te słowa rozbitkom zrzedły miny i ludzie ducha stracili, ale dwóch starych jeńców Kirindry, angielscy kapitanowie Drum-mond i Steward, korzystając z obecności tylu nowych Anglików, znalazło zuchwałe wyjście: porwawszy króla i jednego z jego synów jako zakładników i zagarnawszy strzelb, ile się dało, wymogli na Antandrojach wypuszczenie ich wszystkich ze stolicy. Zamach się udał i Anglicy ruszyli w stronę Fortu Dauphin, oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów w linii powietrznej. Panował tam król Samuel, wróg Kirindry, więc przyjaciel rozbitków.

W czasie tych brzemennych w wydarzenia dni w stolicy króla Kirindry młodociany Robert Drury przeżywał przygodę, która go do głębi zatrwożyła. Mianowicie dwunastoletnia córka króla zapalała do białego młokosa tak opętaną namiętnością, że na gwałt chciała mu się oddać. Ale on, rzetelnie przerażony, jeszcze nie obyty z kobietami, nie wiedział, jak do tego się zabrać i co zrobić z takim szczęściem. Przedsiębiorcza królowna, dygocząc ze strachu przed groźnym ojcem, kazała w nocy sprowadzić do siebie wybrańca, lecz matka jej w czas się wdała w te kombinacje. Wybawiła chłopca z opałów, wysyłając kochliwą smarkulę ze stolicy. „Przygoda — pisał później Drury — która sprawiłaby wiele przyjemności komu innemu, stała się dla mnie źródłem przestraszenia i przykrości.”

Ucieczka Anglików, tak szczęśliwie poczęta, skończyła się tragicznie. Do zguby

doprowadziły głupota i maniacka ufność kapitana Younge'a, niewiarygodnego idioty. Dniem i nocą bandy Antandrojów następowały na pięty Anglikom, więc Younge myślał, że dzikusom chodziło tylko o ich króla; zatem odesłał go wojownikom, by się od nich uwolnić. Wszakże hordy nadal goniły, więc Younge zgodził się na uwolnienie królewicza w zamian za trzech antandrojskich wodzów. Ale i teraz prześladowcy nie odstąpili, więc Younge znowu pomyślał, że im chodzi głównie o strzelby — i zwrócił im strzelby pomimo ostrego sprzeciwu rozsądnych towarzyszy, Drummonda i Stewarda. Ci dwaj widząc samobójcze pociągnięcia niepoczytalnego kapitana, następnej nocy uciekli od reszty i to była ostatnia chwila: o świcie Antandroje napadli na obóz Anglików i bezbronnych wycieli wszystkich wraz z Youngiem w pień, wszystkich dorosłych: tylko naszego chłopczyka i niektórych wyrostków zachowali przy życiu. Tak oto Robert Drury został niewolnikiem srogięgo wodza Andri-Mahavariana, wnuka króla Kirindry.

Uporczywość, z jaką Antandroje ścigali Anglików, pochodziła stąd, że biali przedstawiali wtedy na południu Madagaskaru tak niezmierną wartość i stanowili tak ważny atut polityczny: skoro Anglicy nie chcieli sprzymierzyć się z Antandrojami, należało ich zniszczyć, ażeby nie stali się sojusznikami i chlubą wrogów w rodzaju króla Samuela z Fortu Dauphin. Zatem wytepiono oddział Younge'a.

Drury, w myśl obyczaju, jako niewolnik niejedną raz musiał całować stopy swemu panu, a że był to straszny brutal pełen nieobliczalnych szusów, życie młodego wisiało dniem i nocą na włosku. Nieborak popłakiwał w rozpacz, a niewiasty litowały się nad nim w tajemnicy przed panem. Tenże wyruszając na wojenki przeciw Mahafalom, a także przeciw swym kuzynom, ziomkom Antandrojom, powierzał białemu niewolnikowi pieczę nad stadami bydła i nad kobietami.

Kiedyś młodzianowi nadzieja zabłysła: Drummond wraz z królem Samuelem i licznym orszakiem przybył z Fortu Dauphin do Antandrojów, by wykupić jeńca za dwie kosztowne strzelby, nader hojną zapłatę. Nic z tego nie wyszło. Nieludzki Mahavariana nie myślał rozstać się ze swą ofiarą, doszło nawet do potyczki z przybyszami i znowu pan chciał zarżnąć niewolnika, już nie wiadomo po raz który.

Tak płynęły lata. Drury wyrósł i już nie płakał, nie rozpaczał, nabrał ramion i odporności. Stał się niby Antandrojem, wzył się we wszystkie zwyczaje szczepu, chodził nago, nie przejął tylko całej jego dzikości. Skóra mu zbrązowieła, ale w duszy pozostał Europejczykiem.

Pan, lubo nie poniechał wybuchów okrucieństwa, z biegiem lat darzył go większym zaufaniem i powierzywszy mu strzelbę, zabierał go na swe wyprawy wojenno-rabunkowe. Któregoś dnia napadli na wieś nieprzyjacielskiego króla i podczas walki Drury wziął do niewoli żonę i córkę przeciwnika. Córkę natychmiast zagarnął dla siebie, bo była młoda i nadawała się na żonę, matkę zaś oddał panu. Tenże, zachwycony zachłannością białego niewolnika, pochwalił jego drapieżny czyn, i obdarzył go w przystępie hojności dwoma krowami. Posiadł zatem Drury i dobytek, i żonę-nie-wolnicę. W nocy przywiązał brankę do siebie mocnym powrozem, ażeby mu nie uciekła, ale ona z tego się śmiała: nie chciała uciekać.

Pomimo objawów rzadkiej przychylności raz wraz ponosiły pana dzikie kaprysy, za nic sobie miał on życie ludzi, a szczególnie Drury wciąż odczuwał na własnym ciele srogość gnębiciela. Często, na dowód swego upokorzenia, musiał lizać jego stopy.

Tymczasem na całym południu Madagaskaru zanosilo się na wielką wojnę kilku na raz szczepów i wiele tysięcy wojowników postanowiło wodzić się za łby. Wojna powstała z tej przyczyny, że zadzierzysty król Mahafalów, Kosintany, psa swego nazwał obraźliwie Ravovona, a było to imię króla krainy nad rzeką Fihe-herana, sąsiada od północy. Ravovona, nie mogąc znieść hańby, pchnął posłów do Antandrojów, zaciętrzewionych wrogów Mahafalów, i uchwalono wrzepić wspólnymi siłami krwawe baty bezczelnym łobuzom Mahafalom.

Rzeka Fiheherana wpadała niedaleko Zatoki Sw. Augustyna do morza. Malgaze tamtejsi byli otrzaskani od pokoleń z białymi przybyszami na statkach i nabyli pewnej oglady, więc gdy Rano-ana, poseł obrażonego króla, ujrzał Roberta Drury, rozplakał

się z litości nad jego losem. Chciał go wykupić, ale okrutny jak zwykle Andria-Mahavariana szorstko odmówił.

Zdarzenie z posłem okazało się zwrotnym punktem w dziejach rozbitka. Drury poznał, że i Malgaszę bywali szlachetni i dobrego serca i ta świadomość jak gdyby przywróciła mu nowe siły. Północ, skąd przybył Ranoana, nęciła wolnością, więc gdy szczepy gotowały się do wielkiej rozprawy, Drury, pożegnawszy się czule ze swą żoną, uciekł od groźnego pana i zaczęła się dziwna odyseja.

Bardziej na północy inny wódz Antandrojów, światlejszy niż reszta, gościnnie przygarnął zbiegła, ale wkrótce nabrawszy ochoty chciał i on także zatrzymać go sobie na stałe jako niewolnika. Więc Drury korzystając z ogólnej zawieruchy, znowu umknął, przez tygodnie dążył ku północy, żywiąc się korzeniami fangitsa, aż wreszcie dotarł do okolic Zatoki Św. Augustyna i znalazł życzliwych wodzów, gotowych mu pomóc do wyjazdu z Madagaskaru.

Tymczasem wojna na dobre rozgorzała. Mahafalowie potężnie przetrzepali Antandrojów, zabili im króla Kirindrę i sposobili się uderzyć na północ, na Zatokę Św. Augustyna, gdy w owych stronach uprzedzili ich Sakalawowie, którzy przybyli z północy. Drury niestety wpadł w ręce tych nowych wrogów i z kolei stał się niewolnikiem. Zawlekli go daleko na północ i między innymi musiał on służyć wodzowi Ravovy, który był synem króla w Morondawie.

Trudno opisać niewiarygodnie zmienne przeżycia Drury'ego w następnych latach. Obijał się po krainie Menabe, był na wozie i pod wozem. Bywał powiernikiem i przyjacielem niektórych królików, inni, despoci, chcieli go zabić. Ale ówczesni Sakalawowie to nie dzicy Antandroje, nie mieli już tak zakutych łbów. Często zawijały statki, przeważnie angielskie, do ich portu w Moronda-wie i tubylcy przywykli do białych ludzi, niektórzy nawet znali angielskie słowa. W Mahabo, stolicy królestwa Menabe, Drury poznał angielskiego kapitana Williama Thornbury, który przebywał tu z własnej woli od dziewięciu lat i chwalił sobie to życie. W tymże Mahabo panował naczelny król krainy Menabe, Ra Tsimanongarivo, a był to władca równie mądry i sprawiedliwy jak natrząśnięty. Słynął ze swoich nawyków: na cześć każdego gościa zabijał niewolnika. Przy całej swej dobroci charakteru miał zwyczaj popadania w chwilowy gniew, gdy podwładni działali mu na nerwy, i wtedy strzelał z muszkietu do tłumu, po czym wszyscy z placu uciekali z wyjątkiem tych, którym los nie okazał się łaskawy.

Wiadomość o istnieniu angielskiego rozbitka, wyglądającego już jak rodzony Malgasz, docierała do statków, przybijających na zachodnie wybrzeże Madagaskaru i przeniknęła także do Anglii, a tu do ojca Drury'ego. Od niego syn dostał pewnego dnia w głębi wyspy serdeczny list i równocześnie wiadomość z wybrzeża, że kapitan William Mackett na statku „Drake” przyplłynął i zabierze go do Anglii. Wódz Ramoma, ówczesny pan Drury'ego polubił białego sługusa i chciał go zatrzymać obietnicą obdarowania go dostatkiem oraz tłumem niewolników i żon, ale Drury nie dał uwieść się pokusie. W drodze do wybrzeża jeszcze zahaczył o Mahabo i pożegnał się z królem Ra Tsimanongarivo, szlachetnym cholerykiem. Stary pasjonat przeproszał go za swą porywczosć, a Drury ucałował mu na pożegnanie stopy, „ostatni raz w moim życiu”. Wódz Ramoma, który odprowadzał białego nad samo morze, dostał od kapitana Macketta na otarcie łez wspaniałą muszkiet.

Dnia 9 września 1717 roku Drury wrócił do ojczyzny, po szesnastu latach i dziewięciu miesiącach nieobecności.

Na tym skończyłyby się niezwykle dzieje białego rozbitka na Madagaskarze, gdyby Drury nie był typowym Anglikiem, świetnie znającym stosunki malgaskie, i gdyby ówczesnej Anglii nie trawiła gorączka zbijania fortun na handlu niewolnikami. Jeszcze dwa razy Drury przybył na Madagaskar i wywiózł stąd na angielskim statku brązowy ładunek do Wirginii. Nieźle się dorobiwszy, zamieszkał potem w Londynie, chodził codziennie do kawiarni „Old Tom” na Birchın Lane i chętnie tam opowiadał o swych przygodach, zanim wydał je spisane w książce.

Gdy Drury wrócił w 1717 roku do Londynu i stanowił dla Anglików nie lada sensację,

przeżycia jego wielce zaciekały pisarza Daniela Defoe i natchnęły go — jak można przypuszczać — do stworzenia najpoczytniejszego na świecie, oprócz *Biblii*, dzieła literackiego: *Robinsona Cruzoa*. Pamiętnik Drury'ego oczywiście nie zrobił tak fantastycznej kariery jak książka Daniela Defoe, ale przecież także miał wybitne powodzenie: po raz pierwszy wyszedł z druku w 1729 roku i już w dwa lata później ukazał się w drugim wydaniu, a potem co pewien czas przypominał się ludziom w nowych edycjach przez dwa bite wieki.

Do rąk moich dostało się francuskie wydanie *Pamiętnika* z 1906 roku: piękna żywotność podróżniczej książki, ciche marzenie Fiedlerów, Budrewiczów, Wolanowskich, Szwarz-Bronikowskich.

Tranzystory i demony

W centrum Ampanihy rozciągał się olbrzymi plac targowy, a brzegi jego obsiadły, niby kleszcze niby mszyce — sklepy i kramy hałastry kupieckiej, naleciałej tu z różnych stron świata: byli tu Hindusi, Kreole z wyspy Reunion, Komoryjczycy, Chińczycy, Merinowie. Kupcy na tej jałowiźnie chyba nie zbijali kokosów. Stanowili wyraźnie obcy, pasożytniczy element.

W jednym dniu tygodnia, w piątek targowiskowy, plac powracał we władanie tubylców i napełniał się żywiołem maha-falskim. Kilkuset pasterzy ściągało tu z broussy, przeważnie z dalekich wertepów, i przypędzało na sprzedaż bydło, owce i kozy.

Spędzano tu zawsze więcej bydła, niż dało się sprzedać, i ktoś bywało wyjaśnił mi psychiczną stronę zjawiska. Dawniej szczytem marzeń tutejszych zuchów była kradzież bydła, najlepszy sprawdzian męskiej dzielności. Ale od kiedy porywanie bydła (a także kobiet) wyszło z mody, a władze coraz mniej okazywały respektu dla junaczej fantazji, Mahafalom pozostała jedna pociecha i jedyna chluba: przypędzać swe stada do Ampanihy i szczyć się ich posiadaniem. Więc plac rozbrzmiewał gęstym rykiem bydła tudzież beczeniem owiec i kóz. A gdy wałęsałem się owego piątku wśród pasterzy, wyraźnie wyczuwałem szczególną dla nich wagę panującego tu zgiełku bydła tudzież wagę bydłowego zaduchu. Tego dnia mahafalscy pasterze byli w swoim żywiole, czuli się szczęśliwi, niektórzy z rozkoszy prężyli ramiona.

Ale pomimo tych pozorów czegoś tu brakło. Przed trzydziestu laty południowe szczepy lubiły ozdabiać swe łepetyny kunsztem dziwnych warkoczów i uprawiać muzykę na różnych instrumentach, a na bębnach wybijać dzikie rytmy. Przypomniałem sobie, z jaką żarliwością pewien Antandroj chwycił ongiś za walię i wybijał z jej strun pieniste dźwięki, nucąc pieśń o zwycięstwie i porywaniu bydła. Dziś nic podobnego na targowisku w Ampanihy. Żadnej muzyki ni tańców, ni śpiewnych poryków, a na wełnia-stych głowach sterczały dandysom prozaiczne grzebienie importowane z Francji, wetknięte we włosy jako ostatni krzyk niegusto-wnej nowoczesności.

Lecz, cicho sza! Cóż to? Przystanąłem, by lepiej dosłyszeć. Dobiegała mnie z grupy pastuchów niezwykła muzyka: jakieś skoczne tony rumbi. Nie do wiary: rumba? Rumba tu u Mahafalów? Zbliżywszy się odkryłem źródło muzyki. Tranzystor. Jeden z pasterzy miał ową czarodziejską skrzyneczkę i ze znanstwem wyszukiwał z eteru miłą dla dzisiejszego ucha melodię. Okazało się, że na placu było więcej tych skrzynek: inni Mahafalowie mieli również tranzystory i był to ponoć największy magnes na dziewczyny. Dawniej kawaler musiał być arcyzłodziejem bydła; dziś wystarczał mahafalskiemu playboyowi tranzystor i ramatu była jego.

A dziewczyny? Młodych było stosunkowo mało na targowisku, ale wszystkie nieszczęsne dziewczyny nosiły okropne biustonosze, marnie skrojone i zniekształcające im ciała. I znowu melancholijne wspomnienie: ongiś, przed trzydziestu laty, z jak przyjemną dumą krasawice tutejsze wystawiały na pokaz swe foremne piersi!

Gdy wróciłem na obiad do Schomerusa, byłem żartobliwie rozszalony na te nowe czasy, że tak okrutnie obeszły się z dawnymi obyczajami i wszystko jakoś nieludzko zmieniły. Gospodarz zaśmiał się i był innego zdania. Nie wszystko się zmieniło: to, co widziałem, to tylko pozory, słabiutki lakier, pokrywka, pod którą prawie wszystko pozostało jak

dawniej. A zwłaszcza dawne zabobony.

Ażeby nie być gołosłownym, po obiedzie (pomimo wściekle palącego słońca, które gospodarzowi widocznie nie szkodziło) Scho-merus wyprowadził mnie niedaleko na roгатki osiedla i wskazał na ubogą, nie zamieszkaną chatę: jakiś Malgasz zaczął ją tu stawiać, ale przed rokiem przerwał i od tego czasu nie kończył budowy.

— Może zmienił zdanie? Może się rozmyślił? — wyraziłem przypuszczenie. — Przestał lubić to miejsce?...

— Nic podobnego! — zapewnił Schomerus. — Wyjaśnienie znacznie prostsze: facet boi się złych duchów i chce je oszukać. Gdyby od razu wykończył chałupę, demony mogłyby pękać z zazdrości i starać się szkodzić jemu i rodzinie...

— To położył krzyżyk na chałupie?

— Nie. Ale podejmię budowę chaty na nowo, gdy duchy się uspokoją, przestaną mu zazdrościć i zapomną o nim, za rok, za dwa...

Kroczyliśmy przez część Ampanihy, w której od 'dawien dawna mieszkali wyłącznie Malgasz. Chaty stały tu w pewnym od siebie oddaleniu, właściwie w pustym polu: żadnych roślin doko-

ła zabudowań, ni krzaków, ni drzew użytecznych. Nie tworzyli tu ludzie ogrodów warzywnych, nie zakładali sadów owocowych. Nie dbali o owoce ani o cieniłą zieleń.

— Czy wie pan — wyjaśnił Schomerus — dlaczego oni nie posadzili sobie drzew?

— Zapomnieli! — pożartowałem.

— Nie zapomnieli: lepiej. W ich mniemaniu, sadząc sobie drzewka, związałyby się magicznie z krótkotrwałym żywotem roślin. Drzewa mają przecież ograniczony okres życia i ludzie sadzący je musieliby tak samo wcześniej umrzeć!...

— Do diabła! — wyrwało mi się. — To jak długo żyją tu wasze drzewa?

— Do stu lat, do dwustu lat...

— A ludzie?

— Do czterdziestu lat, do pięćdziesięciu...

— Więc jaka to kalkulacja? Trochę kuleje ten ich przesąd?

— A od kiedy przesady precyzyjnie kalkulują? — uśmiechnął się.

Jego słowa oczy rozigrały się dobrotną drwiną.

Karen Blixen w swej uroczej książce o Afryce pisała, że sadzenie drzew było szlachetnym zajęciem, że sprawiało zadowolenie jeszcze wiele lat później — niestety tak nie było w pojęciu Mahafalów, zagorzałych pasterzy-koczowników.

— I pomimo tylu zabobonów pan ich tak bardzo lubi? — spytałem nie bez podziwu.

Jego drwina natychmiast ustała. W twarzy energicznej, lecz srodze pomarszczonej nie tyle od wieku, co od słońca — rozlała się niezwykła łagodność.

— Nie: mimo to — rzekł ciszej — lecz dlatego. Może dlatego ich lubię, właśnie dlatego, że jeszcze tacy ciemni i bezradni w tym dzisiejszym świecie, pędzącym naprzód w swym technicznym postępie...

Od kiedy przybyłem do Ampanihy, wszystkie noce dudniły głuchym biciem bębna, a równocześnie rozlegał się od czasu do czasu huk wystrzałów z broni palnej. Brzmiało to jakoś groźnie, przypominało dawne wojny Mahafalów, ale w istocie było tylko objawem żałoby: przed kilku tygodniami zmarł chłopiec mahafalski i rodzina, zgodnie ze starym zwyczajem, przechowywała jego cuchnące zwłoki w chacie, nieustannie bijąc w bęben, by odpędzać szkodliwe duchy od zmarłego.

— Oddźwięk dawnych, heroicznych czasów, gdy awanturnicze demony urozmaicały ludziom życie! — stwierdziłem z żartobliwą emfazą, niemal rozrzewniony.

— Za przeproszeniem! — potrząsnął Schomerus głową. — A słyszy pan te nocne strzały?

— Niestety, słyszę! Budzą mnie ze snu.

— To już nie dawne czasy i nie przepędzanie demonów — westchnął gospodarz z cierpką jowialnością — to całkiem prozaiczny osad paskudnej nowoczesności: po prostu marna, małomiaste czkowa pycha każe im pukać ze strzelby...

I wyjaśnił. Rodzina zmarłego chłopca miała w Ampanihy najgorszą opinię: byli to złodziejaskowie, kanciarze i wydrwigrosze i ściągali na siebie ogólną pogardę. Nawet wyrozumiałemu Scho-merusowi działali na nerwy. Więc gdy umarł im chłopiec, smutną sposobność wykorzystali na to, by światu pokazać, że sroce spod ogona nie wypadli. Zaczęli po nocach grzmocić na wiwat, niby na cześć zmarłego, ale w rzeczywistości dlatego, żeby ludziom zaimponować swą rozrzutnością: każdy nabój kosztował sto franków. Tak w głupi sposób przetrwonili już kilka tysięcy franków, podczas gdy lekarstwa za kilkaset franków kupione w czas, prawdopodobnie uratowałyby młokosowi życie.

— Lekarstw nie kupili — kończył opowiadanie Schomerus — ale ich próżności staje się zadość: typowe piętno dzisiejszych czasów!

Historia była ciekawa, ale ta ocena dzisiejszych czasów jakoś nie bardzo trafiała mi do przekonania.

— Piętno dzisiejszych czasów? — zaprzeczyłem. — To ludzka pycha nie jest stara jak świat? To próżność ludzi dziś dopiero się narodziła?...

Natomiast bardzo nowoczesne było zachowanie się władz lokalnych. Lekarz powiatowy, Howa, rodem z Tananariwy, nie śmiał żądać od Mahafalów pogrzebania zwłok, ażeby nie urazić ich szczepowej tradycji. Ale szczęście mu sprzyjało: któreś nocy wsadzono do strzelby zbyt dużą porcję prochu i lufa pękając zraniła strzelającego. Więc teraz lekarz wkroczył, zabronił grzmocenia i kazał natychmiast pochować zwłoki. Mahafalowie usłuchali.

Zdrowy rozum wziął górę, a nowożytnym władzom udało się narzucić obywatelski posłuch.

— Udało się — przekornie objaśnił Schomerus — bo Mahafalowie uwierzyli, że to demony rozerwały im strzelbę i raniły człowieka...

Dźwięczało to jak bukolika

Po wielomiesięcznej posusze nocna burza z ulewą, choć krótkotrwała, do głębi wstrząsnęła przyrodą i ludźmi. Rośliny, wyrwane ze snu, buchnęły gwałtownym życiem i ludzie także odżyli. Gdy wkrótce pewnego poranku wybrałem się z Schomerusem i Frau-lein Doktor autem do grobów w świętym lesie nad rzeką Mena-randra, koła pojazdu pluskały po drodze w kałużach i to było przejmujące. Świat wydawał się całkiem nowy, oczyszczony, choć pijany; był bez kurzu, i wchłanialiśmy go sami oszołomieni, nie dowierzając własnym zmysłom. Wchłanialiśmy zarazem sielanekę i kolczastą grozę i przeżywali dziwne nasilenie radości.

Motyle. Jeszcze kilka dni temu w suchym jak wiór buszu nie było ich wcale, nie było i innych owadów. Teraz motyle fruwały wesoło nad drogą i siadały przy kałużach, by wysysać wilgoć z piasku, a gdy wznosiły się w powietrze, wiarę dawaliśmy Mal-gaszom, że to dobre duchy. Jakże nie wierzyć, skoro były to szlachetne olbrzymy antenory i lazurowe oribazusy. Niebieskich lotników, oribazus, ujrzałem na Madagaskarze po raz pierwszy w tej podróży: lazur skrzydeł urzekająco błyszczał w słońcu i motyle przypominały cuda znad Amazonki, Morphy.

A obok motyli — zwariowana roślinność wyśniona przez obłądnego twórcę; zdziwaczały płód przyrodniczego schizofrenika; szaleństwo, szmira i maniackie arcydzieło. Zalatywało Witkacym. Las żywy, a jednak bez liści na oko. Parodia wszelkiej dorzeczności, jaką sadystyczna fantazja mogła wyroić: a więc monstrualne hydry, ośmiornice, węże na głowie Meduzy, kandelabry, kikuty, straszidła apokaliptyczne, brzuchate worki intrygujące, korale gigantyczne — wszystko, tylko nie uczciwy las, który wrósł w nasze normalnoludzkie pojęcia. I żeby jeszcze spotęgować wrażenie upiorności, wszystko to najeżone było kolcami; okrutne kolce zamiast liści pokrywały pnie i gałęzie.

Gdy pułkownik Lyautey przeszło pół wieku temu widział niesamowity las południa, stanęły mu w pamięci Goya i Dore, a także Riou. Dzisiejsze doznania szły nieco innym torem, chwytaly mocny smak paradoksu. Barwny i jakże miły dla oka przepych motyli

— obok zajadłej kolczastości roślinnych czupiradeł. Nastroszenie wrogich dziwadeł — a obok my w samochodzie. Ale jakże tę ciernistą wrogość brać poważnie, skoro doznawało się jej poprzez rytm motoru, a obok mnie siedział zrównoważony Schomerus, wielbiciel Gauguina, kierownik kopalni granatów, kawaler Verdienst-orderu. Więc łagodniała zhora roślinnych straszyleł i była już tylko groteskowym cudactwem, nie pozbawionym powabu.

Po drodze — jeśli drogą nazwać ów prymitywny dukt przez wertepy — mineliśmy dwie małe wioski, ale zgodnie z koczowniczym zwyczajem Mahafalów w pierwszej nie zastaliśmy żywej duszy, w drugiej tylko kilkoro mieszkańców. W pierwszej wsi Schomerus zwrócił uwagę na rzadkie w tych stronach rośliny, kaktusy raikety. Dawniej całe południe Madagaskaru porastało jednym gąszczem dobroczynnych kaktusów, dających sute pożywienie nie tylko ludności, ale i bydłu, a przy tym stwarzające niedostępne kryjówki rozbójniczym wojownikom. Owego gąszczy władze kolonii nie lubiły i odetchnęły w roku 1925, gdy czerwiec koszeniła, importowany z wyspy Reunion, rzucił się na smaczne kaktusy i niebawem do cna je wyżarł, ogołocając całe połacie południa.

Obecnie kilkaset kaktusów raiket, zasadzonych w pierwszej wiosce, okazało się istnym błogosławieństwem dla mieszkańców. Do niedawna tutejsi ludzie musieli swe bydło pędzić do odległego wodopoju dwa razy w tygodniu, mordęga raczej uciążliwa. Dziś czynili to jeden raz na dziesięć dni, gdyż kaktusy, stanowiące treściwą karmę dla bydła, jednocześnie gasiły jego pragnienie. Więc kaktus raiketa wszedł znowu w łaski władz krajowych, tym razem już Republiki Malgaskiej, i przestano się bocyć na kolczastego gościa.

Druga wioska miała także swą ciekawostkę, bo była skupiskiem dziwnych ludzi: więźniów, odsiadujących tu na wolności swą karę. Władze w Ampanihy, nie chcąc karmić w więzieniu przestępczych darmożjadów, wpadły na Salomonowy pomysł. Przysłały skazańców do tej wioski, gdzie zesłani zbudowali sobie normalne chatki, ściągnęli do nich swe rodziny, uprawiali dla siebie to wszystko co inni Mahafalowicze, a władzom w Ampanihy dostarczali tylko od czasu do czasu paliwa z buszu. Poza tą jedną powinnością żyli wolni jak te ptaszki niebieskie, przez nikogo nie krępowani...

— Przez nikogo? Ale chyba stróż jakiś ich pilnuje?

— Nikt ich nie pilnuje! — odrzekł Schomerus. — Nawet stróża nie mają! Każda ucieczka z tej „karnej wioski” znaczyłaby pogorszenie sobie warunków bytu. Tu więźniowie żyją sobie jak u Pana Boga za piecem, a władze także wychodzą na swoje: nie karmią więźniów i drewno mają za darmo...”

Dźwięczało to wszystko jak bukolika, zamigotał gdzieś z daleka szacowny J. J. Rousseau. Więźniowie (z odległości) mieli zadowolone miny, motyle krążyły również i w tej wiosce, więc gdy zaczęliśmy się zbliżać do świętego lasu, patrzyliśmy z zadowoleniem na świat, na siebie i na groteskowe drzewa.

Napięcia w świętym lesie

Oddaliliśmy się od Ampanihy o dobre czterdzieści kilometrów i droga już prawie nie istniała. Schomerus kierował się wycuciem, gdy zatrzymał samochód i oświadczył, że przybyliśmy na miejsce. Wszędzie otaczał nas ten sam busz kserofitowy, kolczasty i dziwaczny, wysoki na pięć do sześciu metrów, a że bez liści, więc przejrzysty na kilkadziesiąt kroków.

Gdy motor przestał warczeć, zapadła dokoła nas cisza absolutna. Nie było najmniejszego wietrzyku. Knieja, otaczająca nas, stała bez ruchu i w zupełnym milczeniu: można by pomyśleć, że święty las Mahaialów dostrajał się do swej roli i rozlewał uroczysty spokój.

Ale nie, nie było doskonałej ciszy. Po chwili coś w powietrzu zaczęło nieśmiało kwilić. Głosik był tak słabutki, że nie dało się stwierdzić, skąd przybywał i kto go wydawał. Ale chociaż ledwo dosłyszalny, sprawiał przyjemną ulgę: święty las nie był martwy.

Schomerus odwiedzał to miejsce już kilka razy i kiedyś zrobił nacięcia na pniach, by

łatwiej dostać się do grobu, ale znaków nie mógł teraz odnaleźć; może zarosły. Mniej więcej wiedział, jaki należało obrać kierunek, i w tę stronę poszliśmy.

Grób leżał ponoć nie dalej niż ćwierć kilometra od drogi i dość łatwo kroczyło się w niegęstych zaroślach. Lecz przebrnęliśmy spory kawał i grobu nie znaleźliśmy. Wróciwszy do samochodu, od nowa spróbowaliśmy szczęścia — znowu daremne błędzenie. Więc rozstaliśmy się i każdy osobno szukał na własną rękę, bacząc jedynie, by nie stracić towarzysza z oczu.

Gdy znalazłem się sam, zmysły moje zaczęły działać bystrzej, oczy widzieć lepiej i więcej. W kilku miejscach uderzył mnie fantastyczny zapach, zawsze ten sam. Jakieś wyszukane francuskie perfumy z mirrą, kadzidłem i miodem — a tak intensywne, że stawałem przejęty, rozglądając się po nagich krzewach-kikutach. Nie mogłem odkryć pachnidła. W kolczastej gałęźni nie dostrzegłem żadnych kwiatów. Wyspy wonności były tajemniczym zjawiskiem.

Z daleka ujrzałem na ziemi osobliwą, żółtawą kopułę, odcinającą się od szarego tła. Podchodząc doskoczyłem z nagłej radości: żółw. Wielki leśny żółw, sokatra, o pięknym rysunku czarno-żół-tym na kulistej skorupie, płaz ważący przeszło piętnaście kilogramów. Aż dziw, czym taka bestia się żywiła w tym lesie bez liści.

O ucieczce żółwia nie było mowy, natomiast ze mną stało się coś osobliwego. Poniosła mnie pasja barbarzyńskiego łowcy i zapalałem gwałtowną żądzą posiadania łupu. Krzyknąłem do Scho-merusa, by szybko przyszedł.

Przyszedł, spojrział z ciekawioną, pokiwał głową.

— Żółw! — rzekł bez zapału, choć ze szczególnym tonem w głosie.

Gdy dowiedział się o mojej chęci zabrania trofeum ze sobą, obrzucił mnie rozbawionym spojrzeniem:

— To pan chce, żebym miał rewolucję w domu? Żeby mnie wszyscy Mahafalowie przeklęli i opuścili ze wstrętem?

— To żółw aż takie fadi? — zdziwiłem się.

— Największe dla nich fadi! — potwierdził. — Woleliby umrzeć, niż dotknąć sokatry! Kto by jej dotknął, przepadłby w ich oczach na zawsze! Nie zabierzemy żółwia!

Przyznałem mu słuszność, był to dziecinny poryw. Ale zastanawiając się, dlaczego mnie tak poniosło, doszedłem do ciekawego wniosku: monotonia szarzyzny w świętym lesie była widocznie tak silna, że gdy żółw pojawił się przede mną jak barwna, czarno--żółta pokusa, porwało mnie i wpadłem w nadmierny zachwyt; w tym pozornie martwym świecie kolczastych pni i chrustów łatwo było ulec czarowi żywej plamy.

Znowu się rozstaliśmy i tym razem Schomerus zaczął po chwili wołać, bym pośpiesznie przybiegł do niego.

— Sifaki! — był przyjemnie podniecony i wskazywał na wierzchołki drzew, gdy znalazłem się w pobliżu. — Stado sifak!

Sifaka to biały lemur o brązowej lub czarnej głowie, typowy mieszkaniec południowego Madagaskaru, jeszcze jeden zwierz wysoce fadi u tutejszych Malgaszów. Mahafalowie, pełni dla niego czci, uważali go za niezwykłą istotę.

Sifak było kilka, rozproszonych na szczytach drzew. Zaskoczone naszym pojawieniem się, zmieszane, ale niezbyt przerażone, raczej ciekawością zdjęte, nie wiedziały, co czynić: uciekać czy nie uciekać. Były wzruszająco śmieszne, gdy z góry wytrzeszczały ku nam zdumione ślepska i coś między sobą z cicha popiskiwały, szybko się naradzając. W końcu postanowiły oddalić się i zaczęły skakać z drzewa na drzewo, bynajmniej nie w popłochu. Wykonywały imponujące skoki.

Wielkości wyrosniętych kocurów, podobnie jak inne lemury miały zwinne ruchy małp, a pyski poczciwych psów. Obfитоścią mózgu sifaki ponoć nie grzeszyły i pochopni ludzie lekko się wyrażali o ich zdolnościach myślenia, ale charakteru odmówić im nie mogli: sifaki nigdy nie poddawały się ludzkiej niewoli i schwytane zawsze szybko ginęły.

Ostatnią sifakę wziąłem na cel rolleflexem i zacząłem ją fotografować. Była nie wyżej niż cztery do pięciu metrów. Jak wiele ludzi nie lubiła zdjęć, więc zmykała potężnymi susami, ale ja doganiałem ją łatwo. Wreszcie znudziło jej się bezskuteczne uciekanie i

przywarła do pnia na szczycie drzewa didiery. Nie myślała więcej się ruszać. „Sifaki — pisał doskonały znawca fauny Madagaskaru, Raymond Decary — nie uciekają na huk wystrzału; to zwierzęta bez zmysłu obrony”.

Ale moja sifaka nie dała za wygraną. Siedząc uparcie na drzewie, zaczęła się przekomarzać ze mną delikatnym piskiem i wyraźnie mnie przekonywać, żebym sobie odszedł. Patrzała mi przy tym poważnie w oczy i jak gdyby dodając wagi swej argumentacji, raz po raz podnosiła głosik i kiwała głową. Była przejmująco urocza, a ja ją migiem fotografowałem.

Potem chciałem mieć jej zdjęcie w skoku z drzewa na drzewo, więc zacząłem ją przepłaszać krzykiem. Na nic, nie ruszyła się. Gdy nalegałem tubalniej szym głosem, nastąpiła pewna zmiana w jej postępowaniu. Przestała przekomarzać się ze mną i już nie piszczala, natomiast uciekła się do proszenia. Ledwo dosłyszalnym dźwiękiem kwiliła tak błagalnie, tyle było w tym ciepła, że po prostu zdębiałem. To jakby serdecznie błagało dziecko albo czule zaklinała ukochana kobieta, pojawiająca się w tajnych snach męskich.

Stałem bezradny, ale Schomerus przyszedł mi z pomocą: zaczął energicznie klaskać w dłonie. Sifaka tego nie wytrzymała. Skoczyła, wykonała należyłą akrobację, ja pstryknąłem, po czym ona, już nie zatrzymując się, żwawo jak błyskawica pośpieszyła za swoimi do stada.

Urok przysł.

Święty las nazywał się Ankirikiriky.

Ostatni król Mahafalów

W końcu odszukaliśmy grób, znajdował się niedaleko w gąszczu. Grób ostatniego króla Mahafalów, słynnego Tsiampondy, srogiego za młodu zabijaki, a później pozyskanego przez pułkownika Lyautey, wiernego sojusznika Francuzów. Był to niewątpliwie największy król w dziejach Mahafalów i gdy w 1912 roku umarł, rodacy zbudowali mu grób tak okazały, jakiego nie było dotychczas w tej krainie. Był to kamienny kwadrat o bokach czter-dziestometrowych.

Na stypę, która trwała ponoć pięć miesięcy, przypędzono tysiąc sześćset sztuk bydła i dwa razy tyle baranów i kóz, by to' wszystko zarznąć i zeżreć na cześć zmarłego. Tysiące rozpromienionych żałobników przywędrowało nie tylko ze szczepu Mahafalów, lecz i z dalszych stron, nawet z pastwisk szczepu Bara, i do nieprzytomności opychało się mięsiwem i zalewało rumem. Setki płaczek wspaniale wyło dniem i nocą, a kto żyw, upajał się nie tylko wódką, lecz i odorem krwi, i nieustannym łomotem bębnow, i trąbieniem konch morskich, a przede wszystkim nieposkromioną orgią i rozpasaniem zmysłów. W żałobnej uroczystości nawet bydło brało udział, bo zanim szło pod nóż ofiarny, musiało przeciągać obok grobu i piekielnym rykiem doskonale wyrażać swój ból, ślepia mając posypane pieprzem.

Tsiampondy pozostawił pięć wdów i mniej więcej dwa tuziny dzieci, a za czasów dawnych wojaczek władał hufcem do ośmiu tysięcy wojowników. Był nie tylko najpotężniejszym wodzem w tej części Madagaskaru, ale ponadto pochodził z najszlachetniejszego rodu, Maroserana, twórcy od siedemnastego wieku wszystkich prawie królestw na południu i zachodzie wyspy. Więc rodzina potężnego wodza musiała mu wyprawić tak sutą stypę i najprzedniejsi rzeźbiarze musieli przybyć na pogrzeb, by uczcić władcę swym kunsztem, rzeźbami alo-alo. Trzydzieści sześć tych rzeźb, wprost niebywała ilość, przyozdobiło grób króla.

Grób, do którego wreszcie dotarliśmy, czynił wrażenie zaniedbanego. Widocznie taki był tu zwyczaj, że nic nie naprawiano. Niektóre alo-alo, spróchniałe po upływie pół wieku i obluźnione, chyliły się ku ziemi. Nic nadzwyczajnego nie przedstawiały: woły, skromne figury ludzkie, dwóch czy trzech wojaków w kaskach i ze strzelbami w rękę, nieliczne sceny rodzajowe.

Uderzył mnie brak rzeźb erotycznych, jakich wypadało spodziewać się po tak zawadiackim nieboszczyku i po pięciomiesięcznych saturnaliach stypowych. Nie było

tych rzeźb, ale jednocześnie znamieny szczegół rzucał się w oczy: rzeźb naliczyłem tylko dwadzieścia kilka, a było ich kiedyś trzydzieści sześć, jak wszystkie kroniki o tym wspominały.

— Gdzie reszta rzeźb? — zwróciłem się do Schomerusa.

Nie wiedział i doszliśmy do przekonania, że je — na przekór straszliwemu świętokradztwu — usunięto znad grobu. Usunięto, bo swawolne rzeźby zapewne raziły poczucie przyzwoitości jakiegoś świętoszka. Więc i tutaj buszowali brązownicy.

Tsiampondy był dawnymi czasy absolutnym panem rozległej krainy między rzekami Linta i Menarandra, mając w pośrodku stolicę Ampanihy. Dalej na północ istniały jeszcze dwa lub trzy królestwa mahafalskie, ale się nie umywały do jego potęgi ani do jego osobowości. Tsiampondy bystrością umysłu górował nad nimi wszystkimi, był panem całą gębą, panem dumnym i w miarę okrutnym i do rozboju skorym, ale nie pozbawionym poczucia honoru i nawet — jak twierdził Hugues Berthier — sprawiedliwości.

Wychowany w niechęci do Francuzów, których uważał za sprytniejszych rabusiów niż on sam, łupił ich faktorie, gdy przykucnęli na granicach jego państwa, ale potem, zwłaszcza po podboju w 1895 roku, zaczął zdawać sobie sprawę z ich siły. Uświadamiał sobie, że gdy Francuzi z wojskiem przybędą na południe, będzie trzeba stoczyć z nimi ostatni bój i zginąć albo poddać się i straciwszy swe państwo, zostać ich niewolnikiem. Około 1900 roku nadeszła krytyczna chwila. Gubernator Gallie-ni wysłał na południe pułkownika Lyautey z oddziałem Se-negalczyków, by poskromił dwa niesforne szczepy Antandrojów i Mahafalów. Lyautey był nie tylko tęgim wojskowym: miał wiele rozumu i uroku osobistego, a także pewne zdolności dyplomatyczne.

Gdy przybył na południe, zastał cały niemal kraj wzburzony, niektórych królików w jawnej rewolcie, innych wyczekujących dogodnej chwili, by rzucić się na wspólnego wroga. Do tych ostatnich należał Tsiampondy i gdy Lyautey znalazł się w zasięgu jego państwa, mahafalski król postanowił byka wziąć ostro za rogi. Zażądał spotkania się z pułkownikiem, który oczywiście na to chętnie się zgodził.

Lyautey myślał, że Tsiampondy odwiedzi go z nielicznym orszakiem. Trudno opisać osłupienie Francuza, gdy z gąszczu pobliskich kaktusów zaczęła wyłaniać się istna lawina ludzkiego korowodu: oto nasamprzód setka rozhasanych tancerek, następnie orkiestra bębniaków, po nich ludzie huczący na konchach, a po tym wstępie chmara dwóch tysięcy wojowników, nagich, lecz u-zbrojonych w strzelby i dzidy sagaje. Za wojownikami pędzono trzy tysiące sztuk bydła.

Lyautey miał przy sobie zaledwie dwustu Senegalczyków z odpowiednią ilością oficerów i podoficerów. Gdy zrozumiał, że to nieprzyjazny pokaz siły, kazał swój oddział ustawić w szyku jak do parady (albo obrony), sam zaś wystroił się naprędce w galowy mundur, mianowicie w niebieski płaszcz-dolman i spodnie jaskrawo czerwone — i tak powitał mahafalskiego króla. Tsiampondy, typowy barbarzyńca, nie był wolny od próżności: widział, że francuski dowódca wygalował się na jego przyjęcie i to okrutnie pochlebilo jego dumie. Lyautey zyskał w jego oczach.

Drobny to, nawet śmieszny początek, ale niebawem okazało się, że między dwoma dowódcami wynikła jakaś osobliwa przyjaźń i powstał wzajemny szacunek, który doprowadził wkrótce do wojskowego przymierza. Tsiampondy widział dalej niż inni królikowie i wojnę z Francuzami w tych warunkach uważał za zgubną. Głównie dzięki jego pomocy Francuzom udało się uspokoić kraj prawie bez rozlewu krwi.

Tsiampondy, satrapa i prymityw, lubił białych przybyszów na swój sposób. Zepsuty podarkami, jakie w pierwszych czasach otrzymywał od nich, uważał, że to należy mu haracz, a mianowany przez nich władcą nad wszystkimi Mahafalami, traktował Francuzów jak równych sobie. Później łuski z oczu mu spadły, gdy Lyautey odjechał, a na południe przybywali inni. Nowi komendanci, mniej przyjaźni, a bardziej bezwzględni, zaczęli nakładać mu hamulce, odbierać władzę.

Któregoś roku stracił na dobre cierpliwość, gdy Francuzi na jego terenie zaczęli budować nową warownię, nie prosząc go uprzednio o zgodę. Zwołał swoich wojaków i rozsierzony pociągnął przeciw intruzom.

— Mam jeszcze władzę i siły — krzyknął do dowódcy fortu — żeby was zgnieść i zrównać z ziemią te mury, które bezprawnie wznosicie. Ale nic złego wam nie zrobię, bo pamiętam waszego „colonela Louti”. To był wielki człowiek, a mój przyjaciel!... Odszedł zagniewany, ze swą zadawnioną przyjaźnią w sercu, a z pomyłką w głowie: nie miał już tych sił co ongiś. Francuzi budowali dalej forty na południu i umacniali swą władzę nad Mahafalami.

Tsiampondy, ostatni król Mahafalów i ostatni wielki barbarzyńca, żyjący pamięcią o francuskim pułkowniku, pozostał wierny swemu uczuciu aż do końca życia.

O, Madagaskarze, niepoprawny kpiarzu!

Z Ampanihy wracałem do Tananariwy przez trzy dni, bo autobus kursował tylko za dnia. Gdy po drodze przystanęliśmy na chwilę w Ejedzie, zauważyłem tam w trawie kilkanaście sztuk wędrownych szarańczy. Początek pory deszczowej był okresem ich lotów.

Owady widziane w Ejedzie wyglądały niewinnie, ale ongiś, przed laty, ten sam gatunek stanowił upiorną plagę Madagaskaru. Mniej więcej co dziesięć lat z nieznanych przyczyn rozmnażał się w buszu mahafalskim do wielomiliardowej potęgi. Chmurą, ważącą ponoć dwadzieścia tysięcy ton, leciał wtedy na północ, niekiedy aż po Madzunge, pożerając po drodze wszystko, co zielone. Nędzę i śmierć z głodu pozostawiał za sobą wśród ludzi.

Tragedia wyspy stała się troską uczonych całego świata i rzecz ciekawa, że w poznaniu zwyczajów madagaskarskiej szarańczy i jej miejsc wylęgu główną rolę odegrało, według Szwajcara Ed-monda Pidoux, dwóch badaczy rosyjskich, Uwarow w 1914 roku i Zołotarewski w 1920. Na podstawie wyników ich badań władze kolonialne udoskonaliły metodę zwalczania szarańczy i do dziś stacja w Betioky, rozporządzająca najnowocześniejszymi środkami, także lotnictwem rozpylającym, od wielu lat panowała nad sytuacją: loty szarańczy tępią w zarodku.

Przejeżdżając przez Betioky dumiałem w szacunkiem o pracy rosyjskich uczonych i o dobroczynnej instytucji Francuzów, ale potem, mijając groźne, a wspaniałe skały pasma Isalo, myślałem już tylko o Francuzach.

Weszli na Madagaskar jako zaborcy, aktem zbrojnego gwałtu, a gdy organizowali kolonię, pchnęli ją na drogę rozwoju tylko połowicznego, mając wyłącznie swój interes na oku: więc budowali drogi, zakładali własne plantacje, eksploatowali własne kopalnie; musieli narzucić pokój między szczepami, musieli zwalczać epidemie, tępić dzieciobójstwo. Lecz gdy nadeszła pora zwrócenia wyspy jej właścicielom, przerażająca część ludności wciąż tonęła w mrokach analfabetyzmu, reszta, zaniebana i skarłała, okazała się mało zdolna do nowoczesnego życia. Nie było wcale inteligencji technicznej, rzemiosła było za mało, przemysłu prawie żadnego, rolnictwo wciąż na poziomie motyki; po rządach kolonialnych spuścizna gospodarza beznadziejna, struktura społeczna wykoślawiona, poglądy na życie i świat — dziewiętnastowieczne.

A przy tym Malgasz — powtarzam jeszcze raz — był wcale udanym typem ludzkim. Ambitnym, byстрыm, nie w ciemną bitym, o wielu cechach budzących sympatię, o bujnej wyobraźni, sprawczyńi tyłu zabobonów, o najmędrszych na świecie przysłowiach ludowych. Gdy autobus nasz z jałowych stepów południa wydostał się na szerokie doliny centralnego masywu, na polach krzątałi się rolnicy Betsileo, ludzie rzetelnej pracy, a wsi było coraz więcej, wsie coraz zasobniejsze. Dalej na północy wjechaliśmy w Ime-rinę, „Gdzie Widzi Się Daleko”, i na widok dorodnych ludzi, Me-rinów, aż serce rosło i ku nim wybiegało.

Oni — wiadomo — stwarzali w XIX wieku królestwo, o którym John Gunther niedawno pisał, że wyprzedzało o całe stulecia inne krainy kontynentu afrykańskiego. Mieli wówczas wielkich królów-wodzów i mieli Radamę II, zamordowanego dlatego, że zbyt zuchwale marzył o europeizacji Madagaskaru.

Również o europeizacji marzył dziś, sto lat po Radamie II, prezydent Tsiranana,

marzył nie z rozmachem królewskim, lecz ze sprytem chłopskiego rozumu. On, człowiek szczepu Tsimihetów, pastuszek za młodu, później nauczyciel i faworyt Francuzów, z ich pomocą do najwyższych zaszczytów wyniesiony, człowiek dynamiczny o zawrotnej ruchliwości, był adeptem ryzykownego cwaniactwa: palił Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Okrutnie kokietował nie-Francuzów i czasem czynił wrażenie, że chciałby ich mieć na Madagaskarze zamiast Francuzów. Także Merinowie, jego przeciwnicy, chcieliby tych obcych mieć na Madagaskarze, by łatwiej utracić Tsirananę i objąć po nim rządy. Więc stary zatwardziały kuglarz, Madagaskar, psotnik nie lada, jeszcze się nie wyszu-miał i dla ludzi miał w zanadrzu figlarne niespodzianki. I srogie złudzenia.

Na trzeci dzień po południu nasz autobus zbliżał się do Tananariwy i urzekająco, jak zwykle, wylaniały się już z daleka malownicze wzgórza stolicy z Pałacem Królowej na najwyższym szczycie. W Tanjombato, tuż pod miastem, wypadło nam minąć się z dziwnym szeregiem kilkudziesięciu samochodów osobowych, dążących w przeciwnym kierunku. Był to kondukt żałobny. Malga-sze odwozili zmarłego na cmentarz, a wszyscy byli zmotoryzowani.

Widać, umarła ważna szyszka.

Cały kondukt, i katafalk, i ludzie, walił naprzód w pośpiesznym tempie i ta pędząca arcynowoczesność nadawała pogrzebowi niewymownie komiczny wyraz. Z tego symbolu chciało się śmiać. Musiało się śmiać tym bardziej, że w aucie, sunącym bezpośrednio za nieboszczykiem, żałobnicy mieli bębny, by odstraszać szkodliwe demony od duszy zmarłego.

O, Madagaskarze, bezlitosny magiku, o, niepoprawny od wieków, uroczy kpiarzu!

wydanie 1974